

**PIS KRĘCI
Z WIATRAKAMI**

**OCHOTNICY CZY NAJEMNICY:
POLACY WALCZĄ W UKRAINIE**

**GDZIE PRZETRWAŁY
INDIAŃSKIE TOTEMY**

Kraków 12 lutego 2023 nr 7 (3840)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Jak leczyć depresję

NOWE BADANIA, STARE MITY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





Szkockie lato w kratkę

Wichrowe wzgórza, bezkresne wrzosowiska i najlepsza whisky to wizytówka Szkocji – kraju golfa, potwora z Loch Ness i wojowników w kraciastych spódnicach.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Edynburg. Przejazd autokarem do Glasgow. Dz. 2 Glasgow – Fort William. Spacer przyrodniczy po Parku Narodowym Glencoe i wizyta w zamku Inveraray, jezioro Loch Lomond. Dz. 3 Wycieczka na wyspę Skye, pomnik jakobitów w Glenfinnan, prom z Mallaig, Portree, zamek Eilean Donan, i powrót do Fort William. Dz. 4 Fort William – Inverness. Zwiedzanie zamku Urquhart, poszukiwanie potwora z Loch Ness – Park Narodowy Cairngorms. Dz. 5 Park Narodowy Cairngorms – Speyside – Aberdeen. Piękne nadmorskie miasteczka i wizyta w destylarni whisky. Dz. 6 Aberdeen – Dundee – St. Andrews – Edynburg. Średniowieczne ruiny zamku St. Andrews, uniwersytet i pole golfowe. Dz. 7 Zwiedzanie Edynburga. Stare i Nowe Miasto, popołudnie do własnej dyspozycji. Dz. 8 Powrót do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 08/06 2023 | **7.948,-**

Rejs po Renie: Kolonia, Amsterdam i Bazylea

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Przejazd do Kolonii. Zaokrętownie na statku. Dz. 2 Amsterdam, Holandia. Rejs kanatami z przewodnikiem (dodatkowo płatne). Dz. 3 Nijmegen, Holandia. Spacer po hanzeatyckim Nijmegen. Dz. 4 Kolonia, Niemcy. Spacer po starym mieście, katedra oraz degustacja piwa (dodatkowo płatne). Dz. 5 Koblencja, Niemcy. Zwiedzanie miasta oraz wjazd kolejną linową do twierdzy Ehrenbreitstein. Dolina Loreley. Wycieczka do Rüdesheim am Rhein (dodatkowo płatna). Dz. 6 Mannheim, Niemcy. Piesza wycieczka po Mannheim lub dodatkowa wycieczka do Speyer (opcjonalnie). Dz. 7 Kehl, Niemcy. Strasburg, Francja. Możliwość zwiedzania średniowiecznego miasta wpisanego na listę UNESCO (opcjonalnie). Dz. 8 Kembs, Francja lub Bazylea, Szwajcaria. Zwiedzanie Bazylei. Wyjazd na lotnisko, powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy
28/05, 15/09 2023

7.998,-

Opery w Weronie

Spełnij marzenie o wieczorze operowym w słynnej werońskiej Arenie. Wybierz się na światowej klasy opery w starożytnym rzymskim amfiteatrze. Opera pod gołym niebem, w ciepły letni wieczór, to nie lada uczta dla melomana.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Wizyta w Bergamo i czas wolny. Nocleg w okolicy Werony. Dz. 2 Średniowieczne miasto Borghetto, Jezioro Garda i wieczór z operą w słynnym amfiteatrze Arena. Dz. 3 Wizyta w winiarni (dodatkowo płatna). Werona - zwiedzanie i czas wolny. Wieczór z operą w amfiteatrze Arena. Dz. 4 Jezioro Como i powrót do Warszawy.

Tosca i koncert Placido Domingo
4 dni | wylot z Warszawy 04/08 2023

Aida i Carmen
4 dni | wylot z Warszawy 22/08 2023

Aida i Madame Butterfly*
4 dni | wylot z Warszawy 01/09 2023

od **4.598,-**

*Przylot do Bolonii i zwiedzanie miasta

KS. ADAM

Boniecki: Zawsze jest czas na Zmartwychwstanie

TEKST JÓZEFA MAJEWSKIEGO „CO WSTANIE z martwych?” w tym numerze mojego piśma czytałem z oporami. Stary nawyk: jak o Zmartwychwstaniu, to tylko na Wielkanoc. A niby czemu? Zawsze warto sprawdzić, czy przypadkiem nie „jest daremna nasza wiara”. Przecież znamy te wszystkie badania, które pokazują, jak wielki procent polskich wierzących katolików w Zmartwychwstanie akurat jakoś nie wierzy. Czy jest w ogóle lepsza dla katolika kwestia do rozumnego pobudzenia duszy?



w kwestii Zmartwychwstania też przecież ewoluuje. Paweł w ostatnim etapie „zda się sugerować, że w tej materii nie ma ucieczki od wątpliwości i pytań (...) Te sprawy zna tylko Bóg, a my na swej skórze dowiemy się wszystkiego wraz z własną śmiercią”. Tu Majewski włącza do rozważań prostą tezę ks. Mariusza Rosiaka: „gdyby grób Jezusa nie był pusty, lecz odkryto by w nim szczątki doczesne Jezusa, w niczym nie szkodziłoby to wierze w zmartwychwstanie”. Tak też uważa ks. Piotrowski. Nie, dla niego nie jest to teza absurdalna. Ona jest logiczna, gdy właściwie rozumiemy, co znaczą „szczątki”.

Tekst Majewskiego dotyczy nie tylko książki ks. Eligiusza Piotrowskiego „Początki wiary w zmartwychwstanie Jezusa”. Jego autor zwraca uwagę na to, że mało zauważany w Polsce spór na temat Zmartwychwstania od dawna toczy się w świecie, i że w Polsce właśnie książka ks. Piotrowskiego na to zagadnienie otwiera. Kluczowych sprzeczności między czterema Ewangeliami, których jest bardzo wiele w opisie wydarzeń po śmierci Jezusa, nikomu nie udało się przekonująco zharmonizować. Główne problemy, zdaniem Majewskiego, to, po pierwsze: „czy ewangeliczne opisy pustego grobu Jezusa to literacka fikcja, czy też historyczny fakt?”. Druga zasadnicza kwestia dotyczy historyczno-krytycznej metody lektury Pisma Świętego, która bardzo mocno wstrząsnęła tradycyjnymi wyobrażeniami. Spór o Zmartwychwstanie sięga zresztą już czasów apostoelskich, o czym opisze w swych listach Paweł z Tarsu. Ks. Piotrowski, którego badania Józef Majewski uważa za najbardziej wyczerpującą prezentację sporu o Zmartwychwstanie Jezusa, w sposób detektywistyczny, problemowy i krytyczny konfrontuje 103 badaczy i teologów różnych wyznań i języków, samemu nie kryjąc własnego stanowiska. Przedstawia też stanowisko św. Pawła, które to

Jednak wiara w potoczne i uwikłane w sprzeczności (moje ciało zmieniał przecież i miał czas, więc w jakim obudzą je stanie trąby anielskie?) rozumienie Zmartwychwstania jest – pewnie nie tylko we mnie – mocno wszczepiona. Sądzę też, że ewolucja wiary św. Pawła nie zawierała zaprzeczenia Zmartwychwstaniu. Co zaś do grobu, to nawet jeśli według teologów grób mógł nie być pusty, to jednak trudno jest mi się zgodzić z tezą, że opis wydarzeń po Zmartwychwstaniu jest tego samego rodzaju midraszem, co czytane na nowo przez teologów-historyków rozdziały o dzieciństwie Jezusa. Dlatego też pewnie nie wiem, jak można wyobrazić sobie wskreszenie przy „pełnym grobie Jezusa”.

Ostatni fragment artykułu Józefa Majewskiego przynosi ulgę skolatanemu pojmowaniu: „Są sprawy wiary, które przekraczają ludzkie możliwości poznawcze, co wcale nie znaczy, że trzeba przed nimi kapitulować. Przeciwnie, można i trzeba je zgłębiać, nawet spierać się o nie, zostawiając miejsce na różne stanowiska, bez rzucania anatem”. Tylko kiedy rozum nie śpi, dusza pozostaje spokojna. ©P

TYGODNIK
POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to nowy newsletter „Tygodnika Powszechnego”. Codziennie rano, od poniedziałku do piątku, wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.

Zapisz się pod adresem powszech.net/pobudka i bądź na bieżąco z tym, co najlepsze na TygodnikPowszechny.pl



zapisz się!

22 A jednak się kręci

KRZYSZTOF STORY

Poprawki pisane na kolanie, polityczne przepychanki i tony niepotrzebnie spalonego węgla. Lata mijają, a polskie władze nadal walczą z wiatrakami.

**34 Co wstanie z martwych**

JÓZEF MAJEWSKI

Czy pusty grób to literacka fikcja, czy też historyczny fakt? Dlaczego w ewangelicznych opisach zmartwychwstania jest tyle sprzeczności? Echa teologicznych sporów na te tematy niemal nie docierają do Polski.

**44 Łotewskie miesiące**

TOMASZ OTOCKI

Ocena dzwudziesto-wiecznej historii zależy tu zwykle nie od poglądów politycznych, lecz od języka, którym ktoś się posługuje. Czy kraj z trudną przeszłością może się pojednać?

**58 Hobbit, czyli na Flores i z powrotem**

ŁUKASZ KWIATEK

Gdyby Flo żyła przed milionami lat, pasowałaby do dotychczasowego scenariusza ewolucji. Ale żyła kilkadziesiąt tysięcy lat temu.

**64 Palec w szklance**

MONIKA

OCHĘDOWSKA

Studiowanie prawa nauczyło Weronikę Murek czujności wobec słów. Stojący przed sądem ludzie próbują obejść prawdę, powiedzieć coś w taki sposób, by nie powiedzieć niczego. To ją właśnie interesuje – moment, w którym język nas zdradza, wyprzedza.

**78 Statek piracki**

ROZMOWA Z ADAMEM KWAŚNYM, PISARZEM I PODRÓŻNIKIEM

Duchy na Kubie mieszkają pod jednym dachem z żywymi. Duszę dobrego człowieka każdy chętnie się zaopiekuje. Z duszą człowieka podłego nikt nie chce mieć do czynienia.

6 Więzienia pod kontrolą
JACEK TARAN**7-11 Obraz tygodnia****20-21 Czytania / Widzenia**

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ****22 A jednak się kręci**
KRZYSZTOF STORY**26 Nie do obrony**
MAREK RABIJ: *W kwestii
abolycji dla Polaków walczących
po stronie Ukrainy rząd
zachowuje się co najmniej
dziwnie***29 Daleko od kanapy**
ROZMOWA Z MAGDALENĄ
DEREZIŃSKĄ-OSIECKĄ,
SKIALPINISTKĄ:
*Skitury to dyscyplina z roku
na rok uprawiana coraz chętniej*■ ■ **WIARA****34 Co wstanie z martwych**
JÓZEF MAJEWSKI**38 Klasztor na chwilę**
MARCIN CHODUŃ:
*Podróżowanie i czas
do zastanowienia nad życiem
– u benedyktynów***40 Sprawiedliwszy dom**
DOROTA BIDZIŃSKA:
*Franciszek zainspirował
globalny ruch młodych*■ ■ **ŚWIAT****44 Łotewskie miesiące**
TOMASZ OTOCKI**48 Tryzub w cieniu turula**
TADEUSZ IWAŃSKI
Z UŻHORODU:
*Stosunki ukraińsko-węgierskie
są dziś tak złe jak nigdy
wcześniej*

TEMAT TYGODNIKA

TP-ONLINE / ADOBESTOCK

12 Jak leczyć depresję

KINGA WOŁOSZYN-HOHOŁ

Jest jedną z najczęstszych chorób
psychicznych, a w pandemii gwałtownie
wzrosła liczba osób nią dotkniętych.
Nie znamy wszystkich mechanizmów
leżących u podłoża tej choroby, co podsyca
spory o diagnozowanie i komplikuje leczenie.
Ile dziś o niej wiemy?

16 Wyciąganie z najgłębszego dołkaROZMOWA Z PROF. DOMINIKĄ DUDEK,
PSYCHIATRĄ

Antydepresanty nie leczą frustracji z powodu
utruty pracy czy problemów małżeńskich.
Leczą jednak neurobiologiczne przyczyny
ciężkich depresji.

■ **FELIETONY** ■

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI

43 WOJCIECH BONOWICZ 63 JACEK PODSIADŁO

76 OLGA DRENDĄ 77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ 82 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

51 Gorączka przebieśnięgów
PATRYCJA BUKALSKA:
*Dla Brytyjczyków są więcej
niż zwiastunem wiosny.
To pasja, emocje i pieniądze*■ ■ **HISTORIA****54 Walentynka z Urgencza**
MARIA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI:
*Historia rodziców Anny
German, którzy miłości
szukali pod bolszewickim
niebem*■ ■ **NAUKA****58 Hobbit, czyli na Flores
i z powrotem**
ŁUKASZ KWIATEK■ ■ **KULTURA****64 Palec w szklance**
MONIKA OCHEŃDOWSKA**68 Sploty**
PIOTR KOSIEWSKI
*o wystawie Magdaleny
Abakanowicz w londyńskiej
Tate Modern***70 Nowe życie totemów**
BARTOSZ HLEBOWICZ:
*Indianie odzyskują
dziedzictwo. Ocalone
przez Białych***74 Bóle fantomowe**
ANITA PIOTROWSKA
*o filmach „Aftersun”
Charlotte Wells i „Blisko”
Lukasza Dhonta***75 Kraków 1496**
LEKTOR o książce
„Segretario” Macieja Hena■ ■ **ZMYŚŁY****78 Statek piracki**
ROZMOWA Z ADAMEM
KWAŚNYM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Ostatni taniec na placu Wolności [Strona świata]**

Na dziesięć i pół roku więzienia skazani zostali młodzi Irańczycy za to,
że zatańczyli na teherańskim placu i pokazali to w mediach

– relacjonuje **WOJCIECH JAGIELSKI** | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata➔ **Rosjanie na igrzyskach? [Rosyjska ruletka]**

Dla Kremla igrzyska to jeszcze jedna arena walki
o dominację, na której sportowcy są jak żołnierze – pisze

ANNA ŁABUSZEWSKA | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Serwisy specjalne: patrz szerzej

OCHRONA ZDROWIA W POLSCE

Czy system da się wyleczyć?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/OCHRONA-ZDROWIA

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



WIEZIENIA POZA KONTROLĄ

Raport Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur po kontroli w zakładzie karnym w Barczewie przynosi wstrząsający opis reżimu, jaki stosowano tu dla utrzymania dyscypliny.

JACEK TARAN

NA PODSTAWIE RELACJI WIĘŹNIÓW CZŁONKowie delegacji odnotowali stosowanie podtapiania, duszenia, bicia i wykręcania rąk. Osadzonym kładziono na twarz worek z wodą lub mokry ręcznik. Według raportu zastraszanie nie ustało nawet w czasie trwania kontroli. Po rozmowie z kontrolerem więźniowie prowadzeni byli do pomieszczenia ochrony, gdzie wypytywano ich o przebieg spotkania.

Naruszeń prawa opisanych przez delegację KMPT jest więcej. Raport opisuje sytuacje, w których u bitego więźnia doszło do zatrzyma-

nia akcji serca. Funkcjonariusze nie wezwali pomocy, tylko sami reanimowali ofiarę. W innym przypadku transplciową kobietę umieszczono na oddziale dla niebezpiecznych więźniów, mimo że nie była zakwalifikowana do tej grupy.

Z kontroli wynika, że od 2021 r. w Barczewie nie stosowano środków przymusu bezpośredniego. Dr Justyna Józwiak z biura Rzecznika Praw Obywatelskich, wchodząca w skład delegacji KMPT, nie ma wątpliwości, dlaczego tak się dzieje: środki przymusu bezpośredniego są prawnie dozwolone, ale ich użycie musi

*Ćwiczenia Służby
Więziennej.
Barczewo,
4 listopada
2022 r.*

być transparentne i udokumentowane. Brak dokumentacji w tak dużym i zróżnicowanym zakładzie karnym jak ten w Barczewie może świadczyć o tym, że dyscyplina zaprowadzana była środkami wykraczającymi poza dopuszczone prawem. Józwiak podkreśla też, że delegacja KMPT po raz pierwszy spotkała się z tak drastycznymi opisami przypadków tortur. Opis podtapiania, przedstawiony przez osadzonego, był tak precyzyjny, że nie ma wątpliwości co do jego wiarygodności, twierdzi Józwiak. Ponadto więźniowie bali się rozmawiać w obecności funkcjonariusza. Nie chcieli odpowiadać nawet na proste pytania o samopoczucie.

Paweł Moczydłowski, socjolog, pułkownik i były szef Służby Więziennej, mówi o wydarzeniach w Barczewie: tak się dzieje, kiedy funkcjonariusze i osadzeni znajdują się w miejscu wyjętym spod kontroli społecznej. Funkcjonariusz uprawniony do stosowania przymusu, zwolniony z odpowiedzialności, będzie eskalował przemoc. Ostatnie lata to ciągle utrudnianie dostępu do więzień organizacjom pozarządowym. Kontrole poselskie w więzieniach nie istnieją. Moczydłowski problem widzi też w przeludnieniu zakładów karnych. Norma powierzchni przypadającej na osobę osadzoną w Polsce należy do najniższej w Europie zachodniej – wynosi 3 metry kwadratowe na osobę (w wielu krajach Unii to ok. 10-12 metrów kwadratowych). O zmianę tej sytuacji poprzedni rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar apelował już 2016 r.

Podstawą dobrego funkcjonowania więzienia jest połączenie izolacji z resocjalizacją. W przeludnionym zakładzie to niemożliwe, twierdzi Moczydłowski. Dodaje też, że problemem jest kryzys kadrowy w polskim więziennictwie. Funkcjonariuszy jest za mało. Nie potrafią wchodzić w relacje z więźniami. Kontakty oparte są na przemocy. Zarządzanie strachem i wulgaryzmami szybko przestaje działać, więc rodzi się pokusa sięgnięcia po bardziej radykalne środki. Zmiany systemowe postulowane przez byłego szefa więziennictwa to przede wszystkim transparentność i zwiększenie kontroli społecznej. Konieczne jest zrozumienie, że więzienia przemocowe są zaprzeczeniem resocjalizacji i generują dalszą przestępczość.

Obecna władza woli zaspokajać populistyczne oczekiwania społeczeństwa, niż skupić się na realizacji celów resocjalizacyjnych, podsumowuje Moczydłowski. Marcin Wiącek, rzecznik praw obywatelskich, mówi, że sprawa będzie miała dalszy ciąg.

© P

Wieś coraz ważniejsza w polskiej polityce

JAROSŁAW FILS



WPRZEDWYBORCZYM ROKU WIEŚ coraz wyraźniej koncentruje na sobie uwagę mediów. Wielkomiejscy politycy, dziennikarze i komentatorzy raz za razem przypominają sobie – w różnych odmianach – że „wybory wygrywa się na wsi”. Omówienie najnowszej edycji Europejskiego Sondażu Społecznego także koncentruje się na zmianach społecznych w tym właśnie obszarze. Partia rządząca próbuje też tu skupiać swoje wysiłki, mające podtrzymać jej szansę na pozostanie u władzy.

Nie ma w tym nic dziwnego – jeśli porównać wyniki wyborów z roku 2019 z tymi z 2007, liczba głosów oddanych w miastach wzrosła o mniej niż jedną szóstą, natomiast na wsi – o więcej niż jedną trzecią. To w części skutek zachodzących na wsi zmian społecznych, lecz niewątpliwie także efekt takiej narastającej uwagi. Znajdziemy tu schemat znany z wielu analiz społecznych – docenienie kogoś sprawia, że zyskuje on w swoich własnych oczach dodatkowe znaczenie, co przekłada się na poczucie sprawstwa i w konsekwencji – wzrost aktywności.

Dobrze byłoby, gdyby za taką zmianą optyki poszło autentyczne zainteresowanie.

Jest bowiem zjawiskiem dawno już opisanym w naukach społecznych, że ludzie bardzo dobrze rozróżniają kategorie w pobliżu tego miejsca na drabinie społecznej, które sami zajmują, lecz już odległe końce takiej drabiny zlewają im się w jeden zbiór. Z perspektywy człowieka dość ubogiego wszyscy bogatsi niż średnia to tacy sami ludzie. Za to bez problemu może on pokazać, czym różnią się jego problemy od tych trochę gorzej i trochę lepiej sytuowanych od niego.

Podobnie jest też z urbanizacyjną drabiną społeczną. W oczach warszawianina czy krakowianina przysłowiowe Końskie to miejscowość w zasadzie taka sama, jak leżący kilka kilometrów obok Nieświń. Dobrze byłoby, gdyby doszło do przełamania takiej krótkowzroczności. Rzeczywista znajomość problemów oznaczać musi weryfikację, które często nie mają już wiele wspólnego z rzeczywistością. Lecz przede wszystkim – rozmowę o realnych, nie wyobrażonych, problemach. Nie „chłopomanie” czy inny paternalizm. Potrzebne jest uświadomienie, że jedziemy na jednym wózku nie tylko w dniu wyborów, lecz także przez całe nasze życie.

©



OMER YASIN ERGIN / ABACA / PAP

MILIONY LUDZI na Bliskim Wschodzie odczuły 6 lutego nad ranem silne trzęsienie ziemi (7,8 w 9-stopniowej skali Richtera), z epicentrum niedaleko Gaziantep w południowej Turcji. W chwili zamknięcia tego numeru „Tygodnika” oficjalna liczba ofiar wynosiła 1300, ale statystyki rosną szybko. W wielu miejscach, w gruzach budynków z cegły i kruchego betonu, dopiero zaczynała się akcja ratunkowa. Po syryjskiej stronie granicy, na terenach pod kontrolą protureckiej opozycji, pomocy udzielały m.in. Białe Hełmy, znane z heroicznych akcji podczas oblężenia Aleppo w 2016 r. Na zdjęciu: wyciąganie dziecka z gruzów w Diyarbakır, południowo-wschodnia Turcja, 6 lutego 2023 r. © P ŻYM

KRAJ W SKRÓCIE

WILLA PLUS

Fundacje powiązane z politykami PiS uzyskały wielomilionowe dotacje na zakup lub remont nieruchomości w atrakcyjnych lokalizacjach – poinformował TVN24, który przeanalizował przepływy pieniędzy w konkursie ministerstwa edukacji. Dziennikarze nazwali proceder programem „willa plus”, a w przekazaniu pieniędzy nie przeszkodziły nawet błędy we wnioskach konkursowych i negatywne opinie oceniającej je komisji.

POROZUMIENIE

Związana niegdyś z Jarosławem Gowinem partia Porozumienie zdecydowała o połączeniu z zabiegającą o rolniczy elektorat AgroUnią Michała Kołodziejczaka. Decyzja nie zapadła jednogłośnie, sondaże nie wróżą ugrupowaniu przekroczenia progu.

NIEPOROZUMIENIE

Szef MON Mariusz Błaszczak nie kłekał przed sztandarem UPA – poinformował resort, nawiązując do relacji z podróży wicepremiera do Kijowa. Błaszczak złożył wiązanek kwiatów pod tzw. ścianą poległych, a budząca w Polsce kontrowersje flaga znajdowała się w sąsiedniej części muru.

PRZYLOT

À propos podróży: Kancelaria Prezydenta potwierdza, że w najbliższym czasie do Polski przyleci Joe Biden, a w USA media informują, że amerykański przywódca wybierze się do Europy w okolicy rocznicy rosyjskiego ataku na Ukrainę.



PATRICK SEMANSKY / AP / EAST NEWS

Czy wyborca opozycji może mieć wybór

MICHAŁ OKOŃSKI



OPOZYCJA PÓJDZIE DO WYBORÓW RAZEM ALBO osobno, i w obu przypadkach może mieć szansę na pokonanie PiS. Są argumenty i sondaże pokazujące, że obie strategie mogą mieć sens. I jak to w polityce: sprawa powinna być kwestią rozumnej kalkulacji, dokonywanej niezależnie od sympatii czy antypatii, jakie żywią wobec siebie przywódcy ugrupowań. Czy np. dla wyborców zmęczonych duopolem albo nieufnych wobec mającego silny elektorat negatywny Donalda Tuska możliwość głosowania na trzecią lub czwartą siłę nie będzie argumentem za poświęceniem do głosowania?

Napisałem tych kilka oczywistych zdań, nie posiadając się ze zdumienia medialnymi reakcjami na ostatnie wypowiedzi Szymona Hołowni. Nawet zostawiając na boku tweety Tomasza Lisa, powielane później szeroko przez interneto-

wych trolli – wicenaczelną „Gazety Wyborczej” Jarosław Kurski analizując notowania Polski 2050 pisze np., że „dla ludzi najwyższą wartością jest jedność wszystkich demokratów”. Kim są ci „ludzie” i skąd Kurski to wie? Czy ktoś, dla kogo najwyższą wartością – przynajmniej w kontekście partyjnego głosowania – jest możliwość sensownego wyboru, zalicza się jeszcze do tej kategorii? Czy można rozmawiać o politycznych wyborach bez moralnego szantażu i wyzywania się od zdrajców?

Cytowanie księży nie należy ostatnio do dobrego tonu, ale ten akurat był politykiem pełną gębą. „Boże, strzeż mnie od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam” – to zdanie kard. Richelieu liderzy opozycji mogliby właściwie powiedzieć swoim kibicom ze świata mediów. ©P



ROBERT NEUMANN / FORUM

Nowa Huta:
prawdziwe życie pomników

MIAŁA BYĆ MIASTEM IDEALNYM. Zaprojektowana według zasad socjalistycznej utopii jako wymarzone miejsce do życia dla robotników kombinatu metalurgicznego. Budowa Nowej Huty rozpoczęła się latem 1949 r., a do Krakowa jako dzielnica została włączona w 1951 r. Harmonijny, symetryczny układ urbanistyczny powstał według planów głównego projektanta, Tadeusza Ptasińskiego. Sercem miasta-ogrodu miał być plac Centralny, stworzony na wzór greckiej agory, a po przemianach noszący imię Ronalda Reagana (na zdjęciu).

Na początku lutego „zespół architektoniczny i urbanistyczny dzielnicy Nowa Huta” został oficjalnie uznany za Pomnik Historii. W całej

Polsce takich miejsc jest 123. Pomnikiem Historii może zostać nieruchomy zabytek, który ma ponadregionalne znaczenie dla polskiego dziedzictwa kulturalnego i jest utrwalony w świadomości społecznej.

Lokalni aktywiści i urzędnicy wiążą z tym nadzieje na modernizację i ożywienie turystyczne. Bo po latach PRL-owskiej świetności, bycia jednym z centrów, gdzie działy się wydarzenia przełomowe dla kraju, Nowa Huta trafiła na listę miejsc porzuconych. Niedoinwestowana, z podupadającą infrastrukturą, słynąca raczej z przemocy niż inspirującej architektury. I mimo wielu zmian, walki ze stereotypami i rozpędzającej się gentryfikacji, z porzuceniem walczą do dziś. Honorowy tytuł brzmi pięknie, ale teraz trzeba znaleźć sposób, by tę „pomnikowość” wykorzystać: by stała się żywą inspiracją, a nie historyczną skamieliną.

©P EWELINA BURDA

To był balon próbny

RÓWNY TYDZIEŃ trwała odyseja chińskiego balonu szpiegowskiego, który po przełocie od Alaski do Karoliny Południowej został 4 lutego zestrzelony przez Amerykanów nad Atlantykiem (był wtedy na wysokości ok. 18 km, znacznie wyżej niż pułap osiągany przez samoloty liniowe). Pekin – od momentu nagłośnienia sprawy utrzymujący, że jest to balon meteorologiczny, który zboczył z kursu – potępił zestrzelenie. Politycy w Waszyngtonie uznali incydent za kolejny przejaw prześlęnia muskułów przez Chiny; zbiegł się on w czasie z informacją o budowie amerykańskiej bazy wojskowej na Filipinach, w regionie strategicznym dla obu mocarstw. W związku z wykryciem balonu wizytę w Pekinie, pierwszą na tym szczeblu od lat, odwołał szef amerykańskiej dyplomacji.

Wybór balonu – pierwszej maszyny latającej zbudowanej przez człowieka, używanej do szpiegowania już w XIX w.

– może się wydawać dziwny, tym bardziej że Chiny dysponują satelitami szpiegowskimi. Jednak nie o szpiegowanie tu chodziło, a raczej o demonstrację możliwości (w Montanie maszyna krążyła nad regionem z silosami z bronią atomową). Być może także o zakłopotanie amerykańskich władz – inaczej niż w przypadku wtargnięcia obcego myśliwca, decyzja o zestrzeleniu takiej maszyny nie jest oczywista. Oficjalnie Amerykanie nie uczynili tego nad lądem z powodu ryzyka dla ludności, jednak fotografujący swobodnie kraj chiński balon przypominał niektórym o „efekcie Sputnika” (szoku wywołanym wystrzeleniem przez Związek Sowiecki pierwszego sztucznego satelity Ziemi). Republikanie zarzucili prezydentowi Joemu Bidenowi słabość i brak decyzyjności.

Wygląda na to, że Chiny testują w ten sposób nie tylko Stany Zjednoczone. 3 lutego władze Kolumbii poinformowały o zauważeniu podobnego balonu nad swoim terytorium.

© © MARCIN ŻYŁA

Izrael: kolejne protesty i groźba konfliktu

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL-AWIWU



WIELOTYSIĘCZNE DEMONSTRACJE przeciwko reformie sądownictwa zapowiadanej przez ultraprawicowy rząd Beniamina Netanjahu trwają w Izraelu już piąty tydzień z rzędu. W styczniu minister sprawiedliwości Yariv Levin ogłosił m.in. plany przyznania zwykłej większości parlamentarnej prawa do uchylania orzeczeń Sądu Najwyższego i przywracania unieważnionych przepisów, a także anulowanie tzw. reguły rozsądku, która pozwala sądom uchylać decyzje rządu, jeśli uzna je za nieuzasadnione. Premier zapewnia, że reformy wzmocnią demokrację i gospodarkę. Miniony weekend spędził w Paryżu, gdzie m.in. szukał dla nich poparcia, lecz spotkał się z ostrzeżeniem ze strony prezydenta Macrona, który uznał je za antydemokratyczne.

Izraelscy przeciwnicy tych propozycji alarmują, że osłabia one sądownictwo (którego niezależność była tu dotąd wyznacznikiem silnej demokracji). Jeśli zmiany wejdą w życie, rząd mógłby m.in. zamknąć krytyczne wobec niego media, wpłynąć na wyniki kolejnych wyborów,

a przede wszystkim – zatrzymać proces korupcyjny premiera Netanjahu, który zdaniem wielu jest głównym celem procedowanych zmian. Lewicowe izraelskie media, alarmując o bezpośrednim zagrożeniu dla demokracji, powołują się na przykłady Węgier i Polski.

Niepokoje wobec działań nowej władzy widać też w eskalacji konfliktu palestyńsko-izraelskiego. Tydzień wcześniej Palestyńczyk zamordował siedmioro Żydów przed jerozolimską synagogą. Następnego dnia w tym samym mieście od strzałów zginęli ojciec z synem – zamachowcem był palestyński trzynastolatek. Na Zachodnim Brzegu codziennie dochodzi do starć między Palestyńczykami (w tym Hamasem) a izraelskim wojskiem, giną ludzie, a wielu zostaje rannych. Tak wygląda sytuacja na kilka tygodni przed rozpoczęciem ramadanu, który co roku uznaje się tu za okres wzmożonego napięcia. Izraelscy specjaliści ds. bezpieczeństwa alarmują, że należy oczekiwać, iż wiosną na atakach tzw. samotnych wilków wcale się nie zakończy.

© ©

Jak szybko stracić 50 miliardów dolarów

NIE BYŁ TO DOBRY czas dla Gautama Adaniego, do niedawna najbogatszego Indusa i trzeciego najzamożniejszego człowieka globu, którego majątek szacowano na ponad 100 mld dolarów. Pierwsze dni lutego przyniosły zapaść kursu akcji kontrolowanej przez niego Adani Group, które obecnie warte są dwa razy mniej niż 31 stycznia.

Problemy indyjskiego giganta zaczęły się 24 stycznia, kiedy nowojorska firma inwestycyjna Hindenburg Research opublikowała raport, w którym zarzuca jego głównemu akcjonariuszowi „oszustwa księgowe, manipulacje akcjami i pranie pieniędzy trwające od dziesięcioleci”. Analitycy odkryli też, jak twierdzą, kontrolowaną przez rodzinę Adanich sieć spółek-wydmuszek w rajach podatkowych, które miały służyć do wyprowadzania pieniędzy z firmy. Za raportem poszła tzw. krótka sprzedaż – na indyjskiej giełdzie oskarżyciel obstarwił spadek kursu indyjskiego koncernu. Adani Group odpięła zarzuty i sama oskarża Hindenburg Research o działania, które mogą „wywołać niepożądane skutki dla indyjskich pracowników”. Sądząc po reakcji inwestorów, którzy nadal gorączkowo pozbywali się jej akcji, wyjaśnienia okazały się niewystarczające.

Adani Group miała być symbolem globalnej potęgi indyjskiej gospodarki, ale na razie może ją pociągnąć za sobą na dno. Kredyty konglomeratu Adanich stanowią 0,7 proc. portfela kredytowego indyjskich banków. Załamanie kursu akcji pociągnęło w dół główny indeks giełdowy kraju o cztery punkty procentowe.

© © MAREK RABIJ

LICZBA TYGODNIA

629

– w tyłu brytyjskich okręgach wyborczych – czyli wszystkich oprócz trzech
– większość ankietowanych zgadza się ze stwierdzeniem: „Opuszczenie Unii Europejskiej było błędem”
(badanie portalu UnHerd Britain 2023).
W minionym tygodniu minęły 3 lata od brexitu.

Franciszek, Afryka i brudne ręce Kościoła

■ „**WASZE ŁZY SĄ MOIMI ŁZAMI**, wasze cierpienie moim cierpieniem” – mówił papież, gdy ofiary wojny składały u jego stóp narzędzia tortur, deklarując przebaczenie swoim oprawcom. To było najważniejsze spotkanie podczas pielgrzymki do Konga i Sudanu Południowego. Franciszek wierzy w wielkie, symboliczne gesty. Czy zmienia świat? Przynajmniej, choćby przez chwilę, skupia uwagę na kryzysie humanitarnym, o którym nikt słuchać nie chce.

■ Wielki gest sprzed trzech lat – ucałowanie stóp skłóconych przywódców Sudanu Południowego – zmienił niewiele. Dlatego teraz Franciszek nie prosił ich o pojednanie, ale strofował za niedotrzymanie słowa. „W imieniu Boga, do którego modlił się razem w Rzymie, pora powiedzieć »dość« – przelanej krwi, konfliktów, przemocy, niszczenia i wzajemnych oskarżeń. Przyszłe pokolenia zachowają lub wymażą z pamięci wasze imiona”.

■ W pamięci zostaną obrazy. Rozśpiewane i roztańczone tłumy, dla których wiara jest źródłem radości i siły. Ludzi młodych (blisko 60 proc. mieszkańców obu krajów nie skończyło 18. roku życia), którym wizyta papieża dała nadzieję. Warto to wszystko przywołać w dyskusji o kryzysie Kościoła i papieżstwa. „Nie mamy być Kościołem doskonale zorganizowanym – mówił Franciszek do biskupów – ale takim, który staje pośród ludzi i dla nich brudzi sobie ręce”.

© © EDWARD AUGUSTYN

Szczerość biskupa Dajczaka

INFORMACJA o polskim biskupie, który na rok przed osiągnięciem wieku emerytalnego podał się do dymisji, była jedną z najlepiej wyczytanych na popularnym niemieckim katolickim portalu domradio.de. Dlaczego? Biskup koszalińsko-kołobrzeski Edward Dajczak nie ukrywał przyczyny rezygnacji z urzędu, którą jest depresja. „Nie ma co udawać siłacza tam, gdzie się nim nie jest. Jakiekolwiek udawanie tylko pogarsza sytuację. Nawet najbliżsi, o niczym nie wiedząc, mogą reagować na tyle nieprawidłowo, że to jedynie wszystko pogorszy. Dlatego ja nie kryję tego. Ta informacja potrzebna jest diecezjanom” – mówił w lokalnej telewizji. Szczegółowo też opisywał swoje odczucia: „Człowiek chciałby po prostu zasnąć i nie czuć rzeczywistości”.

Z kolei w rozmowie z radiem RMF FM bp Dajczak przyznał, że inni księża borykający się z tym problemem dziękowali mu, że dodał im odwagi.

© © ARTUR SPORNIAK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PUSTELNICE I PUSTELNIK

W ostatnich latach, przy malejącej liczbie zakonnic, następuje wzrost zainteresowania indywidualnymi formami życia konsekrowanego. Obecnie żyje w Polsce 398 dziewic konsekrowanych (od 2019 r. przybyło 76), 396 wdów konsekrowanych (od 2018 r. przybyło 67), jeden wdowiec, 8 pustelnic i jeden pustelnik.

SYNOD W EUROPIE

W Pradze od 5 do 12 lutego trwa europejskie zgromadzenie kontynentalne synodu o synodalności. Poza biskupami Kościoła z Polski reprezentują prof. Aleksander Bańka z Katowic i s. Mirona Turzyńska z archidiecezji gnieźnieńskiej. Do sześciuosobowego zespołu, który zredaguje dokument końcowy, trafił ks. Mirosław Tykfer z Poznania.

ODWAGA KARDYNAŁA

Były biskup Hongkongu, 91-letni kard. Joseph Zen Ze-kun, został zgłoszony do Pokojowej Nagrody Nobla wraz z pięcioma innymi działaczami na rzecz praw człowieka – ich „odwaga i determinacja w obliczu represji zainspirowała świat”.

NIESPODZIANKA

Obraz przedstawiający „Dziewicę z Dzieciątkiem”, który wisiał nad łóżkiem Soledad de Rojas, a który ta hiszpańska arystokratka przed śmiercią przekazała swojej parafii w Sewilli, okazał się autorstwa Diego Velázqueza – orzekli specjaliści.



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

ŁUKASZ KOBESZKO, POLITOLOG:

Sawa wspiera Moskwę



ARCHIWUM PRYWATNE

ARTUR SPORNIAK: Prawosławny metropolita Warszawy i całej Polski w liście na 11-lecie intronizacji

patriarchy Cyryla pisze, że dzięki niemu „Rosyjska Cerkiew Prawosławna lśni duchowym odrodzeniem i służy przykładem dla innych”. Jak wytłumaczyć wsparcie dla kogoś, kto usprawiedliwia agresję Rosji na Ukrainę?

ŁUKASZ KOBESZKO: Abp Sawa konsekwentnie pozycjonuje się po stronie Moskwy w sporze dotyczącym autokefalii dla prawosławia ukraińskiego. Mamy z jednej strony prawosławie greckie, do którego od kilku lat odwołują się Ukraińcy, czyli Patriarchat Konstantynopola, Cerkwie Grecji, Cypru, Aleksandrii i całej Afryki, a z drugiej – świat słowiański będący pod wpływem Moskwy, czyli Cerkwie serbską, bułgarską i polską. Sawa już w 2018 r. powtarzał narrację kremlowską, sugerując związki zwolenników ukraińskiej autokefalii z organizacjami skrajnie nacjonalistycznymi czy wręcz faszystowskimi. Nie potrafi się pogodzić z aspiracjami wielu Ukraińców uniezależnienia się od Moskwy i związania z Patriarchatem Ekumenicznym działającym w świecie zachodniej cywilizacji i społeczeństwa bardziej otwartego.

Ślepota w tym sporze cywilizacyjnym na zbrodnie rosyjskie jest jednak szokująca. Zgadzam się. W komunikatach polskiej Cerkwi na temat wojny do dziś nie ma jasnego wskazania na agresora i ofiarę, natomiast wciąż krytykuje się ukraińską autokefalię.

Abp Sawa szybko przeprosił, ale tłumaczył, że „spełniał jedynie wymogi protokołu, bez uwzględnienia trudnej sytuacji geopolitycznej”, co jest nieprawdą, bo w liście do Cyryla stawia Ukrainę za przykład destabilizowania Cerkwi.

Moim zdaniem poparcie Cyryla dla wojny na pastnicznej przeciwko drugiemu prawosławnemu narodowi nosi znamiona herezji i apostazji i powinno być tematem dla Soboru pan-prawosławnego. W takiej sytuacji utrzymywanie relacji dyplomatycznych nawet na minimalnym poziomie nie jest obowiązkowe. © ©

ŁUKASZ KOBESZKO jest ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich, m.in. od relacji między Kościołami w Europie Środkowej i Wschodniej.

KULTURA W SKRÓCIE

W TAJPEJ

Polska była gościem honorowym Międzynarodowej Wystawy Książek w Tajpej. Z tajwańskimi czytelnikami spotkali się tłumaczeni już na chiński Andrzej Sapkowski czy Witold Szabłowski, ale też autor „Tygodnika” Stanisław Łubieński, którego „Książka o śmieciach” miała premierę właśnie na wystawie. Swoje publikacje prezentowały m.in. Dwie Siostry, Nasza Księgarnia, PIW, Powergraph i Wydawnictwo Literackie.

W KOWNIE

Ciesząc się ogromną popularnością wśród polskich widzów wystawę malarki Aleksandry Waliszewskiej oglądają aktualnie mieszkańcy Kowna. Na litewską odsłonę „Opowieści okrutnych” złożyło się ponad 200 obrazów artystów z Polski, Czech i krajów bałtyckich. Główną oś ekspozycji stanowią prace, o których pisał na naszych łamach Piotr Kosiewski: powszech.net/waliszewska

W ANGERS

Krótkometrażowa animacja „Krab” Piotra Chmielewskiego zdobyła dwie nagrody na festiwalu Premiers Plans prezentującym debiuty europejskich reżyserów. „Krab” to pierwsza część serii filmów pokazujących znane wydarzenia historyczne z perspektywy zwierząt. Film docenili zarówno jurorzy (L'Extra Court Award), jak i publiczność (Audience Award) imprezy.

RDC **DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasy w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM



STEFANO MAZZOLA / GETTY IMAGES

Z ROZMACHEM i ofertą tysiąca imprez, po trzech latach covidowych restrykcji wraca karnawał w Wenecji. W programie zaplanowano m.in. pokazy commedia dell'arte, karnawał smaków prowadzony w restauracjach, występy tancerzy i akrobatów w strojach projektantów z weneckich pracowni. Część imprez przygotowanych w Arsenale zarezerwowano tylko dla stałych mieszkańców miasta. Karnawał potrwa do 21 lutego. Na zdjęciu: gondolowe regaty na Canal Grande, 5 lutego 2023 r. © P JT

Czy wskrzesimy ptaka dodo

PRZEZ OSTATNIE pięć stuleci Ziemia straciła 161 gatunków ptaków, ale dodo – wymarły w połowie XVII w. duży, nieletni ptak z Mauritiusa – jest ikoną. Niemal całkowicie wytępilli go myśliwi, których się zupełnie nie bał. Teraz Colossal Biosciences, firma specjalizująca się w edycji genomów, ogłosiła plany jego wskrzeszenia.

Wymagałoby to sklonowania jego materiału genetycznego (genom dodo zrekonstruowano w 2021 r.) w komórce jajowej współczesnego, blisko spokrewnionego gatunku (mógłby nim być nikobarczyk zwyczajny, gatunek gołębia). Tak powstały „nowy dodo” musiałby nie tylko nauczyć się w jakiś sposób, jak „być dodo”, ale też odnaleźć się w drastycznie innym środowisku XXI w. To w teorii wykonalne, lecz karkołomnie trudne. Nawet jeśli ptak (rozwijający się w jaju, a nie w ciele matki) powinien pod wieloma względami łatwiej poddać się kolejnym etapom procesu. Do celu wiedzy więc długa droga i pierwszy „nowy dodo” zapewne nie wykluje się w ciągu najbliższych 10–15 lat.

© SZYMON DROBIAK

Gra do jednej sieci

SMACZNE są dla wszystkich – mugilowate to rodzina pływających w dużych ławicach ryb, których mięso cenią sobie i ludzie, i delfiny butlonosy. U wybrzeży południowej Brazylii stało się to podstawą rzadkiej już współpracy przedstawicieli obu tych ssaków, która trwa od stulecia. Opisał ją Mauricio Cantor i współpracownicy w „PNAS”.

Pierwszy sygnał dają delfiny. Gdy rybacy zauważą ich obecność, wchodzą do wody. Czekają aż butlonosy podplyną blisko, a potem gwałtownie zanurkują, co oznacza polecenie: „zarzuć sieci”. Jeśli te zachowania zostaną zsynchronizowane, oba drapieżniki się najedzą. Przy asyście delfinów w sieci rybaków wpada czterokrotnie więcej ryb mugilowatych – i wynik nie zależy od włożonego w połów wysiłku ani dostępności ofiary. Naganianie ryb do sieci jest też korzystne dla delfinów, które w ostatniej chwili uszczkną coś dla siebie.

To zachowanie – będące naszym wspólnym dziedzictwem kulturowym – jest zagrożone, ponieważ spadająca dostępność ryb może zmienić partnerów w rywali.

© P ŁUKASZ KWIATEK



ANGELO GANDOLFI / BE&W

JAK LECZYĆ DEPRESJĘ

Jest jedną z najczęstszych chorób psychicznych, a w pandemii gwałtownie wzrosła liczba osób nią dotkniętych. Nie znamy wszystkich mechanizmów leżących u podłoża tej choroby, co podsyca spory o diagnozowanie i komplikuje leczenie.

Ile dziś o niej wiemy?

KINGA WOŁOSZYN-HOHOL

MINĘŁO ZALEDWIE 70 LAT, ODKĄD skuteczne leczenie depresji stało się możliwe. W połowie XX wieku odkryto pozytywne działanie substancji, które stały się zaczątkiem dwóch grup wciąż stosowanych leków przeciwdepresyjnych. Wcześniejsze próby leczenia zaburzeń psychicznych obejmowały wywoływanie gorączki, drgawek czy długotrwałego snu, ale dotyczyły one przede wszystkim osób z ciężkimi zaburzeniami psychicznymi, obejmującymi silne pobudzenie, halucynacje czy urojenia. W ich przypadku brak leczenia nie dawał szans na opuszczenie szpitala psychiatrycznego, który miał wyłącznie zapewnić bezpieczeństwo choremu i jego otoczeniu. Osoby cierpiące na depresję nie stanowiły palącego problemu dla służby zdrowia, a jedyną nadzieją na uwolnienie się od choroby były sesje na kozetce u psychoanalityka, dostępne tylko dla zamożnych elit.

Przypadkowe odkrycie

Początki farmakoterapii depresji odbiegają jednak od wyobrażenia, według którego duża grupa naukowców w białych laboratoryjnych fartuchach mozolnie pracuje nad zsyntetyzowaniem jak najsukeczniejszego leku na podstawie dobrze ugruntowanej teorii naukowej.

Tuż po tym, jak w zakładach francuskiego koncernu Rhône-Poulenc odkryto pierwszy lek przeciwpowietrzny – chloropromazynę, która dała szansę wielu pacjentom na opuszczenie murów szpitali psychiatrycznych, inne firmy podjęły próbę opracowania substancji, która powtórzyłaby ten sukces kliniczny i biznesowy. Do konkurencji stanęła m.in. pewna szwajcarska firma; do udziału w badaniach klinicznych zaprosiła młodego lekarza Rolanda Kuhna. Wybrał on jedną z wielu przedstawionych mu substancji wyłącznie na podstawie jej struktury chemicznej i zaczął

podawać swoim pacjentom. Szybko okazało się, że substancja ta nie łagodzi objawów psychotycznych, co dla zleceńodawców oznaczało koniec prób. Ale dla samego Kuhna był to zaledwie początek.

Trudno powiedzieć, co nim kierowało, gdy podał tę substancję cierpiącym na depresję pacjentom, a potem zdecydował się wydłużyć o kilka dni terapię w stosunku do tej zaplanowanej dla pacjentów psychotycznych. Decyzje te okazały się strzałem w dziesiątkę. Stan pacjentów znacznie się poprawiał i wyglądało na to, że młody lekarz dokonał epokowego odkrycia. O dziwo, nie spotkało się to jednak z entuzjazmem ani firmy farmaceutycznej, z którą współpracował, ani środowiska naukowego, skoncentrowanego w owym czasie na leczeniu schizofrenii. Gdy wiele wskazywało na to, że odkrycie Kuhna pozostanie na zawsze w cieniu, nastąpił szczęśliwy zwrot akcji. Wyniki zainteresowały Roberta Boehringera,



akcjonariusza firmy farmaceutycznej, który dostrzegł w nich nadzieję na pomoc swojej cierpiącej na ciężką depresję żonie. Rzeczywiście, jej stan znacznie się poprawił, a Boehringer przekonał władze firmy do zwrócenia uwagi na substancję, która niedługo później została wprowadzona na rynek jako imipramina.

Mniej więcej w tym samym czasie Nathan Kline odkrył, że inny specyfik, iproniazyd, który okazał się nieskuteczny w leczeniu gruźlicy, skutkowało poprawą nastroju. Odkrycie tych skutecznych w walce z depresją leków dało impuls do badań nad tym, co dzieje się w mózgu chorego.

Chemiczna nierównowaga

Kiedy Kuhnowi udało się doprowadzić do wprowadzenia na rynek imipraminy, nie wiadano jeszcze, w jaki sposób lek ten działa. Odzwierciedla to nazwa grupy pokrewnych substancji – leki trójpierście-

niowe – która pochodzi od ich struktury chemicznej, a nie mechanizmu działania. Prowadzone następnie badania wykazały, że imipramina wpływa na poziom serotoniny i noradrenaliny, czyli dwóch substancji, zwanych monoaminami, które pełnią w mózgu funkcję neuroprzekaźników, czyli odpowiadają za komunikację między neuronami. Podobnie iproniazyd, którego przeciwdepresyjne właściwości odkrył Kline, wywoływał zwiększenie poziomu tych substancji, choć w odmienny sposób: hamował on działanie enzymu, który je rozkłada.

Obserwacje te przyczyniły się do sformułowania jeszcze w latach 60. monoaminowej hipotezy depresji, głoszącej, że za tę chorobę odpowiada obniżony poziom monoamin w mózgu, czyli noradrenaliny, serotoniny i dopaminy. Powstała także bardziej szczegółowa wersja tej hipotezy – hipoteza serotoninowa. Był to początek postrzegania depresji jako „za-

burzonej równowagi neuroprzekaźników” czy „chemicznej nierównowagi” (ang. *chemical imbalance*), a te nieściśle obrazy przeniknęły poza krąg specjalistów i zostały przyjęte jako ostateczna odpowiedź w kwestii biologicznej natury depresji.

Wraz z następnymi badaniami i rosnącą wiedzą naukowców na temat kolejnych aspektów działania mózgu w depresji zaczęto tę hipotezę kwestionować. Nie dlatego jednak, że nie wykazano związku między poziomem serotoniny a objawami depresji. W istocie liczne badania, zarówno na zwierzętach, jak i z udziałem ludzi, taki związek pokazywały. Błędem było myślenie, że ten jeden aspekt biochemii mózgu już wszystko wyjaśnia. Dalsze wysiłki badawcze nie dostarczyły nam dotąd jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o przyczynę depresji – wciąż pokazują coraz bardziej złożoną naturę tej choroby.



Degradacja neuronów

→ Jedną z fascynujących własności mózgu jest jego zdolność do zmian – modyfikacji naszego neuronalnego okablowania – która stanowi podstawę uczenia się. Prowadzone od lat 90. badania pokazywały, że depresja wiąże się z istotnym zakłóceniem tego procesu. Tak narodziła się tzw. neurotroficzna hipoteza depresji.

Zaobserwowano m.in., że u ludzi depresja wiąże się ze zmniejszeniem poziomu czynników neurotroficznych, tzn. warunkujących przetrwanie i rozwój komórek nerwowych. Zmniejszeniu ulegają niektóre struktury mózgu, takie jak hipokamp, powiązany z pamięcią i uczeniem się, oraz obszary przedczołowe, odpowiadające za regulację zachowania, emocji czy kontrolę poznawczą. Zwiększają się z kolei obszary podkorowe, w tym powiązane z odczuwaniem lęku ciało migdałowe.

Badania na gryzoniach pokazały z kolei, że silny bądź chroniczny stres skutkuje spadkiem czynników wzrostu w kluczowych obszarach mózgu i obumieraniem komórek mózgowych, co prowadzi do zmiany architektury istotnych obwodów mózgowych. Według hipotezy neurotroficznej proces ten stanowić ma przyczynę obserwowanych objawów depresji. Zarazem istotny i pocieszający jest fakt, że te neurodegeneracyjne zmiany mogą ulec odwróceniu pod wpływem skutecznego leczenia przeciwdepresyjnego.

Tym wszystkim zmianom budowy mózgu – jego struktur i neuronalnych połączeń – towarzyszy odmienny sposób jego działania wtedy, gdy angażujemy naszą uwagę, pamięć, stykamy się z czymś, co wzbudza nasze emocje, a także gdy myśli płyną swobodnie. Wskazuje to na odmiennie postrzeganie i doświadczanie świata przez osoby w depresji.

Sygnal z trzewi

Zrozumienie neurobiologii depresji nie byłoby możliwe również bez uwzględnienia układu podwzgórze – przysadka – nadnercza, który prowadzi do wydzielania hormonu stresu: kortyzolu, a także zawiera mechanizm jego automatycznej regulacji.

W większości sytuacji stres jest adaptacyjną reakcją, która pozwala na efektywne działanie. Wpływa na system odpornościowy, reprodukcyjny, zdolności

Co pokazują liczby

■ **OKOŁO 280 MLN OSÓB** na całym świecie zmaga się z depresją (ok. 3,5 proc. populacji, według oszacowań WHO z 2021 r.). Nieco częściej choroba dotyka kobiet niż mężczyzn i osoby starsze niż młodsze. Najbardziej narażeni są ludzie w wieku powyżej 60 lat. Tu minimalne szacunki to ok. 5,7 proc. populacji, ale wyniki szczegółowych badań nie są zgodne – niektóre pokazują, że skala może być znacznie wyższa.

■ **PO PIERWSZYM ROKU** pandemii COVID-19 problem się nasilił – zanotowano ok. 25-procentowy wzrost ciężkich epizodów depresyjnych, najprawdopodobniej ze względu na izolację społeczną i towarzyszącą pandemię lęk. Najwięcej chorych przybyło w grupie młodych oraz wśród kobiet. Przybywa także depresji okołoporodowych: według nowych danych dotyka ona 26-28 proc. matek.

■ **RYZIKO** wystąpienia w ciągu życia tzw. dużej depresji wynosi 8-12 proc. (według szacunków z początku XXI w.). Ryzyko zachorowania rośnie z wiekiem, ale choroba może wystąpić też u dzieci w wieku przedszkolnym. Epizody obniżonego nastroju mogą trwać nawet 6-9 miesięcy. Ponad połowa osób, które przeżyły depresję, będzie mieć przy najmniej jeden nawrót choroby. Każdy kolejny epizod pogarsza rokowania. U 10-20 proc. chorych depresja ma charakter przewlekły.

■ **SAMOBÓJSTWA** są w głównej mierze powodowane depresją. Globalnie co roku życie odbiera sobie 800 tys. osób – to prawie dwa razy więcej niż liczba ofiar zabójstw. Próby samobójcze znacznie częściej podejmują mężczyźni. W XXI w. w Polsce samobójstwa były przyczyną ok. 5 tys. zgonów rocznie. © P ŁK

kortyzolu. Prowadzi do to długotrwałego utrzymywania się jego zbyt wysokiego poziomu, a więc doświadczania chronicznego stresu.

A stres, oprócz wpływu na żywotność i rozwój komórek nerwowych, co powiązane jest z neurotroficzną hipotezą depresji, wpływa także na utrzymywanie się stanu zapalnego, będącego kolejnym ważnym graczem w obszarze neurobiologii depresji. Co istotne, niektóre białka zaangażowane w proces zapalny mogą wpływać na tzw. wychwyt zwrotny serotoniny (a więc zmieniać jej ilość w synapsach) i aktywować układ podwzgórze – przysadka – nadnercza, co pokazuje komplementarność proponowanych mechanizmów rozwoju depresji.

Badania pokazały także, że neutralizacja tych białek u gryzoni uodparnia je na szkodliwe działanie stresu. Trwające badania kliniczne z udziałem ludzi pokazują, że taka neutralizacja może stanowić skuteczny środek przeciwdepresyjny. A zatem hipoteza zapalna nie tylko pogłębia nasze zrozumienie depresji, ale może w niedługiej przyszłości doprowadzić do opracowania skutecznej farmakoterapii dla osób z depresją, której towarzyszy stan zapalny.

Całą sprawę jeszcze bardziej może komplikować fakt, że stan zapalny na poziomie mózgu może być skutkiem procesów zapalnych zachodzących w jelitach. Prowadzone intensywnie w ostatnich latach badania pokazują, że jelita osób chorujących na depresję są zamieszkane przez inne mikroorganizmy niż w przypadku osób zdrowych. Badania zaś, w których przeszczepiano myszom mikroorganizmy pobrane z próbek kału pochodzących od osób z depresją, sugerują, że zaburzenie tej tzw. mikrobioty jest raczej przyczyną niż skutkiem zachowań depresyjnych. Mikrobiota może ulegać zmianom pod wpływem stresu, nieprawidłowej diety, infekcji czy przyjmowanych antybiotyków. A ponieważ istnieją drogi komunikacji między jelitami a mózgiem, zapoczątkowany w nich stan zapalny może wpłynąć na mózg.

Historia rodzinna

Dziś wiemy zatem, że zmiany związane z depresją występują na wielu poziomach i nie da się ich sprowadzić do wpadającego w ucho hasła. Sięgają one od białek układu odpornościowego i czynników umożliwiających życie i rozwój

poznawcze i zachowanie. Ma więc znaczenie dla różnych aspektów naszego funkcjonowania. U większości osób w depresji ten kluczowy układ ulega regulowaniu, ponieważ odpowiednio receptory stają się niewrażliwe na wysyłane sygnały o zbyt wysokim poziomie

komórek nerwowych, przez proces komunikacji między neuronami za pośrednictwem serotoniny i noradrenaliny, zmniejszoną objętość struktur neuronalnych, po zmianę w składzie mikroorganizmów zasiedlających nasze jelita.

Czy więc któreś z przedstawionych wyjaśnień możemy uznać za prawdziwe? Byłoby to niewłaściwie zadane pytanie. Hipotezy te nie konkurują ze sobą o miano jedynego słusznego wyjaśnienia, lecz wspólnie pokazują złożoność naszej neuronalnej konstrukcji. Mimo znaczących postępów w zrozumieniu neurobiologii depresji nie ustalono mechanizmów, które mogłyby wyjaśnić wszystkie jej aspekty. Ta biologiczna zawilść wydaje się też bardziej adekwatnie odzwierciedlać złożoność samej depresji i tego, że zawsze choruje na nią konkretny człowiek z określonym wyposażeniem genetycznym i bagażem doświadczeń.

Mimo że prawdopodobieństwo zachorowania na depresję jest wyższe u osób, których krewni także cierpieli na tę chorobę, badania w obszarze genetyki wskazują na to, że depresja nie jest dziedziczona w sposób prosty. Nie udało się też zidentyfikować konkretnych genów, które byłyby z nią związane. Ponadto nie ma pewności, czy dziedziczeniu podlegać miałyby choroba czy, co bardziej prawdopodobne, podatność na nią, w postaci określonej budowy bądź mechanizmów działania układu nerwowego. Fascynujące wyniki dotyczące kształtowania podatności na depresję przez wcześnie doświadczenia otrzymuje się w badaniach z zakresu epigenetyki, czyli nauki zajmującej się wpływem doświadczeń jednostki na ekspresję genów.

Pokazano np., że doświadczenie przemocy lub innych bardzo stresujących wydarzeń w dzieciństwie może wpływać na to, czy aktywne staną się geny kontrolujące mechanizmy i procesy, o których wiemy już, że wpływają na depresję. To geny związane z transportem serotoniny, czynnikiem wzrostu neuronów czy regulacją osi podwzgórze – przysadka – nadnercza. Wydaje się, że takie epigenetyczne zmiany mogą prowadzić do zwiększenia ryzyka zachorowania na depresję w późniejszym życiu.

Dlaczego leki leczą

W zeszłym roku sporo zamieszania wywołała publikacja Joanny Moncrieff

Objawy, diagnoza, terapia

■ **OSOBA W DEPRESJI** może doświadczać obniżenia nastroju, utraty przyjemności z aktywności, które wcześniej były źródłem radości (tzw. anhedonia), a także utraty energii, męczliwości i ograniczania aktywności. Może skarżyć się też na osłabienie zdolności koncentracji uwagi, obniżoną samoocenę i poczucie własnej wartości oraz nasilone poczucie winy. Wystąpić mogą problemy ze snem oraz wyraźne zmiany apetytu. Pojawiają się myśli, plany bądź czyny samobójcze.

■ **DO POSTAWIENIA DIAGNOZY** konieczne jest jednoczesne występowanie co najmniej czterech z tych objawów, przy czym dwa muszą być związane z obniżeniem nastroju, odczuwanej energii lub radości. Istotny jest czas ich trwania – co najmniej dwa tygodnie. Objawy muszą także wiązać się z cierpieniem i pogorszeniem codziennego funkcjonowania. Z uwagi na to, że wystąpić może jedynie część z objawów, obraz choroby różni się między osobami. W przypadku zauważenia u siebie objawów depresji konieczna jest konsultacja lekarska.

■ **ZABURZENIA PSYCHICZNE** są zazwyczaj leczone przez lekarzy psychiatrów, ale diagnozę postawić może także lekarz podstawowej opieki zdrowotnej. Może przepisać odpowiednie leki i prowadzić leczenie zwłaszcza wtedy, gdy jest to pierwszy epizod choroby i nie towarzyszą mu inne zaburzenia, np. lękowe lub uzależnienia. Psychiatra oprócz leków może zarekomendować psychoterapię lub zmiany w trybie życia.

■ **OBJAWY DEPRESYJNE** mogą też występować w przebiegu innych zaburzeń psychicznych, chorób somatycznych (np. zaburzeń tarczycy czy demencji) lub być skutkiem niedoborów witamin, dlatego ważna jest kompleksowa diagnostyka. © KWH

zalecają leki, których mechanizm opiera się na zmianie ich poziomu?

Odpowiedź na to pytanie padła już na początku. Pierwsze skuteczne leki przeciwdepresyjne były raczej łutem szczęścia niż wynikiem systematycznych poszukiwań badawczych. To fakt ich skuteczności pozwolił wysunąć pierwszą współczesną hipotezę na temat neurobiologicznego podłoża depresji, która okazała się nie wyjaśniać wszystkich aspektów tej choroby. Swoją skuteczność leki pokazują zaś w kontrolowanych badaniach klinicznych, w których sprawdza się na różne sposoby, czy podany pacjentom specyfik wpływa na złagodzenie objawów lub opóźnia nawroty choroby w większym stopniu niż placebo (substancja nieaktywna).

Badania skuteczności leków nie zależą zatem od trafności poszczególnych hipotez depresji. Warto jednak zapytać, jakie zmiany neuronalne wywoływane przez leki odpowiadają za obserwowany efekt przeciwdepresyjny. Kolejne odkrycia w tym zakresie prowadzą nas do lepszego zrozumienia neurobiologii depresji i poszukiwania nowych rozwiązań terapeutycznych. Skuteczna farmakoterapia z wykorzystaniem powszechnie stosowanych klasycznych leków przeciwdepresyjnych (np. SSRI, SNRI czy leków trójpierścieniowych) nie tylko prowadzi do podwyższenia poziomu serotoniny czy noradrenaliny, ale także zwiększa poziom czynników wzrostu neuronów, odwraca powstałe uszkodzenia neuronalne i przywraca zmniejszonym strukturom ich wcześniejszą objętość, a obwodom neuronalnym – poprawne funkcjonowanie. Podobny efekt obserwuje się też dla innych klas leków przeciwdepresyjnych, np. ketaminy, czy metod neuromodulacyjnych, takich jak terapia elektrowstrząsowa. Choć więc część leków przeciwdepresyjnych rzeczywiście wpływa na układ serotoninowy, to nie podniesienie jej poziomu wydaje się kluczowe w leczeniu objawów tej choroby.

Precyzyjne uderzenie

Mimo że farmakoterapia w ogólnym ujęciu jest skuteczną metodą leczenia depresji, to nie wszyscy pacjenci będą mogli cieszyć się znaczącą poprawą po przyjęciu leku przepisanego przez psychiatrę na pierwszy epizod. Badania wskazują, że stanie się to udziałem około jednej trzeciej z nich. Dla pozostałych będzie to →

i współpracowników z „Molecular Psychiatry”, która podważała serotoninową hipotezę depresji. Specjaliści nie byli zaskoczeni tymi wynikami, ale pacjenci mogli czuć się zagubieni. Skoro przyczyną depresji nie jest zaburzenie równowagi neuroprzekazników, to dlaczego lekarze

→ oznaczać kolejne próby doboru właściwego leczenia, a u części z nich będzie mówić się o depresji lekoopornej.

Nadzieją na możliwość opracowania leczenia na miarę XXI wieku jest powoli rozwijający się nurt medycyny precyzyjnej (albo spersonalizowanej). Algorytm działania ma się opierać na jak najdokładniejszym poznaniu indywidualnej specyfiki każdej chorującej osoby. Wymagałoby to zebrania licznych danych, włączając genom, poziom „biomarkerów” depresji (np. czynników wzrostu neuronów, określonych białek prozapalnych), wzorce funkcjonowania sieci neuronalnych, rozmaite parametry zdrowia somatycznego, informacje biomedyczne z inteligentnych zegarków, pełne informacje o stylu i historii życia, w tym historii rodzinnej, i wyniki testów czy wywiadów klinicznych – a nawet ta długa lista nie wyczerpuje wszystkich możliwości. Analiza tych danych miałaby pozwolić na zaplanowanie optymalnej terapii, uwzględniającej nie tylko odpowiedni lek i sposób jego przyjmowania, ale także włączenie innych biologicznych metod leczenia, zmiany trybu życia, a nawet wyznaczanie momentu, w którym najlepszy skutek mogłaby odnieść psychoterapia.

Do chirurgicznej precyzji jest nam bardzo daleko, choć w wyborze leku można już oprzeć się na farmakogenetyce. Dzięki badaniom laboratoryjnym można określić, jaki wariant genu powiązany z odpowiednim enzymem uczestniczącym w metabolizmie leku posiada pacjent. Wyniki takiego badania pozwalają przewidzieć, czy u konkretnej osoby taki lek mógłby wykazywać nadmierne lub niedostateczne działanie oraz czy jego przyjmowanie wiązałoby się z dotkliwymi działaniami niepożądanymi. Leczenie taka strategia jest na razie użyteczna tylko w niektórych przypadkach, a badania są kosztowne.

Złożony jak człowiek

O skutecznej terapii depresji powinniśmy myśleć jednak bardziej kompleksowo, pamiętając, że celem jest leczenie nie mózgu, czy nawet choroby, tylko człowieka.

Mimo swojej skuteczności, ani coraz bardziej nowoczesna farmakoterapia, ani inne biologiczne metody leczenia depresji nie wyeliminują tego, co w życiu człowieka przyczynia się do cierpienia. Nie rozwiążą problemów stanowiących dźwiganą czasem od lat ciężar, nie dadzą pewności czy asertywności, ani nie sprawią, że środowisko człowieka zmieni się nagle ze źródła stresu i nieustannej presji na takie, które zapewnia wsparcie i rozwój. Obecne w życiu pacjenta znaczne trudności czy doświadczenie traumy może sprawić, że farmakoterapia nie wystarczy do tego, żeby znowu stanąć na nogi i jak najdłużej się na nich utrzymać.

Proces zdrowienia powinien więc uwzględniać złożoność ludzkiego życia, a farmakoterapia stanowić część większej układanki. Niezwykle cennym elementem drogi ku wyjściu z depresji jest psychoterapia, która umożliwia rozpoznanie sposobu patrzenia na siebie, innych i swoje życie, zidentyfikowanie szkodliwych strategii działania, takich jak dążenie za wszelką cenę do nieosiągalnej perfekcji, sięganie po używki lub życie w nieustannym rozproszeniu, żeby tylko uniknąć zetknięcia się ze światem swoich emocji. A także zmianę sposobu wchodzenia w relacje czy rozpoznanie wartości, które mogą stać się drogowskazem w dążeniu do pełnego życia.

Wielowymiarowość i indywidualność człowieka znajdują odzwierciedlenie w konstrukcji i funkcjonowaniu jego mózgu, który działa jak skomplikowany układ naczyń połączonych, w sposób ciągle przez nas w dużej mierze nieznan. To ten złożony mózg pozwala nam doświadczać zarówno radości, jak i smutku – depresji. Zawiłość ludzkiego cierpienia jest równa zawiłości naszego neuronalnego wyposażenia, dlatego każda prosta odpowiedź na pytanie o mózgową przyczynę depresji musi być z gruntu fałszywa.

© KINGA WOŁOSZYN-HOHOŁ

Autorka obroniła doktorat z psychologii, specjalizuje się w badaniach z zakresu psychofizjologii emocji. Wykładowczyni Uniwersytetu Jagiellońskiego, psycho-terapeutka poznawczo-behawioralna.

Wyciąganie z głębokiego dołka

PROF. DOMINIKA DUDEK, PSYCHIATRA:

Antydepresanty nie leczą frustracji z powodu utraty pracy czy problemów małżeńskich. Leczą jednak neurobiologiczne przyczyny ciężkich depresji.

MAREK KĘSKRAWIEC: Właśnie wysłuchałem dyskusji specjalistów z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podawali analizy, wedle których różnica między skutecznością placebo i leków antydepresyjnych podnoszących poziom serotoniny jest nieznaczna. I klinicznie nieistotna.

DOMINIKA DUDEK: Z kolei z badań, które są mnie znane, wynika, że placebo działa korzystnie u ok. 30-33 proc. pacjentów, natomiast przy stosowaniu leków przeciwdepresyjnych poziom ten wzrasta do ok. 60 proc. Według innej dużej metaanalizy skuteczność leków wyraźnie góruje nad skutecznością placebo, ale w przypadku głębszej depresji. To ciężka choroba całego organizmu, uruchamiająca wiele biologicznych mechanizmów patologicznych, w które wpisuje się właśnie działanie leków.

Często przyczyną złego stanu psychicznego jest to, co dzieje się w życiu osobistym. Czy na to pomoże zwiększenie poziomu serotoniny w synapsach?

No właśnie. Leki nie ulecą frustracji z powodu złego szefa lub utraty pracy, nie ulecą też problemów małżeńskich albo traum związanych z rodzicami. W takich sytuacjach bardziej skuteczne będzie skierowanie na psychoterapię. Ludzie jednak chcieliby iść na skróty; wierzą, że lekarz ofiaruje im pigułkę szczęścia, od której ich życie się zmieni. To tak nie działa.

Jeśli weźmie się *en masse* głębokie depresje i dużo powszechniejsze lżejsze stany depresyjne, to ta różnica z placebo nie będzie

wielka. Ale w epizodach dużej depresji jest inaczej. Gdy pacjent jest pobudzony, w panicznym lęku – albo odwrotnie: wygaszony, niemal w stuporze – psychoterapia może pomóc niewiele. Leki zmniejszają najcięższe objawy i umożliwiają doprowadzenie pacjenta do stanu, w którym można rozmawiać o źródłach choroby.

Antydepresanty są w stanie wyciągnąć nas z największego dotyka?

Tak właśnie jest – leczą neurobiologiczne przyczyny ciężkich depresji. Choć wokół tego również trwa obecnie dyskusja. Zaczęła się po opublikowanych latem 2022 r. w „Molecular Psychiatry” brytyjskich badaniach kwestionujących teorię serotoninową, wedle której to niedobór tego neuroprzekaźnika odpowiada za depresję.

Z tych badań wynika, że można mieć wysoki poziom serotoniny w synapsach i cierpieć na depresję, albo mieć niski poziom i czuć się dobrze.

Pogląd, że poziom serotoniny bezpośrednio przekłada się na depresję i lęk – to mit. Po zażyciu leku SSRI, czyli hamującego tzw. wychwyt zwrotny serotoniny w synapsach, jej poziom wzrasta natychmiast, ale na efekt terapeutyczny trzeba czekać kilka tygodni.

Mechanizm działania jest więc bardziej skomplikowany. Jest też wiele leków antydepresyjnych opartych na innych zasadach, np. zwiększających poziom dopaminy, noradrenaliny albo działających już po drugiej stronie synapsy. Takie badania prowadził m.in. prof. Jerzy Vetulani. On sam uważał, że dobre badania to nie te, które przetrwają całe lata w niezmienionej formie, lecz takie, które otwierają drzwi do nowego myślenia.

Wspomniane brytyjskie badania zespołu prof. Joanny Moncrieff nie kończyły się konkluzją, że leki nie działają, tylko że teoria serotoninowa jest wątpliwa. Inna sprawa, że skoro wierzy w nią 85 proc. chorujących Brytyjczyków, to znaczy, że ktoś im to wmówił.

Ten mechanizm uproszczono dla łatwiejszego opisu, ale on jest bardziej skomplikowany i nie kończy się na zwiększeniu ilości serotoniny w szczeli-



GRAŻYNA MAKARA

PROF. DOMINIKA DUDEK jest prezeską Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Kieruje Katedrą i Kliniką Psychiatrii Dorosłych Collegium Medicum UJ.

nie synaptycznej. Ten efekt idzie dalej, do jądra komórkowego, syntezy białek, poprawy neuroplastyczności, zwiększenia gęstości połączeń synaptycznych, zapobiega też ubytkom objętości hipokampu.

Co ciekawe, podobne skutki w mózgu wywołuje też psychoterapia. Już Zygmunt Freud pisał, że „terapia mówieniem” potrafi zmienić połączenia sieci neuronalnej. Jego wnioski potwierdzono po stu latach w nowoczesnych badaniach.

Czy można powiedzieć, że psychoterapia to proces porzucania krzywdzących nas schematów myślenia i nauka nowych umiejętności radzenia sobie w trudnych sytuacjach?

Są różne szkoły. Niektóre skupiają się na nieuświadomionych konfliktach wewnętrznych, często mających źródło w dzieciństwie, inne bardziej celują w to, co dzieje się „tu i teraz”.

W depresji dochodzi na pewno do zaburzeń myślenia. W latach 50. XX w. Aaron Beck opisał tzw. triadę depresyjną, na którą składają się negatywne oceny

siebie, świata i przyszłości. Pod wpływem negatywnych wydarzeń różne dysfunkcjonalne przekonania mogą przejąć nad nami emocjonalną kontrolę i zmienić odbiór rzeczywistości. Na przykład gdy ktoś się do takiej osoby uśmiechnie na ulicy, ona odbierze to jako uśmiech politowania. Gdy jej dziecko dostanie jedynkę, uzna się za fatalnego rodzica. Tak tworzy się błędne koło, które trzeba przezwyciężać. To dało podstawy dla popularnej dziś terapii poznawczo-behawioralnej, która te negatywne automatyczne myślenie stara się przedstawiać pacjentowi jako nie prawdy, a jedynie hipotezy, z którymi można dyskutować, zmieniając swe zachowanie.

Stosuje Pani te metody w pracy?

Jestem przede wszystkim psychiatrą, „konowałem od tabletek”, ale pewne techniki oczywiście stosuję. Uważam, że w cięższych przypadkach psychoterapia może być skuteczniejsza niż farmakologia. Daje nam też silniejszy oręż na wypadek kolejnych trudnych sytuacji. Natomiast w głębokich stanach sprawdzają się najlepiej obie metody. Tu trzeba zacząć od leków, które zwiększą napęd i aktywność pacjenta, zredukują najbardziej dotkliwie cierpienie. Chorego w bardzo złym stanie nie jest łatwo „ruszyć” rozmową, można mu co najwyżej towarzyszyć przy najprostszych czynnościach, o czym mówił już prof. Antoni Kępiński.

Tacy ludzie często uważają, że jeśli czegoś nie zrobią w całości i doskonale, to tak jakby nic nie zrobili, więc nie podejmują aktywności. Trzeba im pomóc w stawianiu pierwszych kroków, planowaniu aktywności, jej ocenie, wydobywaniu się ze strumienia najczarniejszych myśli. W skupieniu na rzeczywistości dookoła, a nie tkwieniu we własnym umyśle, który wciąż rani i ocenia.

Powiedziała Pani o sobie „konowałem od tabletek” – tak mówią o psychiatrach niektórzy terapeuci. Ci zaś słyszą w zamian, że są szamanami, którzy miesiącami grzebią w życiorysach załamanych ludzi, kiwają głowami, a przecież pacjenci potrzebują efektów za kilka tygodni, nie lat. Jest między Wami konflikt?

Mogę mówić tylko za siebie. Uważam, że to są świetnie uzupełniające się metody, najlepiej minimalizujące ryzyko →

→ nawrotów depresji i pozwalające choremu uporać się z kryzysem oraz wrócić do normalnego funkcjonowania.

Rozpoczynając rozmowę wspominałem o placebo, czyli podaniu nieaktywnej substancji, która w nieświadomym pacjencie może wywołać efekt terapeutyczny. Czy placebo można rozumieć też jako tajemniczą siłę naszego umysłu, potrafiącą działać cuda dzięki wierze? Albo wręcz swoistą autoterapię, która podświadomie łamie negatywne schematy myślowe?

To ciekawa kwestia. Wiemy, że pod wpływem traumatycznych doświadczeń może dochodzić do utraty wzroku i słuchu, nawet do paraliżu. Możliwy jest też mechanizm odwrotny: pod wpływem silnej wiary czasem uruchamiają się nadzwyczajne siły odpornościowe, które pozwalają ciężko chorym na raka pacjentom żyć o wiele dłużej, niż podejrzewaliby lekarze. A ktoś, kto się poddaje, umiera szybko.

Prof. Sławomir Czachowski, kierownik Katedry Psychologii Klinicznej i Neuropsychologii UMK w Toruniu, opowiadał mi o badaniach, które prowadził z zespołem w Holandii. Wynikało z nich, że nawet 30 proc. chorób ma podłoże psychiczne, a wielu pacjentów jest źle diagnozowanych, przepisuje się im niepotrzebne leki.

Tu mówimy o dwóch rzeczach: chorobach psychosomatycznych, o podłożu biologicznym, których objawy są silnie zaostrzane przez stres, np. astmie, chorobie niedokrwiennej serca i wrzodach żołądka. Znane są też badania ludzi po zawale, z których wynikało, że w przypadku tych cierpiących na depresję istniało znacznie wyższe ryzyko kolejnego incydentu kardiologicznego i zgonu. Bo depresja to uruchomienie przewlekłego stanu zapalnego, wyrzut hormonów stresu, niszczących nie tylko psychiczną odporność.

Druga kwestia to zaburzenia psychogenne, jak nerwice, w których występują objawy fizyczne. Lęk napadowy objawia się nagłym kołataniem serca, bólem narządów, potliwością, uciskiem w klatce lub w żołądku, dusznościami, biegunkami. Pacjent jedzie na SOR, odwiedza

Pod wpływem negatywnych wydarzeń różne dysfunkcjonalne przekonania mogą przejąć nad nami emocjonalną kontrolę i zmienić odbiór rzeczywistości.

kardiologów, pulmonologów, gastrologów, co tylko odsuwa rozpoczęcie właściwego leczenia.

Przy antydepresantach musimy też pamiętać o skutkach ubocznych tego leczenia. Często poważnych.

Kiedyś stosowaliśmy tzw. leki trójpierścieniowe, które miały mocny efekt antydepresyjny, ale dawały uciążliwe objawy uboczne, a przy przedawkowaniu działały bardzo źle na serce. Nowoczesne leki są znacznie bezpieczniejsze. Mają też szerszy zakres zastosowania, sprawdzają się przy nerwicy lękowej, natręctwach. Działają też szybciej niż psychoterapia, która często wymaga wielu miesięcy spotkań, dużego zaangażowania pacjenta i terapeuty.

Idęciem jest łączenie obu metod, ale np. w mniejszych miejscowościach brakuje psychoterapeutów, ludzie zrabiają mniej, wielu nie stać na wizyty i dojazdy.

Wróćmy do efektów ubocznych. Ludzie przyjmujący długo

antydepresanty skarżą się często, iż leki wyciągnęły ich z najgorszych stanów, ale jednocześnie obcięły marginesy emocjonalne. Ani nic ich specjalnie nie martwi, ani nie uszczęśliwia i nie wywołuje entuzjazmu. Jakby życie straciło smak.

To zależy, o jakich lekach mówimy. Najpopularniejsze SSRI działające na serotoninę mogą powodować anhedonię polekową. Pacjenci funkcjonują normalnie, ale świat im poszarzał, nie czują przyjemności. Najnowsze preparaty oparte są na innych mechanizmach, działają na inne receptory pre- i postsynaptyczne. Upraszczając: mamy kuleczki neuroprzekaznika, które po obu stronach synapsy trafiają jak klucze w różne „zamki”, otwierają jednak nie tylko drzwi prowadzące do leczenia depresji, ale też do objawów niepożądanych. Pojawiają się nudności, biegunki, tyle że one z czasem mijają. Najnowsze leki są bardziej selektywne, jedne receptory aktywują, inne blokują, więc dają mniej ujemnych skutków.

Ale te złe drzwi oznaczają nie tylko nudności. Na forach ludzi zmagających się z depresją są zwierzenia w rodzaju: „co z tego, że nie mam już czarnych myśli, skoro spadło mi libido i moje małżeństwo się sypie”. Albo pacjenci skarżą się, że nagle mocno utyli i nie mogą zrzucić wagi. Przecież otyłość czy brak erekcji potrafią zdewastować kogoś, kto już i tak cierpi.

Fakt, przy niektórych lekach tak jest. Warto się jednak takimi problemami dzielić z lekarzem, a on również powinien o to pytać, gdyż dysponujemy wieloma lekami, które takich skutków nie przynoszą. Znane są też inne, po których się chudnie lub nic się z wagą nie dzieje.

Separacja w czasie pandemii, wojna w Ukrainie, kryzys gospodarczy – mocno nas naruszyły. Wiele osób zмага się z lękiem. Z tego powodu popularne stały się preparaty przeciwłękowe, benzodiazepiny.

Na pierwsze efekty antydepresantów musimy czekać kilka tygodni, psychoterapia jest jeszcze dłuższym procesem. Tymczasem preparaty przeciwłękowe dają efekt bardzo szybko, ale są pułapką, gdyż silnie uzależniają, a to wywołuje zgubne skutki dla psychiki.

Powinny być stosowane albo przez maksymalnie cztery tygodnie, albo doraźnie, w razie napadów lękowych czy ostrych sytuacji kryzysowych. Czasem sam fakt posiadania przy sobie tabletki może działać na pacjenta uspokajająco. Długotrwale w leczeniu lęków i napadów paniki lepszy efekt dadzą niektóre antydepresanty o działaniu przeciwlękowym.

Kłopot w tym, że przepisywanie miesiącami leków przeciwlękowych lub równie uzależniających środków nasennych to niestety zwyczaj niejednego lekarza.

To jest poważny problem. Nie zapominajmy jednak o świadomości samych pacjentów, którzy mają ostrzeżenia wyraźnie zapisane w ulotkach. Pamiętajmy też, że wielu ludzi pije regularnie alkohol, a potencjał uzależnienia tkwi w co dziesiątym z nich. Ważne są więc świadomość i uważna obserwacja, czy nie wytwarza się w nas tolerancja i nie zaczynamy brać coraz większych dawek; czy nie odczuwamy głodu i nie „chodzimy po ścianach”, gdy na chwilę odstawimy lek. Nie wszystko da się zrobić za pacjenta.

Są ludzie, którym nie sposób pomóc?

Pamiętam pana po dziewięćdziesiątce, bardzo sprawnego umysłowo, emerytowanego sędziego, który owdowiał lata temu, a przed wizytą u mnie pochował córkę, cierpiącą na długotrwałą chorobę serca. Czy na jego depresję pomogą leki?

Nie, tu może pomóc tylko drugi, bliski człowiek, którego już nie ma i nie będzie.

Już 23 proc. Polaków mieszka samotnie, w niektórych miastach ten odsetek dochodzi do 36. Wciąż daleko nam do Skandynawii, gdzie niedługo jednoosobowych gospodarstw domowych będzie już więcej niż połowa, ale czy nie obawia się Pani, że i nas czeka epidemia depresji i lęku?

Osamotnienie jest najcięższą chorobą współczesnego świata, zwłaszcza jeśli chodzi o osoby starsze. W efekcie depresja dotyka je dwukrotnie częściej niż tzw. zespoły otepienne. Jest więc ważne, by rządzący inwestowali w pomysły, które pozwolą stawić temu czoło. Chodzi o to, żeby te osoby miały dokąd pójść, z kim się spotkać, realizować pasję, być pod opieką specjalistów. Zwłaszcza że osamotnienie mocno koreluje z przebiegiem kosztownych w leczeniu chorób somatycznych.

Osobie samotnej łatwiej o stabilność psychiczną, jeśli ma znajomych lub krewnych oraz dba o to, by nie karmić się tylko własnymi myślami, ale spędzać aktywnie czas. Takie sieci społeczne lepiej potrafią tworzyć kobiety, mężczyźni częściej kończą życie w skrajnej samotności, z pilotem w ręku.

Tak często bywa. Dlatego ja odróżniam samotność od osamotnienia. Sa-

motność czasem bywa nam potrzebna, zwłaszcza jeśli alternatywą jest toksyczny związek, czasem też pozwala lepiej przemyśleć, kim jestem i czego oczekuję od życia lub od związków, by nie powtarzać tych samych nieudanych scenariuszy z innymi ludźmi. Osamotnienie jest dużo gorsze.

Nie ma do kogo ust otworzyć, poradzić się, uzyskać pocieszenia. Najgorsze są pewnie weekendy.

Oczywiście. Sama jestem po rozwodzie, moje córki są dorosłe i wyjechały już z Krakowa, jedna za granicę. Dużo pracuję, spotykam wielu ludzi, mam przyjaciół, dobre relacje z rodzicami, dwa psy, goszczę w domu ukraińskich uchodźców – jest mi łatwiej. Ale zdaję sobie sprawę, że część moich aktywności może wynikać z lęku przed samotnością.

Znam więc ten problem i dlatego rozmawiam o tym z pacjentami, szukam wraz z nimi rozwiązań i pomysłów. Takim pomysłem może być np. zakup czy adopcja psa. Zwierzę nadaje dniom strukturę, rutynę, zapewnia korzystną dla zdrowia aktywność fizyczną, czujemy się za coś odpowiedzialni, możemy porozmawiać na spacerze z innymi właścicielami, poza tym psy mają w sobie wiele empatii. To może pomagać.

© Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

■ O debacie na temat depresji pisze też w tym numerze **Tomasz Stawiszyski**. Czytaj felieton na str. 33.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Katarzyna Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoreportaż: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, **Rozwój cyfrowy:** Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bonda, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocza-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja: redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłatnej, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Modlące się nogi rabina*



TEST ZE ZNAJOMOŚCI LEKTURY BYWA ZMORĄ wielu uczniów. Czy ci spośród Państwa, którzy czytali albo przynajmniej oglądali „Przeminęło z wiatrem”, zdołają sobie przypomnieć, co śpiewali niewolnicy z Tary idąc ulicami Atlanty? Coś podpowiedzieć?

W tej pieśni często powtarzają się słowa zaczerpnięte z Biblii: „A następnie przyszli Mojżesz i Ahron, i rzekli do Faraona: »Tak rzecze Wiekuisty, Bóg Izraela: uwolnij lud Mój, aby Mi obchodzili święto na puszczy«” (Wj 5, 1; Cyllkow). Wielu nazywa ten popularny utwór „Let My People Go” – czyli „Uwolnij Mój lud”, choć właściwy tytuł to „Go Down Moses”.

Gdzie ma zstąpić Mojżesz? Do doliny Nilu, gdzie okrutny faraon zniewolił Dzieci Izraela, i tam negocjować, by władca zwrócił im wolność. Nil niczym Missisipi, a na plantacjach bawełny czarni niewolnicy pracowali zazwyczaj o wiele ciężej niż w północnych Stanach. Śpiewanie gospel o losach starożytnych Izraelitów dawało im nadzieję na poprawę własnego losu.

W styczniu 1963 r. odbyła się w Chicago konferencja dotycząca religii i rasy. Pierwszego dnia przemawiał wybitny teolog, rabin Abraham Joshua Heschel. Zaczął tak: „Podczas pierwszej konferencji na temat religii i rasy głównymi uczestnikami byli faraon i Mojżesz. Oto słowa Mojżesza: »Tak mówi Pan, Bóg Izraela: ‘Wypuść Mój lud, aby obchodził święto dla Mnie’«. Zaś faraon odparował: »Kim jest Pan, że miałbym usłuchać tego głosu i wypuścić Izraela? Nie znam Pana, a poza tym nie puszczę Izraela«. To spotkanie na szczycie nie przyniosło jeszcze rezultatów. Faraon nie jest gotów, by skapitulować. *Exodus* się rozpoczął, ale daleko do jego zakończenia. W rzeczywistości Dzieciom Izraela łatwiej było przejść przez Morze Czerwone niż czarnemu przekroczyć próg niektórych kampusów uniwersyteckich”.

Faraon mówi, że nie zna Pana. Jako bałwochwalca posiada wiedzę o wielu bogach, może więc tę wiedzę poszerzyć. Dalej rabin Heschel: „Czym jest bóg? Każdy bóg, który jest mój, ale nie twój, każdy bóg troszczący się o mnie, ale nie o ciebie – jest bożkiem. Wiara w Boga nie stanowi po prostu polisy ubezpieczeniowej na życie pozagrobowe. Rasową lub religijną bigoterię należy postrzegać jako to, czym jest: satanizmem, bluźnierstwem. (...) Myślenie o człowieku w kategoriach białej, czarnej czy żółtej jest czymś więcej niż błędem. To choroba oczu, rak duszy” (przekład mój).

Na tej konferencji Abraham Joshua Heschel, urodzony w Warszawie potomek chasydzkich cadyków, spotkał Martina Luthera Kinga. Maszerował z nim potem z Selmy do Montgomery, i – jak to później opisał – czuł wówczas, że jego nogi się modlą. Rabin niejednokrotnie zabierał głos w palących kwestiach społecznych, uczestniczył w II Soborze Watykańskim. Obchodzimy właśnie 50. rocznicę jego śmierci. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Boży rezerwat*



IDZIE WIOSNA, KWITNĄ LESZCZYNY i wierzyby, wracają ptaki i coraz częściej wpadamy w zachwyt nad pięknem świata i dobrocią Stwórcy. Nie sposób jednak zapomnieć, że istnieje coś takiego jak łańcuch pokarmowy, którego ostatnie

ogniwo to my, drapieżniki, śmiertelnie groźne dla wszystkich i wszystkiego, łącznie z własnym gatunkiem. O ile jednak nie ma sensu pytać rysia, jakim prawem zabija sarnę, o tyle człowieka zabijającego wołu, koszącego łąkę czy wymuszającego rozszczepienie jąder uranu i plutonu, jakim prawem to robi, pytać należy.

Wisława Szymborska pisze, że owszem, myszółów, pantera, grzechotnik, szakał, orka „nie wątpię o słuszności czynów swych”, aprobują „siebie bez zastrzeżeń (...) żyją jak żyją i rade są z tego”, ale ludziom taka niewinność nie przystoi: „Nic bardziej zwierzęcego / niż czyste sumienie / na trzeciej planecie Słońca”. Poetce sekunduje filozof Leszek Kołakowski: „Wyznamy to: taka jest nasza codzienna filozofia, filozofia całkowitej niewinności jednostki, odrzucenie osobistej odpowiedzialności, zanegowanie zła i grzechu, a ostatecznie zanegowanie człowieka poprzez zapomnienie Jezusa”. W rezultacie „jeżeli wyobrażam sobie, że grzeszę, muszę po prostu pójść do psychoanalityka, a on mnie wyleczy z tych urojeń”.

Papież Franciszek stwierdza, że „ekologia integralna jest tak samo ważna, jak adoracja Jezusa w Eucharystii, gdyż jest adoracją Boga w jego stworzeniu”. A to znaczy, że na cokolwiek patrzemy, czegokolwiek dotykamy, o czymkolwiek myślimy i marzymy, zawsze mamy do czynienia z Bogiem. I niech nas nie zwodzą nabożne pieśni w stylu „Jezusa ukrytego mam w sakramencie czci” czy „Idzie, idzie Bóg prawdziwy, / Stańmy wszyscy pięknym kołem / I uderzmy przed Nim czołem”. Bóg się nie ukrywa i nie potrzebuje przychodzić, skoro „jest we wszystkim i ponad wszystkim”. A patrząc na świat w świetle Ewangelii widzimy, że najprędzej można Go spotkać tam, gdzie dzieją się rzeczy potworne, dosłownie diabelskie, jak na Golgocie.

„Bóg, na początku stworzył człowieka (...) i pozostawił mu moc własnego wyboru. Jeśli zechcesz, zachowasz przykazanie, a wierność [polega na] spełnianiu Jego woli. (...) Przed każdym człowiekiem jest życie i śmierć, on zaś bierze z tego to, czego sam zapragnie. Przeobita jest mądrość Jahwe, jest On wszechmocny i widzi wszystko” (Syr 15, 14-18). Żeby dokonać wyboru, potrzebna jest odwaga widzenia „wszystkiego”, czyli tego, co tu i teraz się dzieje. Dlatego trzeba uważać, czy przypadkiem modląc się o błogosławieństwo, nie prosimy Boga, żebyśmy nie musieli zajmować się ohydą, ale również pięknem, tego świata. Marzy nam się jakiś taki rezerwat, w którym pod okiem Boga jego wierni żyliby długo i szczęśliwie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Zachęta

Jak barwnik dobry, trwały,
który wnika głęboko w tkaninę
– tak barwi Bóg.

EWANGELIA FILIPA



Nie pragnij być wyjątkowy
niczym nefryt.
Bądź raczej jak toczące się
po stoku kamienie.

LAOZI



W ZAKOŃCZENIU CZYTANEGO ostatnio Listu do Hebrajczyków padają praktyczne zalecenia, wynikające z prezentowanej wcześniej wielkiej teologii. Warto jest je przeczytać w zapisie oryginalnym. Zobaczmy jedynie pierwsze trzy wersety rozdziału 13.: „Niech trwa braterska miłość. Nie zapominajcie też o gościnności, gdyż przez nią niektórzy, nie wiedząc, aniołom dali gościnę. Pamiętajcie o uwięzionych, jakbyście byli sami uwięzieni, i o tych, co cierpią, bo i sami żyjecie w ciele”.

Polskie tłumaczenie nie oddaje kompatybilności dwóch pierwszych wersetów. Obydwa są nakazami miłości (grec. *philia*). „Braterska miłość” oddana jest słowem *philadelphia* (grec. *adelphos* znaczy „brat”); „gościnność” natomiast wyrażona jest słowem *philoxenia* (grec. *xenos* znaczy tyle, co „obcy”, „daleki”, „gość”). Chodzi więc o miłość do najbliższych i o miłość do obcych. Uderzające jest przy tym, że Bóg jakby chętniej utożsamia się z tymi drugimi. To ich przyjmując, można – nieświadomie – udzielić gościnę Jego aniołom. W tym miejscu intrygujący jest również przekład Wulgaty – św. Hieronim tłumaczy: *hospitalitatem nolite oblivisci*, co dosłownie znaczy: „Nie chcecie zapominać o gościnności”. Kładzie więc nacisk na postawę woli, na predyspozycję. Jakby zdawał sobie sprawę z tego, że nie zawsze życie stawia nas wobec takiego wymagania: okazania konkretnej mi-

łości ludziom „obcym”. Prawdziwym dramatem jest jednak odrzucenie takiej postawy *a priori*: nigdy nie widziałem na oczy potrzebującego imigranta, ale jakby „z definicji” wykluczam możliwość jego przyjęcia...

Następne zalecenie też przetłumaczone jest mniej wymagająco. W zapisie oryginalnym trudno doszukać się użytego przez tłumacza „jakby”: „jakbyście byli sami uwięzieni”. Tekst jest o wiele prostszy (przez to mocniejszy): „Pamiętajcie o uwięzionych jako współuwięzieni” (grec. *syndedemenoi*). Chodzi więc o pamięć, która jest świadomością wspólnoty losu – przekonaniem, iż moje miejsce jest obok braci zamkniętych w więzieniu, że oni cierpią za mnie i jakby w moim imieniu.

I podobnie rzecz się ma z ostatnim z przytoczonych poleceń: „[pamiętajcie] o cierpiących (dosł.) tak, jak i oni pozostający w ciele” – przy czym „ciało” oddane jest tu greckim słowem *soma*, które oznacza bardziej „organizm” niż „mięso” (grec. *sarx*). Tym właśnie słowem (*soma*) Paweł opisuje Kościół jako ciało (Rz 12, 4; 1 Kor 12, 12; Ef 4, 16). Tak więc z tymi, którzy cierpią/są utrudnieni czy źle traktowani, mamy się poczuć jedno – tak jak członki jednego organizmu. Ich cierpienie nie może być dla nas jakimś „zewnętrznym” doświadczeniem – odnotowujemy je, może nawet o nim dyskutujemy (więc: „pamiętamy”). Nie. Natchniony tekst wzywa nas do głębokiego pocucia wspólnoty, która nie przekłada się „tylko” na pamięć, ale na współodczuwanie. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 II)

6. niedziela zwykła: Syr 15, 15-20;

Ps 119; 1 Kor 2, 6-10; Mt 5, 17-37;

Poniedziałek: Rdz 4, 1-15. 25; Ps 50; Mk 8, 11-13;

Wtorek: Dz 13, 46-48; Ps 117; Łk 10, 1-9;

Środa: Rdz 8, 6-13. 20-22; Ps 116; Mk 8, 22-26;

Czwartek: Rdz 9, 1-13; Ps 102; Mk 8, 27-33;

Piątek: Rdz 11, 1-9; Ps 33; Mk 8, 34 – 9, 1;

Sobota: Hbr 11, 1-7; Ps 145; Mk 9, 2-13;

7. niedziela zwykła: Kpł 19, 1-2. 17-18;

Ps 103; 1 Kor 3, 16-23; Mt 5, 38-48.

Wybrat PIOTR SIKORA

A JEDNAK SIĘ KRĘCI

Poprawki pisane na kolanie,
polityczne przepychanki
i tony niepotrzebnie spalonego węgla.
Lata mijają, a polskie władze nadal
walczą z wiatrakami.

KRZYSZTOF STORY



NAD RANEM 1 LUTEGO 2023 R. WIATRaki w Polsce były rekord za rekordem: o 6 rano ponad 35 proc. prądu w całym kraju pochodziło właśnie z wiatru. To dobry moment na bicie rekordów i liczenie megawatogodzin, bo Sejm właśnie wyjął z zamrażarki ustawę, która ma zdjąć wiatrakom hamulec o nazwie „10H”. Zaciągnięty 7 lat temu, nadal działa – w promieniu 10-krotnie większym niż wysokość nowej turbiny nie może być zabudowań mieszkalnych, lasów i żadnych form ochrony przyrody. Nowe wiatraki mają od 150 do 200 metrów wysokości, więc można je budować... praktycznie nigdzie. Badania fundacji Instrat pokazu-

ją, że 10H wykluczyło z inwestycji wiatrowych 99,7 proc. powierzchni Polski.

Co ciekawe: ta sama władza, która 7 lat temu uśmierciła lądową energetykę wiatrową, teraz próbuje ją nagle reanimować. Rządzący od 6 lat premier mówi o potrzebie budowania wiatraków, bo zastąpią drogi węgiel z importu, do którego wcześniej jego rząd sam proponował miliardowe dopłaty. Pośpiech nie wynika jednak z kryzysu klimatycznego, wieloletnich planów transformacji energetycznej i rosnących kosztów paliw kopalnych, tylko z faktu, że odblokowanie wiatraków sami wpisaliśmy na listę kamieni milowych Krajowego Planu Odbudowy i już jesteśmy

pół roku po terminie ich realizacji. Bez tego możemy zapomnieć o miliardach euro unijnej pomocy – nawet niezależnie od tego, że władza już zaczęła ustępować w sporze z Brukselą o ustawy sądownicze.

Dekada w plecy

Ile zmarnowaliśmy czasu, dobrze wi-
dać w statystykach. To, co u nas jest re-
kordem, w wielu europejskich krajach
jest po prostu normalne. W energetyce
wiatrowej zostaliśmy daleko w tyle nie
tylko za Niemcami (19,9 proc. niemiec-
kiego prądu w 2021 r. wyprodukowały
turbiny), ale też Hiszpanią (23 proc.),
Portugalią (27 proc.) i Wielką Brytanią



*Farma wiatrowa w Cisowie koło Darłowa.
18 sierpnia 2015 r.*



→ (21 proc.). W Polsce udział energetyki wiatrowej to zaledwie 9 proc. Wyrzdzają nas Rumunia, Chorwacja, Grecja, Finlandia, Szwecja, Austria, Estonia i cały Beneluks, a do liderów mamy boleśnie daleko – Irlandia produkuje z wiatru 32 proc. prądu, sąsiednia Litwa 36 proc., a liderka rankingu Dania prawie 49 proc. Państwa, które w rankingu lądują za nami, dysponują albo wielkimi elektrowniami atomowymi (np. Francja, Słowacja), albo wodnymi (Norwegia, Łotwa).

Wcale nie musiało tak być. Polska ma niezłe warunki wietrzne, zwłaszcza na północy kraju, i sporo niezabudowanych obszarów. Ma też społeczeństwo, które chętnie korzysta z odnawialnych źródeł energii i równie chętnie na nich zarabia (wystarczy wspomnieć prawie 12 GW mocy zainstalowanej w panelach fotowoltaicznych, z których znakomitą większość stanowią małe, domowe instalacje). W dodatku ma również dobrą motywację: rosnące opłaty za emisję i starzejące się węglowe piece w elektrowniach. Cały potencjał naszej lądowej energetyki wiatrowej szacuje się na ponad 30 GW, do tej pory ledwo przekroczyliśmy 7. Skąd u nas taka flauta?

Zaczęło się po polsku: od chaosu przestrzennego. Farmy wiatrowe powstawały, ale brakowało przepisów, które skutecznie chroniłyby krajobraz i jego mieszkańców. Jeszcze w 2014 r. branży przyglądała się Najwyższa Izba Kontroli. Okazało się, że 30 proc. wiatraków powstaje na terenach należących do pracowników gmin (np. wójtów, burmistrzów, radnych), przy ich budowie brakuje konsultacji społecznych i dobrego nadzoru technicznego, a pozwolenie na budowę inwestor najczęściej dostaje po przekazaniu darowizny na rzecz gminy. Krzysztof Kwiatkowski, ówczesny prezes NIK, otwarcie nazwał ten rynek „patologicznym”. Czasowy (do momentu stworzenia dobrego prawa) zakaz budowania wiatraków jako pierwszy zaproponował w 2012 r. prezydent Bronisław Ko-

Polskie przepisy to kuriozum.

Zasadę 10H stosuje tylko jeden niemiecki land. Wiele państw nie ma sztywno określonych odległości.

morowski. Pomysł upadł, ale temat podchwycił PiS, który walkę z wiatrakami wpisał do swojego programu.

– To był splot kilku czynników – mówi Michał Hetmański, prezes fundacji In-Strat. – Przeciwno OZE od zawsze występowało lobby węglowe, niektórzy inwestorzy wiatrakowi szli najmniejszą linią oporu i nie inwestowali w dobre relacje ze społecznością lokalną. To spowodowało, że część ludzi miała rzeczywiście negatywne nastawienie do wiatraków, a politycy postanowili to zagospodarować, zamiast dobrze uregulować proces ubiegania się o lokalizację i pozwolenia.

Wiatrakowy skansen

Jedną z głównych postaci ruchu antywiatrakowego była i jest Anna Zalewska, dziś posłanka do Parlamentu Europejskiego. W 2015 r. to był główny motyw jej kampanii: podczas licznych spotkań straszyla spadającymi na ludzkie głowy łopatami wielkości ciężarówki, mówiła o szkodliwych dla zdrowia infradźwiękach i rzekomo sprowadzanych do Polski starych turbinach, których nie chciał Niemiec czy Duńczyk. Rzeczywiste problemy w tej opowieści mieszały się z kompletnie wyobrażeniami.

Po zwycięstwie w wyborach Zalewska i PiS od razu przeszli do działania. Zasadę 10H uchwalono w maju 2016 r. Efekt był natychmiastowy: w ciągu 12 miesięcy przed zmianą przepisów zbudowano więcej mocy wiatrowych niż przez następne 5 lat.

– Byłem w Sejmie podczas prac nad tą ustawą – mówi Wojciech Kukula, prawnik z fundacji ClientEarth. – To było spełnienie złożonej przez PiS obietnicy „ucywilizowania lokalizacji farm wiatrowych”. Cel słuszny, tylko że tutaj po prostu wyłano dziecko z kąpielą.

Z wyników kontroli NIK prowadzonej w latach 2017-2020: „Minister Środowi-

ska i Klimatu [kolejno Jan Szyszko, Henryk Kowalczyk, Michał Kurtyka – red.] nie ocenił skutków zmian wprowadzonych ustawą z 2016 r. (...) Zaniechania miały miejsce mimo informacji wskazujących na zahamowanie po 2016 r. inwestycji w energetyce wiatrowej na lądzie”.

Z czasem regułę 10H było coraz trudniej spełnić, bo nowe wiatraki stawały się wydajniejsze, ale też wyższe. W Polsce od 7 lat buduje się więc głównie te projekty, na które pozwolenia wydano przed zaciągnięciem hamulca.

– W ten sposób staliśmy się wiatrakowym skansenem – komentuje Kukula. – To są starsze turbiny, których nie kupuje już nikt poza Polską. Oczywiście mogliśmy w tym samym miejscu postawić lepsze, wydajniejsze i cichsze wiatraki, ale to wymagałoby nowego pozwolenia na budowę. Tego zaś z kolei wydać nie można, bo obowiązuje 10H. Koło się zamyka.

500 metrów w zamrażarce

Polskie przepisy stanowią kuriozum na skalę europejską. Zasadę 10H stosuje jeszcze tylko jeden niemiecki land – Saksonia. Wiele państw w ogóle nie ma sztywno określonych odległości, decyzje podejmuje się dla konkretnej inwestycji (m.in. Wielka Brytania, cała Skandynawia, Finlandia), inne mają dużo mniej rygorystyczne wymagania niż Polska. Gdy pojedzie się do Portugalii (minimum 500 metrów od zabudowań), można się zdziwić, widząc piękne górskie grzbiety zabudowane wiatrakami. Z drugiej strony: to nie Portugalia ma dziś problem z gigantycznymi rachunkami za emisję i psującymi się blokami węglowymi.

Dyskusja nad zmianą zasady 10H trwa w zasadzie od jej wejścia w życie. Prace nad konkretnym projektem zaczęła jeszcze minister Jadwiga Emilewicz w 2019 r. Po drodze były rekonstrukcje rządu, rozszady na stanowiskach i rozłamy w koalicji. W efekcie projekt, nad którym teraz obraduje Sejm, był już konsultowany przez co najmniej 3 różne ministerstwa (i jest o kilka lat spóźniony, a każdy rok opóźnienia według raportu Aurora Energy Research kosztuje nas nawet 7 mld zł). Za każdym razem głos zabierali też przedsiębiorcy i organizacje ekologiczne.

Gdy w lipcu zeszłego roku głosował nad nią rząd, była to jedna z najlepiej

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl

wydyskutowanych ustaw w kraju. Jej podstawowe założenie – wiatrak minimum 500 metrów od domu – zdążyła nawet przebadać Polska Akademia Nauk (zdaniem PAN nie ma żadnych dowodów na to, by wiatraki w tej odległości miały negatywny wpływ na zdrowie). Cała branża, jeśli planuje jakiegokolwiek inwestycje, od lat planuje je właśnie w oparciu o limit 500 metrów. Tylko że Zjednoczona Prawica gotowy projekt autorstwa swojego rządu na pół roku wsadziła do sejmowej zamrażarki, nawet bez numeru druku. Wszystko przez spór w koalicji, który nie ma nic wspólnego z energetyką, a wiele z tym, kto wyjdzie na „miększona” przed Brukselą, bo wiatraki to jeden z kamieni milowych Krajowego Planu Odbudowy. Ustawie sprzeciwiała się Solidarna Polska, a także część PiS, aż w końcu w styczniu nastąpił przełom i Sejm wiatrakami się zajął.

Nic dziwnego: jesteśmy pod ścianą z KPO (choć fakt, że dopiero negocjacje z Brukselą zmuszają nas do strategicznego myślenia o własnej energetyce, sam w sobie jest smutnym świadectwem), dopłacamy miliardy do węgla i na własnej skórze doświadczaliśmy, czym kończy się zależność od importowanych surowców.

Suski ex machina

Wiatraki na lądzie nie rozwiążą wszystkich problemów polskiej energetyki, ale mają dwie zalety. Pierwsza: skutecznie obniżają cenę energii – obejmująca dwa lata analiza Instytutu Jagiellońskiego pokazała prostą zależność między siłą wiatru a ceną energii. Druga: w porównaniu z atomem czy morskimi farmami wiatrowymi (pierwsza na Bałtyku ma ruszyć dopiero w 2026 r. – to temat na kolejny tekst o przespanych szansach) buduje się je błyskawicznie, a chętnych nie zabraknie, bo Polska to wciąż atrakcyjny rynek dla OZE. Wiele firm od lat dzierżawi działki, czekając tylko na sygnał do startu, czyli usunięcie zasady 10H.

Wydawało się, że to ostatnia prosta. Rządowy projekt trafił na Komisję do spraw Energii, Klimatu i Aktywów Państwowych (razem z pięcioma opozycyjnymi, ale tamte szybko odrzuciono). I wtedy na scenę wkroczył *deus ex machina* poseł Marek Suski: wziął kartkę i odręcznie napisał poprawkę, która

W 2021 roku
ponad 84 proc. naszego prądu
pochodziło ze spalania
węgla, gazu lub ropy.

**Gorszy wynik w Europie
miały tylko cztery kraje.**

500 metrów zmienia na 700. Dlaczego akurat 700? Tego poseł nie zdradził. Komisja poprawkę przyjęła.

Rozmawiając z ekspertami dzień po głosowaniu komisji, słyszę wyłącznie zaskoczenie. Nie dziwię się, bo ciężko ten tryb stanowienia prawa traktować poważnie, ale innego wyboru chyba nie ma. – Pięćset metrów gwarantowało nam, że kilka gigawatów mocy byliśmy w stanie zbudować szybko, w ciągu dwóch-trzech lat – mówi Szymon Kowalski, wiceprezes Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej. – Takie projekty planowaliśmy, pod takie projekty są przygotowane już w części miejscowe zagospodarowania przestrzenne. Ta kartka papieru opóźni ich budowę o kolejne trzy-cztery lata.

Posłowi Suskiemu, z wykształcenia technikowi teatralnemu, mogły umknąć niektóre konsekwencje jego poprawki. Żadnych zresztą nie przedstawił, pochwalił się jedynie, że Ministerstwo Klimatu i Środowiska o jego propozycji nie miało pojęcia. Jesteśmy w paradoksalnej sytuacji, w której to biznes musi sam oceniać skutki regulacji spisanych „na kolanie” przez polityków.

– Z wstępnych obliczeń wynika, że „dzięki” tej poprawce zamiast 18 GW mocy w 2030 r. będziemy mieli nieco powyżej 11 GW, które wybudują się na jeszcze obowiązującej zasadzie 10H – mówi Michał Hetmański i nazywa propozycję „zgniłym kompromisem”.

Don Kichot

Tekst oddajemy do druku tuż przed kolejnym posiedzeniem Sejmu, jest więc szansa, że posłowie zdecydują się wrócić do 500 metrów. Jeśli nie, odręcznie spisany świstek może mieć większe znaczenie dla cen prądu i naszego bezpieczeństwa energetycznego niż notorycznie ignorowany przez władze dokument „Polityka energetyczna Polski do 2040 r.”.

Pewne jest jedno: nawet zakładając odrzucenie poprawki Suskiego, będziemy mieć jedno z najbardziej restrykcyjnych regulacji w Europie.

Nowa ustawa tak naprawdę nie likwiduje zasady 10H, a tylko ją luzuje. Pozwala gminom zmniejszyć odległość, ale dopiero po przeprowadzeniu konsultacji społecznych. Na inwestora nakłada zaś obowiązek udostępnienia 10 proc. udziałów w wyprodukowanej energii, które będzie mogła wykupić lokalna społeczność. 10H nadal będzie obowiązywać przy wszystkich formach ochrony przyrody, więc nie musimy się obawiać, że ktoś zabuduje wiatrakami grzbiet Karonoszy czy Bieszczadów.

Bać się powinniśmy czegoś innego: według raportu organizacji HEAL Polska trwanie przy energetyce opartej na węglu może spowodować do 2049 r. nawet 35 tysięcy przedwczesnych zgonów z powodu chorób płuc wywołanych zanieczyszczeniem powietrza. Nie mówiąc już o tym, że będziemy mieli coraz droższy i mniej konkurencyjny miks energetyczny.

– To nie jest problem tylko branży OZE – mówi Szymon Kowalski. – Wszystkie większe firmy na świecie, także polskie, mają już swoje cele redukcji emisji oraz zobowiązania dotyczące korzystania z bezemisyjnej energii. Jeśli my nie będziemy im w stanie zaofertować czystego prądu, nie zbudują u nas fabryki, nie otworzą biura.

W 2021 r. ponad 84 proc. naszego prądu pochodziło ze spalania węgla, gazu lub ropy. Gorszy wynik w Europie miały tylko cztery kraje: Mołdawia, Kosowo, Cypr i Białoruś. Lepszego pomysłu na odejście od paliw kopalnych niż elektryfikacja jak na razie nie mamy, dlatego Europa masowo przesiada się na elektryczne samochody, Polki i Polacy w 2022 r. kupili 200 tysięcy pomp ciepła, a na wielu wiejskich dachach błyszczą panele fotowoltaiczne. Oczywiście jest, że potrzebujemy coraz więcej energii z odnawialnych źródeł i nie możemy obrażać się na wybraną technologię ani toczyć z nią donkiszotowskich potyczek. Powinniśmy się raczej zastanawiać, jak połączyć wszystkie w miks dopasowany do naszych warunków i możliwości. Szkoda tylko, że nasz system energetyczny, a zwłaszcza posłowie, zostali daleko w tyle.

© KRZYSZTOF STORY

Nie do obrony

MAREK RABIJ

W kwestii abolicji dla Polaków walczących po stronie Ukrainy rząd zachowuje się co najmniej dziwnie. A na byłych żołnierzy, którzy chcą dalej wykorzystywać swoje umiejętności, też nie ma pomysłu.

NIE JEST Tajemnicą, że w zależności od doraźnych politycznych potrzeb Sejm pracuje w trybie albo maszynki, która błyskawicznie przepycha potrzebne akurat regulacje przez kolejne etapy legislacji, albo zamrażarki, w której utykają projekty niewygodne dla rządzących. Zaskakująco wręcz opieszale jest zatem tempo prac nad pozornie ważną z punktu widzenia obozu władzy ustawą, która zwalnia z odpowiedzialności karnej Polaków walczących w szeregach ukraińskiej armii.

W grudniu ubiegłego roku do Sejmu trafił projekt, który zakłada, że abolicja przysługiwałaby każdemu obywatelowi Rzeczypospolitej, który podjął taką służbę po 20 lutego 2014 r., nie mając na to zgody MON. Przestępstwem nie byłoby również prowadzenie zaciągu polskich obywateli lub przebywających w Polsce cudzoziemców do ukraińskiego wojska.

Pod dokumentem solidarnie podpisali się posłowie PiS, Koalicji Obywatelskiej, Lewicy, Koalicji Polskiej-PSL, Polski 2050 oraz PPS, po czym prace zamarły. Centrum Informacyjne Sejmu uspokaja, że ustawa przechodzi normalną ścieżkę legislacyjną, która obejmuje m.in. konsultacje z Radą Dialogu Społecznego, Naczelną Radą Adwokacką i Krajową Radą Sądownictwa – ale to właśnie standardowa procedura zamrażania niechcianych projektów. Dlatego opozycja uważa, że ustawa została zablokowana. Drukowi z projektem nie nadano nawet oficjalnego numeru.

– Dłaczego PiS nazywa walczących w Ukrainie Polaków bohaterami, a jednocześnie nie chce przyjąć przepisów, które przestaną traktować ich jak zdrajców ojczyzny? – powtarza pytanie senator Krzysztof Kwiatkowski. – Posłowie PiS mówią mi nieoficjalnie, że chodzi o animozje między czołowymi poli-

tykami rządzącej koalicji. W efekcie Polacy, którzy wracają z wojny na urlop lub leczenie, stają się potencjalnym celem dla prokuratury. PiS zapowiada wprowadzić, że nie będzie ich niepokoić, ale w ten sposób mnoży prawne absurdy, bo to oznacza, że na polityczne zlecenie prokuratura nie może ścigać za czyny, które formalnie są przestępstwem.

Furtka dla sojusznika

Po wejściu Polski do NATO w krajowych przepisach, które pod karą do pięciu lat więzienia zabraniały obywatelom wstępowania do formacji zbrojnych innych niż Wojsko Polskie, przewidziano wyjątki umożliwiające służbę w innych armiach, głównie z myślą o nabywaniu i wymianie doświadczeń w ramach Sojuszu. Oczywiście pod warunkiem uzyskania zgody MON (oraz MSWiA – w przypadku policjantów i innych mundurowych bez karty mobilizacyjnej, którą mają byli żołnierze). Tyle że po 24 lutego 2022 r. przepisy te zyskały nowy kontekst; teraz w grę wchodziła już nie tylko służba w armii któregoś z sojuszników z NATO, ale też w siłach zbrojnych kraju zaangażowanego w pełnoskalową wojnę obronną. Do tego z Rosją.

Do chwili zamknięcia tego numeru resort obrony nie odpowiedział na pytanie „Tygodnika” o liczbę wniosków złożonych w ubiegłym roku przez Polaków pragnących wstąpić w szeregi ukraińskiej armii – i wygląda to na konsekwentne embargo informacyjne. „Nie podzielię się tą wiedzą dlatego, że to ma jakieś znaczenie dla walk, które są prowadzone w Ukrainie. Dla naszego bezpieczeństwa także wolałbym tej informacji nie ujawniać. Ale takie wnioski spływają” – tak w kwietniu 2022 r. na antenie RMF FM do tego pytania odniósł się wiceszef MON Marcin Ociepa.



Trudno polemizować z takimi argumentami, nawet gdy stoją w sprzeczności z zasadą jawności życia publicznego i prawem do informacji. W sprawie pozwoleń dla Polaków pragnących wstąpić do ukraińskiej armii resort Mariusza Błaszczaka może mieć jednak jeszcze jeden, już czysto partykularny powód do chowania głowy w piasek. Byli wojskowi, którzy na początku wojny zgłaszali się do ministerstwa po zezwolenie, twierdzą bowiem, że spotykali się z odmową. Nieoficjalnie mówi się, że ministerialną ścieżkę przeszło w zeszłym roku zaledwie 16 osób, głównie instruktorów oddelegowanych do pracy w ukraińskim wojsku. A liczba złożonych wniosków już w pierwszym półroczu wojny miała przekroczyć dwieście.

– Sam znam kilka osób, którym odmówiono takiej zgody – potwierdza pułkownik Piotr Gstał, były dowódca jednostki specjalnej Grom. – Proszę wybaczyć, ale nie odpowiem, czy ruszyły na Ukrainę bez zezwolenia.

Dłaczego ten sam rząd, który od pierwszych dni wojny hojnie wspomaga wschodniego sąsiada, a ostatnio ustami



MICHAŁ DYJAŁ / AP / EAST NEWS

*Żołnierze ochotnicy ćwiczą przed wyjazdem do Ukrainy.
Okolice Warszawy, 20 maja 2022 r.*

premiera zapowiedział nawet renty dla dzieci poległych w Ukrainie Polaków, w stosunku do ochotników palących się do walki zachowywał tak daleko posuniętą ostrożność? Politycy i wojskowi, z którymi rozmawialiśmy, wskazują na kilka możliwych przyczyn. Pierwsza to początkowa niewiara w szanse skutecznego oporu ze strony Ukrainy i obawa o to, jak na obecność Polaków w ukraińskich szeregach zareaguje potencjalnie zwycięska Rosja. Druga – chęć zatrzymania w kraju doświadczonych weteranów, którzy mogliby okazać się bezcenni, gdyby po szybkim zwycięstwie nad Ukrainą Putin postanowił jednak pójść dalej na zachód. Wreszcie – chaos, jaki zaplanował po wybuchu wojny w resorcie, na który nagle spadł ciężar koordynacji pomocy wojskowej płynącej z NATO za wschodnią granicę Sojuszu. Na liście spraw do załatwienia prośby o pozwolenie na wyjazd na front nie znajdowały się wysoko.

Z każdym miesiącem skutecznej obrony Ukrainy i z kolejnymi doniesieniami mediów o Polakach poległych na tamtejszym froncie opieszałość MON

w rozpatrywaniu wniosków żołnierzy stawała się jednak dla PiS coraz większym problemem wizerunkowym. Czekałoby zbyt długo na zezwolenie wyjeżdżali na wschód bez błogosławieństwa resortu. Część ochotników nawet nie występowała o zgodę. W końcu obóz władzy postanowił zalegalizować *status quo*. Nie przewidział tylko, że frakcyjne konflikty w jego łonie poskutkują zablokowaniem projektu abolicji.

Krzysztof Kwiatkowski: – Proszę zauważyć, że na ukraińskim froncie walczą także obywatele polscy, którym wojna po prostu zastukała do drzwi, bo Ukraina od lat była ich drugą ojczyzną. W świetle polskiego prawa są takimi samymi przestępcami, jak najemnicy walczący jedynie dla pieniędzy.

Ochotnicy i najemnicy

Film z działań Międzynarodowego Legionu Obrony Terytorialnej Ukrainy, nakręcony zapewne podczas jesiennych walk gdzieś na wschodzie obwodu charkowskiego. Grupa świetnie wyekwipowanych żołnierzy tej jednostki, przydużona silnym ogniem broni maszynowej,

chroni się w opuszczonym magazynie. Pomimo trudnej sytuacji wojskowi szybko organizują obronę, a nawet znajdują czas na żarty z przeciwnika. Porozumiewają się głównie po angielsku, chwilami, w rozmowach w cztery oczy, przechodzą na francuski lub ukraiński, za to emocje podkreślają wciąż tym samym, dobrze znanym polskim przekleństwem na literę „k”. W oddziale z pewnością muszą zatem służyć Polacy.

Ilu obywateli naszego kraju zasililo ukraińskie szeregi? W kwietniu 2022 r. rzecznik Międzynarodowego Legionu Obrony Terytorialnej Ukrainy Damien „Cicero” Magrou w rozmowie z PAP dementował rozsiewane przez Rosjan pogłoski, jakoby to Polacy stanowili trzon jednostki. W promoskiewskich mediach pojawiały się wyliczenia, że jest ich tysiąc siedmuset. W rzeczywistości, jak twierdził Magrou, najliczniej reprezentowaną nacją w Legionie mieli być wówczas Amerykanie i Brytyjczycy, a dopiero za nimi Polacy i Kanadyjczycy, spośród których wielu miało ukraińskie korzenie. „Ludzie z Polski podkreślają, że są tu po to, by bronić Ukrainy, ale także własnej ojczyzny. Mówią, że jeśli Putin nie zostanie zatrzymany tu, na Ukrainie, pójdzie dalej i zaatakuje Polskę” – wyjaśniał rzecznik Legionu.

Grzegorz Wydrowski, były żołnierz jednostki specjalnej prowadzący dziś Fundację Sprzymierzeni z Grom, liczbę Polaków noszących ukraiński mundur szacuje w przybliżeniu na 100-200 osób. Dużą część stanowią zresztą osoby pracujące na frontowym zapleczu: logistycy, paramedycy czy kierowcy. – Oczywiście mamy również rodaków w jednostkach liniowych – przyznaje Wydrowski. – Byłbym w sumie zdziwiony, gdyby ich tam zabrakło.

Przez polskie kontyngenty w Iraku i Afganistanie przewinęło się ponad 100 tys. żołnierzy, można więc przyjąć, że wielu polskich obywateli zdobyło w ten sposób doświadczenie poniekąd frontowe. Rzecz – jak mówi płk Gąstał – nie do wypracowania nawet podczas długotrwałego szkolenia, bo tylko chrzest bojowy daje żołnierzowi sposobność do pełnej weryfikacji wyszkolenia i predyspozycji psychicznych. Weterani polskich misji z doświadczeniem bojowym są więc pożądanym celem rekrutacji.

– Jeśli jednak ktoś myśli, że dzięki temu polskich najemników można znaleźć na arenie każdego konfliktu zbrojnego na

→ świecie, to się zawiedzie – zastrzega Wydrowski. – Staram się na bieżąco śledzić ten rynek i zapewniam, że to pojedyncze przypadki. – W porównaniu z pieniędzmi, jakie można dziś zarobić w sektorze prywatnym, coraz częściej także w Polsce, ta praca nie jest na tyle lukratywna, żeby zarobki uzasadniały ryzyko.

Ochroniarze i wolontariusze

Daniel to wymyślone imię – prosi, żeby go tak przedstawić. Jest grubo po czterdziestce, od kilkunastu lat nie dotknął broni.

– Żona w końcu na mnie wymusiła, że bym poszukał bezpieczniejszego zajęcia – buczy niskim głosem.

Daniel to były zawodowy żołnierz. Ma za sobą dwie zmiany w Afganistanie, podczas których – jak mówi – zdążył „co nieco” przeżyć. W pamięci zostały mu ostrzał moździerzowy bazy i odgłosy pocisków bijących w opancerzoną karoserię samochodu, którym jechał z kolegami na patrol. Najmocniejszym doświadczeniem była jednak zasadzka, w którą jego oddział wpadł w górach.

– Upalny dzień, powietrze się nie rusza, wszędzie cisza – relacjonuje. – A sekundę później wszystko wokół grzechocze, pył gryzie w oczy, bo padając na ziemię zgubiłem gogle. Pociski latają blisko, słysząc tylko świst i uderzenia w kamienie. Oczywiście przez pierwsze minuty nawet nie widzimy, skąd do nas strzelają i ilu ich jest. Po kilkunastu minutach przylatują amerykańskie samoloty i robią porządek. Kiedy robi się spokojnie, siadam za skałą, próbuję zdjąć hełm, ale palce mam zgrzbiałe jak od mrozu, choć z nieba leje się żar. Raz jeden w życiu coś takiego mi się przytrafiło.

Wkrótce Daniel żegna się z wojskiem i przyjmuje ofertę pracy w amerykańskiej firmie ochroniarskiej. W Afganistanie spędza jeszcze ponad rok, pilnując kluczowych budynków i instalacji, czasem konwojując ważne osobistości. Pensja? Jak żartuje, niemal taka sama jak z MON, tylko w dolarach. Sęk w tym, że Amerykanin o identycznych kwalifikacjach na tym samym stanowisku zarabiał o 70 proc. więcej od niego.

– Za czasów mojej służby w Iraku pracownik prywatnej firmy ochroniarskiej, zwykle były wojskowy, zarabiał średnio od pięciuset do tysiąca dolarów dziennie – mówi Grzegorz Wydrowski. – Najniższa stawka była za przysłowiowe pilno-

Liczba Polaków noszących ukraiński mundur to zapewne ok. 100-200 osób.

Dużą część stanowią pracujący na frontowym zapleczu.

wanie bramy. Najwięcej dostawało się za konwoje VIP. Na tę czytelną siatkę płac nakładał się jednak swoisty zarobkowy szowinizm, bo amerykańskie i brytyjskie firmy jawnie faworyzowały rodaków. Pracownicy z naszej części Europy dostawali nawet o kilkadziesiąt procent mniej.

Czasy finansowej bonanzy dla specjalistów od ochrony skończyły się wraz z ostrą fazą konfliktów w Iraku i Afganistanie – a raczej z lukratywnymi kontraktami od amerykańskiego rządu, jakie zgarniały prywatne firmy pokroju Blackwater. Dziś najatrakcyjniejszym pracodawcą są armatorzy, którzy chętnie zatrudniają byłych żołnierzy jako ochronę statków pływających trasami atakowanymi przez piratów. W tej roli występuje dziś co najmniej kilkadziesiąt byłych polskich wojskowych.

– Po 24 lutego kierunek ukraiński z pewnością zainteresował tych, którzy chcieliby nadal zarabiać na umiejętnościach wyniesionych z wojska – przyznaje Wydrowski. – Z tego, co wiem, Ukraina nie szasta jednak kontraktami. Część cudzoziemców służy w szeregach jej armii formalnie jako wolontariusze. Czy takie osoby w rzeczywistości dostają za służbę wynagrodzenie? Sam chciałbym wiedzieć.

Po służbie

Jedno nie ulega wątpliwości: mimo zapowiedzi w Polsce nadal nie udało się stworzyć systemu, który utrzymywałby byłych żołnierzy i funkcjonariuszy służb specjalnych w orbicie państwa – zmniejszając w ten sposób ryzyko, że po ich umiejętności i wiedzę zechcą sięgnąć wywiady obcych krajów lub świat przestępczy. Tego typu rozwiązania funkcjonują dziś w wielu krajach NATO. W Stanach Zjednoczonych państwo organizuje na-

wet targi pracy, podczas których odchodzący ze służby agencji CIA, żołnierze jednostek specjalnych i inni funkcjonariusze mają szansę na płynne przejście z sektora publicznego do prywatnego. W ubiegłym roku prezydent Biden podpisał dodatkowo ustawę, która zabrania byłym oficerom wywiadu współpracy z zagranicznymi instytucjami rządowymi lub firmami przez 30 miesięcy po przejściu na emeryturę. Ten sam akt prawny zobowiązuje National Security Agency do monitorowania aktywności zawodowej byłych agentów, a ich samych – do składania sprawozdań z ewentualnej pracy na rzecz podmiotów zagranicznych. Tymczasem państwo polskie pod tym względem nadal wykazuje się przedziwną dezynwolturą.

– Kilka prób stworzenia polskich odpowiedników firmy Blackwater spaliło na panewce tylko dlatego, że państwo odmówiło przyznania takim podmiotom wydania listów uwierzytelniających – opowiada Grzegorz Wydrowski. – Parę lat temu koledzy z Pomorza zawiązali spółkę, która wygrała lukratywny przetarg na oczyszczenie z wraków i min wybrzeża w pewnym egzotycznym kraju. Włosi, którzy też ubiegali się o to zlecenie, mieli kwity od swojego rządu. Podważyli wyniki przetargu i ostatecznie sprzątnęli Polakom kontrakt sprzed nosa.

Piotr Gąstał: – Uważam, że państwo nie powinno wchodzić w rolę niańki byłych żołnierzy i funkcjonariuszy, ale nie może też zapominać, że ci ludzie po zdjęciu munduru dysponują wiedzą i umiejętnościami, które mogą mu być przydatne jeszcze wiele lat. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby były operator sił specjalnych po przejściu do cywila pracował np. jako specjalista do spraw bezpieczeństwa naszych strategicznych instalacji gazowych, a po kilku kolejnych latach, kiedy zdrowie nie pozwoli mu już na takie zajęcie, zajmował się szkoleniem następców.

W 2021 r. Senat powołał Parlamentarny Zespół ds. Rekonwersji Żołnierzy Wojsk Specjalnych oraz Funkcjonariuszy Służb Specjalnych, ale wszystko wskazuje na to, że było to przedsięwzięcie ze sfery politycznego PR-u. Poza dwoma posiedzeniami z maja 2021 r., podczas których tworzący go senatorowie wyrazili podziękowania zaproszonemu żołnierzom i wysłuchali ich opowieści, zespół nie podjął żadnej aktywności.



MAGDALENA DEREZIŃSKA-OSIECKA / ARCHIWUM PRYWATNE

Wyprawa skiturowa do kaukaskiej Swanetii. Gruzja, 21 marca 2022 r.

Daleko od kanapy

MAGDALENA DEREZIŃSKA-OSIECKA, SKIALPINISTKA:

Skitury, czyli wędrowanie i zjeżdżanie na nartach z dala od wyciągów, to dyscyplina uprawiana w społecznej „bańce”. Ale z roku na rok większej, bo to doświadczenie, które zapewnia olśnienia i zapobiega depresji.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Opowiedz o jednej ze swoich ostatnich wycieczek. I niech będzie zmysłowo.

MAGDALENA DEREZIŃSKA-OSIECKA: Skitury to pewnie w 80-90 proc. podchodzenie, ale dla mnie najlepsze wycieczki to te z cudownym zjazdem. Zapamiętałam np. moją ubiegłoroczną wizytę w gruzińskim wysokogórskim regionie Swanetia. Łagodne warunki, cienka kołdra puszystego śniegu zalegającego na tym bardziej zmrożonym. Cisza. Płyniesz na nartach kaukaskim lasem między drzewami niemal bez końca, bo to nie jest tak jak w naszych małych Tatrach, że górny i dolny regiel obejmuje w sumie może ok. 400-500 metrów różnicy poziomów. Tam jest tych metrów z tysiąc, więc przez długi czas ogranicza cię tylko siła twoich nóg.

A podejścia?

Najpiękniej jest wtedy, gdy podchodzisz zboczem, np. żlebem – niekoniecznie na

szczyt, częściej na grań. Chodzi o to, że z każdym krokiem jesteś bliżej widoku, który się przed tobą odsłoni, i na który czekasz, choćby to był pejzaż, który znasz na pamięć, bo byłeś w tym miejscu wielokrotnie. Np. Przełęcz Liliowe, po której osiągnięciu zobaczysz opadającą z niej na słowacką stronę Dolinę Cichą i Krywań.

Idziesz i wiesz, że wkrótce będzie nagroda: zapniesz narty i zaczniesz się zjazd.

Bo ta dyscyplina, której sezon tatrzański ruszył w sumie niedawno, to podchodzenie i zjeżdżanie. Do podejścia używa się naklejanego na spody nart materiału z włosiem skierowanym tak, by narta nie zsuwała się w dół, i wiązania z funkcją uwalniania pięt w fazie podejścia. A potem jest zjazd, już bez materiału i z przymocowanymi piętami, jak w zwykłym narciarstwie zjazdowym.

Dodajmy, że coś, co z pozoru wygląda na zdobycie nowoczesności, jest tak naprawdę powrotem do narciarskich źródeł,

gdy nikomu nie śniły się nawet wyciągi. Z tą różnicą, że dziś do podejścia używa się syntetycznego materiału, a kiedyś do tego samego celu służyły skóry zwierzęce – reniferze i focze.

Ta tradycja sięga XIX wieku.

Znana była wtedy w Laponii, w krajach skandynawskich, na Syberii. A pod koniec tamtego wieku także w Polsce, gdzie za pierwszą wyprawę narciarską uznaje się tę odbytą w 1894 r. przez Stanisława Barabasa i Jana Fischera nad Czarny Staw Gąsienicowy. W tamtych czasach w góry na nartach chodził też Mariusz Zaruski, w 1911 r. autor pierwszego wejścia narciarskiego na Kościelec, a później zjazdu z tego szczytu.

Siedzimy w kuchni Twojego krakowskiego mieszkania – na ścianie wisi zdjęcie Zaruskiego. Artysty, żeglarza, ale też tatelnika i popularyzatora narciarstwa.

Widać na nim trzy postacie stojące na nartach, z górami w tle. Stoją na Pyszniańskiej Przełęczy w Tatrach Zachodnich.

Losy prekursorów i współczesny, coraz częstszy widok narciarzy podchodzących np. na Kasprowy Wierch to historia zataczająca koło. Kiedy 15 lat temu rozmawiałem – dwa lata przed jego śmiercią w wieku 94 lat – z przedwojennym narciarzem Zdzisławem Kirkin-Dziędzielewiczem, tak wspominał datowany na początek 1936 r. start kolei linowej na Kasprowy: „Ludzie zaczęli się





MAGDALENA DEREZIŃSKA-OSIECKA

jest wielokrotną mistrzynią Polski, wicemistrzynią świata i brązową medalistką Pucharu Świata w skialpinizmie. Dekadę temu uzyskała siódme, czyli rekordowe wśród Polaków miejsce w najbardziej wymagających zawodach na świecie – Pięciu Stawach w Alpach. Jest przewodniczką tatrzańską, organizatorką górskich obozów oraz psychoterapeutką. Na zdjęciu: w Tatrach Wysokich, Słowacja, 7 kwietnia 2019 r.

→ uzależniać. Była pani, która tak wpadła w to wjeżdżanie i zjeżdżanie, że nazwaliśmy ją Upiorem Kasprowego. Zjeżdżała z obłędem w oczach, całymi dniami (...). Kolejne dekady, a zwłaszcza czas, gdy działały już masowo wyciągi narciarskie, można czytać jako dalszą historię tego uzależnienia od narciarskiej cywilizacji. Teraz część osób chce inaczej: z dala od wyciągów.

Ale zanim to nastąpiło, przez długi czas o skiturach wiedziała tylko garstka osób. W latach 80. i 90. XX wieku, gdy byłam dzieckiem, tę dyscyplinę uprawiali wyłącznie ludzie ze środowiska przewodników i taterników, przywożący nieznany jeszcze w Polsce nowoczesny sprzęt z krajów alpejskich. Ja, będąc córką narciarza zjazdowego [Romana Derezińskiego, lekarza, ale też wybitnego narciarza, który w latach 70. reprezentował Polskę m.in. na igrzyskach olimpijskich, zdobywając również tytuł akademickiego mistrza świata – red.], zaczynałam na wyciągach. A na skitury namówiła mnie już w XXI wieku przewodniczka i skialpinistka Zofia Bachleda. A w zasadzie to wciągnęła mnie w skialpinistyczne zawody.

Polegają one na przebyciu w jak najlepszym czasie wielokilometrowej górskiej pętli, złożonej z podejść i zjazdów.

W 2004 r. miały miejsce pierwsze mistrzostwa Polski, które udało mi się wygrać. A o zawodach i mistrzostwach mówię dlatego, że były jedną z ważnych dźwigni popularności tej dyscypliny – początkowo mógł w nich wziąć udział w za-

sadzie każdy, kto miał odrobinę kondycji i umiał zjeżdżać na nartach.

Dziś w niektórych rejonach widać dziesiątki skiturowców. To dyscyplina dla każdego?

Chciałabym tak powiedzieć, ale to nieprawda. Jest kilka podstawowych filtrów.

Pierwszy: zdrowotno-kondycyjny. Choćbyśmy nie wiem jak zakochali się w zmysłowym wymiarze tej dyscypliny, to jeśli wstaniemy zza biurka, z nadwagą i bez choćby amatorskiego przygotowania wydolnościowego, pot zaleje nam czoło, nogi spuchną i dech zaprze pierś.

W covidzie zamknięto wyciągi, więc ludzie zaczęli jeszcze bardziej interesować się skiturami – to właśnie lockdownowi zawdzięczamy ostatnią falę popularności tej dyscypliny. Ale część z tych osób zderzyła się wtedy ze ścianą.

Ten sport bywa wymagający.

W pandemii niektórzy kupowali sprzęt, zakładali deski, a po pół godzinie marszu ani rusz. Bo jestem mokry, bo nigdy nie uprawiałem takiego wysiłku, bo mam nadwagę itd. Otyłość nie jest jednak barierą dla narciarza wyciągowego. Może on, choć pewnie nie powinien, wstać zza biurka i jechać na stok. Najwyżej zatrzyma się trzy razy podczas zjazdu, złapie oddech – potem i tak „kanapa” zabierze go na górę.

Rozumiem, że „kanapa” to ironiczna nazwa krzeselka na wyciągu narciarskim?

To nawet nie tyle ironia, co niemal opis faktów. W tej chwili te krzesła nie tylko

są szerokie jak prawdziwe kanapy, ale często podgrzewają też plecy i pośladki...

A wracając do filtrów, jest jeszcze trzeci. To wiedza o tym, jak unikać niebezpieczeństw, głównie lawinowych. Chodzić mniej więcej w rejonie letnich szlaków turystycznych, mieć świadomość, że powyżej poziomu schronisk może zejść lawina, wiedzieć, gdzie i kiedy może to nastąpić.

W zeszłym roku jednego styczniowego dnia zginęło pod lawinami dwóch skiturowców – w Pięciu Stawach i na Kasprowym.

Byłam tamtego dnia w rejonie Kasprowego. Mężczyznę porwała na Goryczkowej stosunkowo mała, ale tragiczna w skutkach lawina. I niestety: był to jeden z takich dni, w których wiadomo, że poruszanie się poza ubitą, przygotowaną przez ratrak trasą wzdłuż wyciągu jest niebezpieczne. 99 proc. lawinowych wypadków skiturowych to nie są żadne nieszczęśliwe sploty okoliczności, tylko efekt zlekceważenia zasad bezpieczeństwa; tego, że ktoś pojawił się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze.

Byłaś kiedyś na nartach w sytuacji niebezpiecznej?

Nie byłam w lawinie ani blisko niej, ale zdarzało mi się znaleźć w miejscach, z których zawracałam, bo się bałam. Im jest się mniej doświadczonym, młodszym, tym łatwiej zapędzić się w rejon, w których obecność uważa się po latach za ryzykowną.

Ale podkreślmy: skitury są do poziomu schronisk w stu procentach bezpieczne. Dopiero wyżej robi się – przy lekceważeniu pewnych zasad – niebezpiecznie. Wtedy warto iść, przynajmniej na początek, z przewodnikiem. Z zawodowcem, nie z trenerem fitnessu, który nagle

pokochał góry i skitury, a teraz za pieniądze prowadzi ludzi – bo i takie przypadki znam.

Dlaczego warto zapalić się do skitouringu?

Bo daje niepowtarzalne doświadczenie uprawiania narciarstwa z dala od tłumów, muzyki, hałasu. Wychowałam się w Zakopanem, pół życia spędziłam na stokach. I do momentu, aż spróbowałam skiturów, wydawało mi się, że bycie na stoku z innymi ludźmi to obcowanie z naturą. Teraz, po wielu latach, gdy zdarza mi się być na wyciągu, czuję, że jestem w samym centrum cywilizacji.

Widzisz beton, żelastwo, restauracje, masy ludzi.

Widzę też często las, ale ten sam las na skiturach smakuje inaczej. Kiedyś w Alpach, jeżdżąc na wyciągach, zaproponowałam znajomemu: chodź ze mną. Zrobił to po raz pierwszy, i choć nie wyszliśmy nigdzie daleko, pozostając raczej w zasięgu trasy tego wyciągu, było to dla niego tak zachwycające doświadczenie, że go już nie zapomni. To było jak nawrócenie.

Takich olśnień znam więcej. Szok wynika być może z tego, że za oczywistość uznaliśmy górska antropopresję: coraz to nowe wyciągi, hotele, albo tylko kolejne – na szczęście nieprzyjmowane bezrefleksyjnie – setki podań, by zbudować nowy wyciąg, by łódzie mogły wreszcie pływać po Morskim Oku, albo żeby można sobie było polatać nad Tatrami na paralotni.

Skitury są w poprzek tej presji.

I tu pojawia się ciekawy paradoks. Bo przyszedłem do Ciebie, by rozmawiać o umasowieniu tej dyscypliny. A to nie rymuje się z ciszą, skupieniem i byciem z dala od wszystkiego.

Umasowienie to na szczęście za duże słowo. Tłumy idące na skitury to zaledwie kilka sztandarowych miejsc, na czele z rejonem Kasprowego Wierchu. To zresztą z punktu widzenia bezpieczeństwa i ochrony przyrody korzystne zjawisko: ludzie idą w rejon przewidywalny lawinowo, nie stanowiąc specjalnego zagrożenia dla zwierząt, które zdążyły już się przyzwyczaić, by te miejsca omijać.

Cieężko mi ocenić obiektywnie skalę popularności skiturów – pamiętaj, że żyję w „bańce” ludzi zafascynowanych

tą dyscypliną. Jedno jest pewne: ta bańka się powiększa.

Z czego to wynika?

Poza wpływem pandemii, to z pewnością pochodną szerszych przemian. Tego, że coraz więcej ludzi chce wstawać z kanap – tych domowych. To część tego samego zjawiska, w ramach którego ludzie – zachęceni choćby przez Ewę Chodakowską czy Annę Lewandowską – zaczęli się ruszać, ćwiczyć, dbać o siebie.

Tu może warto wspomnieć o kolejnym filtrze dla skiturów – tym finansowym.

Nie zgadzam się. Cenzus majątku dotyczy z pewnością narciarstwa „kanapowego”. Mam jeżdżące dzieci, jestem przedstawicielką klasy średniej, a ze zgrozą patrzę na te ceny – sto pięćdziesiąt złotych za dwie godziny treningu w klubie, jeszcze więcej za instruktora indywidualnego. A schodząc na poziom amatorski, najwykleszy karnet na zakopiański wyciąg to dzienny wydatek rzędu 150-200 zł. Idziesz pojeździć z żoną i dwójką dzieci – 600 złotych nie twoje.

Skitury to na tym tle tania zabawa. Koszt sprowadza się do zakupu sprzętu – nowy jest drogi, ale na rynku wtórnym można go poza sezonem skompletować za 2-3 tysiące złotych.

Tyle że do butów, nart, wiązań i kijów trzeba dorzucić, jak sama uczysz w internetowych vlogach, specjalną odzież. Nie ciepły kombinezon do narciarstwa zjazdowego, tylko dostosowany do ruchu na wysokim tętnie goreteks i białiznę wchłaniającą pot.

Ale takie rzeczy każdy aktywny człowiek zazwyczaj już ma w szafie. Nie potrzeba najlepszej jakości drogiego sprzętu – w skiturach da się być minimalistą. Oczywiście masa jest osób, które robią gigantyczne zakupy, a potem albo na nich poprzestają, albo chodzą na krótkie wycieczki. Zrobiła się moda na drogie, wyszukane i konieczne jaskrawe ubrania, szkodliwa również dlatego, że stwarza pozór elitarnego charakteru tej dyscypliny. Sama zresztą za sprawą tych mód przeżyłam się na ciemne ciuchy...

Co nie zmienia faktu, że rosnąca popularność skiturów uważam za zjawisko bardzo pozytywne. To bezpieczny wysi-

łek – kontuzje, jeśli się zdarzają, dotyczą zjazdów. Podejście jest wysiłkiem równomiernym, angażującym wiele partii mięśni, zdrowym.

Skoro mówisz o zdrowiu, to na koniec nieoczywisty wątek. Wykonujesz dwa zawody: niezależnie od bycia przewodniczką i instruktorką narciarską, pracujesz w Krakowie jako psychoterapeutka. Skitouring może być terapeutyczny?

Tak samo jak każda inna forma ruchu czy pracy z ciałem; pracy nadal niedocenianej w psychiatrii i psychoterapii. Miałam w przeszłości praktyki w szpitalu psychiatrycznym i nie mogłam zrozumieć, dlaczego osób chorych się nie aktywizuje. To wielkie zaniedbanie, które jako stażystka próbowałam nadrobić – notorycznie targalam tych ludzi na spacer.

A w przypadku skitouringu dochodzi walor ważny dla zachowania psychicznej stabilności: obcowanie z naturą, cisza. Tu jest łatwiej regulować swoje emocje.

W mieście słuchasz ludzkich problemów, a w góry jedziesz odreagować?

Jestem przekonana, że wybrałam skitury również dlatego, że zauważyłam, jaki mają zbawienny wpływ na mój nastrój. Mogę powiedzieć bez większego ryzyka pomyłki, że gdyby nie sport, wysiłek, nie uniknęłabym na niektórych etapach życia kłopotów, włącznie z depresją. Dodajmy zastrzeżenie: sport, w tym skitury, świetnie się sprawdza jako profilaktyka, ale w razie poważnych problemów może jedynie uzupełniać psychoterapię i farmakoterapię. No i pamiętajmy, że ludzie mają różne potrzeby – nie dla wszystkich aktywność będzie zbawienna.

Ta dyscyplina bywa też wykorzystywana w rekonwalescencji po ciężkich chorobach fizycznych. Rozmawiamy w styczniu, przed Twoim obozem skitourym z podopiecznymi Fundacji Rak’n’Roll.

Będą wycieczki, szkolenia z bezpieczeństwa, wspólne spędzanie czasu. Uczestnicy to w większości wyleczeni, ale będący wciąż pod kontrolą onkologów pacjentów. To tylko jeden z przykładów pokazujących, że chodzenie i zjeżdżanie na nartach może nie tylko dawać satysfakcję, ale również pomagać w powrocie do życia.

©© Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Przed Sądem Rejonowym w Jaśle pod sygn. akt I Ns 544/22 z wniosku Gminy Dębowiec bez udziału innych uczestników toczy się postępowanie o zasiedzenie nieruchomości położonych w Dębowcu, stanowiących działki nr 355/1 o pow. 2,6960 ha i 355/2 o pow. 0,7043 ha, na rzecz Marii Buby, c. Walerego i Heleny zm. 29 maja 2021 r. w Jaśle, ostatnio przed śmiercią zamieszkałej w Dębowcu. Gmina Dębowiec jest jedynym spadkobiercą Marii Buby.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie mogą utracić prawo własności tych nieruchomości.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 419/22 toczy się postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Państwowego Gospodarstwa Leśnego „Lasów Państwowych” o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonych w gminie Józefów nad Wisłą w miejscowości Bór obręb 0004 stanowiących działki oznaczone w ewidencji gruntów numerem 1237 o powierzchni 0,09 ha, numerem 1239 o powierzchni 0,07 ha, numerem 2162 o powierzchni 0,1156 ha, numerem 2163 o powierzchni 0,0929 ha, numerem 2164 o powierzchni 0,1250 ha, numerem 2165 o powierzchni 1,4129 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo zgłoszący się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 451/22 toczy się postępowanie z wniosku Jerzego Jana Kruka i Anny Kruk o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Rybitwy, stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 169 o powierzchni 0,0733 ha, numerem 1646 o powierzchni 0,1687 ha oraz numerem 1680 o powierzchni 0,3070 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców po Antoninie Laskowskiej, z d. Wójcickiej, c. Anny, ur. 9 maja 1908 r., do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo zgłoszący się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy w Warszawie pod sygnaturą II Ns 264/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Urszuli Guzek z d. Guzek, ur. 6 marca 1927 r. w Wągrowcu, zm. 6 kwietnia 2021 r. w Warszawie, której ostatnie miejsce zwykłego pobytu znajdowało się przy ul. Grójeckiej 74 w Warszawie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 116/22 toczy się postępowanie z wniosku Zofii Bednarskiej z uczestnictwem Skarbu Państwa – PGW Wody Polskie i Teresy Warzyckiej o zasiedzenie nieruchomości położonych w Zalesiu Gorzyckim, a stanowiących działki o numerach ewidencyjnych: 416/6 o pow. 0,3089 ha, 416/7 o pow. 0,2191 ha, 416/8 o pow. 0,2845 ha, powstałych w wyniku podziału działki nr 416/3 o pow. 0,8125 ha na skutek operatu podziałowego przyjętego do PODGiK w Tarnobrzegu za numerem P.1820.2016.1332 dnia 22.12.2016 r.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie 3 miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszący się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 189/22 toczy się postępowanie z wniosku Marii Piątek z udziałem Jerzego Kolibaby, Antoniego Kolibaby, Jacka Kolibaby i Agaty Kołodziej o stwierdzenie nabycia w drodze uwłaszczenia prawa własności nieruchomości oznaczonych ewidencyjnie:

- nr 312 o powierzchni 0,4035 ha położonej w Mokrej, gmina Rożwienica, a zapisanej w Lwh 867 zamknięte gminy katastralnej Rudołowice na Władysława Superlaka (Suberlaka) s. Feliksa,
- nr 397/3 o powierzchni 0,01 ha i nr 397/4 o powierzchni 0,16 ha położonych w Jankowicach, gmina Chłopice, a zapisanych w Lwh 316 zamknięte gminy katastralnej Jankowice na Władysława Suberlaka s. Feliksa.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie on udowodniony.

Sąd Rejonowy dla Krakowa - Podgórze w Krakowie

I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 849/22/P z wniosku Iwony Stoncel o stwierdzenie zasiedzenia udziału 6/24 części prawa własności nieruchomości położonej w Krakowie-Podgórzu, składającej się z działki ewidencyjnej nr 90, obr. 14, dla której Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórze w Krakowie IV Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr KRIP/00182989/0.

W związku z tym Sąd wzywa wszystkich właścicieli nieruchomości lub spadkobierców, w szczególności spadkobierców Cecylii Sernnet, Stefanii Szymuli, Franciszka Szymuli, Jana Szymuli, Piotra Szymuli, Heleny Łątki, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie i wykazali swe prawa do nieruchomości pod rygorem pominięcia i stwierdzenia zasiedzenia, o ile zostanie ono udowodnione.

TOMASZ

Stawiszyński: Nie ma rozmowy



ŻE MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE NIE SĄ PRZE-
strzeżeniem sprzyjającą konstruktywnej ko-
munikacji – to mniej więcej wiadomo,
sporo się na ten temat pisze, istnieją też
liczne badania stwierdzające rzecz rygo-
rystycznie na poziomie empirii. Autorem

od lat poświęcającym uwagę tej przygnębiającej problematyce jest np. amerykański psycholog Jonathan Haidt. Kto-
kolwiek zechciałby zapoznać się z jego analizami, a także
z twardymi danymi, z których wynika, że w sferze wirtual-
nej dominują intensywne afekty, szantaż moralny, werbalna
agresja i przemoc, nie zaś merytoryczna rozmowa i duch ko-
operacji, może sięgnąć choćby do głośnego eseju „Why the
Past 10 Years of American Life Have Been Uniquely Stupid”,
opublikowanego w kwietniu minionego roku na łamach
„The Atlantic”. Teza tego tekstu jest tyleż prosta, co dla stanu
debaty publicznej – która wszak w ogromnej mierze prze-
niosła się do internetu – druzgocąca. Brzmi mianowicie: nie
tylko nie jesteśmy dziś w stanie ze sobą normalnie rozma-
wiać, ale w ogóle żyjemy w innych światach. W sensie jak
najbardziej dosłownym – tam bowiem, gdzie nie ma instru-
mentów do częściowego choćby uzgadniania opisów rzeczy-
wistości, efekt praktyczny będzie zawsze ten sam: brak opcji
negocjacyjnej.

Ta okoliczność nie pozostaje oczywiście bez wpływu na
stan wspólnoty – dlatego Haidt (jak również piszący te słowa)
ma wobec aktualnej sytuacji odczucia wyrażające minorowe.
Wspólnota – jak sama nazwa wskazuje – potrzebuje czegoś
uniwersalnego, łączącego, na czym może się ukonstytuować,
a następnie rozwijać i wzmacniać. Nie idzie tu jednak o mono-
lityczny zestaw podzielanych przez wszystkich bezkrytycznie
przekonań, lecz raczej o jakąś podstawową bazę, co do któ-
rej panuje zgoda. A także o zbiór narzędzi, z pomocą których
można razem pracować nad poznawaniem świata i siebie oraz
dyskutować konsekwencje z takiego poznania wynikające.

Współcześnie ten proces jest na różne sposoby utrud-
niony. Już to z powodu załamania się zaufania do insty-
tucji oraz rosnących nierówności, już to z powodu coraz wy-
raźniejszego odchodzenia od myślenia w kategoriach uni-
wersalistycznych na rzecz takiej czy innej partykularności
(również tej występującej pod zwodniczą maską wolności
i emancypacji). Media społecznościowe wszystko to uczy-
niły jeszcze bardziej widocznym, a zarazem przyczyniły się
do wytworzenia dodatkowych mechanizmów intensyfyku-

jących powszechny kryzys komunikacji. Poza wieloma ne-
gatywnymi skutkami takiego stanu rzeczy chciałbym tu
zwrócić uwagę na zjawisko wyrażne zwłaszcza w ostatnich
latach. Zjawisko, z którego faktycznymi konsekwencjami –
jestem pewien – będziemy się rozlegle mierzyć w przyszłości.
A mianowicie: blokowanie rozmowy, dławienie dyskusji –
i to specyficznie w odniesieniu do kwestii, co do których jest
ona pierwszorzędnie potrzebna.

Całkiem niedawno obserwowaliśmy ten mechanizm
w przypadku fali oburzenia i hejtu, która zalała media spo-
łecznościowe po niekompetentnych wypowiedziach Beaty
Pawlikowskiej na temat depresji, ale przykłady można by
mnożyć. Sednem jest wszakże nie to, co Pawlikowska po-
wiedziała, ale właśnie to, co się przy okazji tej wypowiedzi
wydarzyło. Nie licząc kilku zniuansowanych głosów, m.in.
Katarzyny Prot-Klinger i Sławomira Murawca – fala oburze-
nia i hejtu zamiast debaty, żywiołowa obrona rzekomej orto-
doksji przed herezją zamiast rzeczowej analizy, o czym wła-
ściwie tu mowa.

A mowa o kwestiach przez Pawlikowską przedstawionych
bez wątpienia fragmentarycznie, karykaturalnie i nieadekwat-
nie (co oczywiście jest szkodliwe i potencjalnie niebezpieczne,
tu nie ma sporu), niemniej od lat obecnych w różnych nieme-
dycznych – ale jak najbardziej mieszczących się w nurcie po-
ważnej, także akademickiej refleksji – ujęciach depresji czy
w ogóle problematyki zaburzeń psychicznych. Pisali i/lub pi-
szą o nich m.in. tacy autorzy jak James Hillman, Richard Ben-
tall, Peter Kinderman, Jean Starobinski, Darian Leader, Michel
Foucault, Christopher Bollas, Barbara Ehrenreich, Frank Fu-
redi, Eva Illouz, Christopher Lasch, Philip Rieff, Allan Horwitz,
Jerome Wakefield czy Jonathan Rottenberg.

Istota ich myślenia daje się sprowadzić do tezy, że psy-
chiczne cierpienie jest fenomenem wielowymiarowym
i nieredukowalnym do modelu medycznego, choć niewąt-
pliwie medycyna wypracowała środki pozwalające je roz-
poznawać i uśmierzać. Nie sposób jednak o nim sensownie
rozmawiać nie biorąc pod uwagę także jego społecz-
nych, ekonomicznych oraz kulturowych źródeł, czyli po-
 prostu systemu, w którym żyjemy i który nas skutecznie
unieszczęśliwia. Istota sprawy nie znajduje się więc wyłącz-
nie w naszych głowach, lecz także, a może przede wszyst-
kim, w tym, co nas otacza i kształtuje nasze doświadczenie.
Leki pomagają, a często ratują życie – to rzecz niekwestio-
nowalna – ale bywają również nadużywane, co wiąże się
ze zjawiskiem postępującej medykalizacji. To wszystko
zaś – podobnie jak nasze zmieniające się wciąż definicje
psychologicznej „normy” i „patologii” – jest również do-
meną polityki, filozofii, etyki czy socjologii, a nie tylko me-
dycyny.

Niestety, wydaje się, że kolejna szansa na taką rozmowę zo-
stała zaprzepaszczona. Media społecznościowe wraz ze swo-
imi dogmatyzmami, binarnością i niechęcią do wszelkich
niuansów zdecydowanie jej nie sprzyjają. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego
nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

CO WSTANIE Z MARTWYCH

Czy pusty grób to literacka fikcja, czy też historyczny fakt?
Dlaczego w ewangelicznych opisach zmartwychwstania jest tyle sprzeczności?
Echa teologicznych sporów na te tematy niemal nie docierają do Polski.

JÓZEF MAJEWSKI

MALEJE LICZBA TYCH, KTÓRZY WIERZĄ w zmartwychwstanie. W 2006 r. deklarowało to 87 proc. badanych Polaków; trzy lata później – 85 proc.; po kolejnych dwóch latach – 72 proc.; a w 2015 – 62 proc. „Sondażowo” zatem wiary tej nie podziela nawet spora część tych, którzy przyznają się do chrześcijaństwa. W badaniach nie wyjaśnia się jednak, jak rozumieć „zmartwychwstanie”, i trudno przyjąć, by wśród respondentów w tej materii panowała jednomyślność. Szkopuł w tym, że takiej jedno-myślności nie znajdziemy także wśród teologów, którzy od dawna w tej sprawie mocno się ze sobą spierają.

Oświeceniowa krytyka

W Polsce niewiele wiadomo o tym sporze, szczęśliwie możemy to nadrobić dzięki wydanej niedawno książce ks. Eligiusza Piotrowskiego „Początki wiary w zmartwychwstanie Jezusa”. Na 875 stronach autor kreśli przebieg tego chyba najważniejszego sporu w dziejach chrześcijaństwa, ufając, że jego praca pomoże wierzącym uzasadnić ich eschatologiczną nadzieję (por. 1 P 3, 15) wobec „współczesnej umysłowości”, która „nie zadowala się cytowaniem Biblii, recytowaniem katechizmu czy też opowiadaniem oswojonych historii”.

U Piotrowskiego poznajemy ów spór nad sporami przede wszystkim w kształcie, który przybrał od czasów oświecenia,

z ówczesną radykalną krytyką chrześcijańskich – jak to widzieli koryfeusze tej epoki – bredni o cudach, włącznie z cudem zmartwychwstania. Kluczowe dla tej krytyki okazały się liczne sprzeczności między czterema Ewangeliami w prezentacji wydarzeń paschalnych. Natchnione pisma podają różne liczby kobiet idących do grobu Jezusa, różne ich imiona, różne liczby aniołów przy grobie, różne usytuowanie aniołów, różne ich słowa do kobiet, różne reakcje kobiet. U Mateusza kobiety są świadkami otwarcia grobu, pozostali ewangeliciści mówią o grobie otwartym wcześniej; według Mateusza Jezus ukazał się Marii Magdalenie i innym w drodze do miasta, u Jana natomiast – przy wejściu do grobu; u Mateusza miejscem ukazania się Zmartwychwstałego jest Galilea, Łukasz z kolei mówi o Jerozolimie i jej okolicach (Emaus). Różnic i sprzeczności jest więcej – i chyba dużo za dużo jak na święte teksty napisane pod natchnieniem jednego Ducha Świętego. Nigdy nie udało się nikomu przekonywać zharmonizować w tym względzie czterech Ewangelii.

Ale specjaliści od Pisma Świętego spierają się obecnie również o inne kwestie składające się na biblijną narrację o zmartwychwstaniu. Czy Jezus za swego ziemskiego życia rzeczywiście zapowiadał swoje zmartwychwstanie? Czy wiedział, że zostanie wskrzeszony? Czy „trzy dni” dzielące Jego śmierć od zmartwychwsta-

nia to stwierdzenie faktu, czy wypowiedź symboliczna?

Spory dotyczą także Jezusowej, a zatem też naszej „zmartwychwstałej” cielesności. Oraz tzw. stanu pośredniego, czyli sytuacji duszy po śmierci, a przed zmartwychwstaniem. I jeszcze tego, czy aby dusza rzeczywiście jest – jak głoszą główne prawdy wiary – nieśmiertelna. Dzisiaj często kwestionuje się tę nieśmiertelność, a tym samym istnienie stanu pośredniego, opowiadając się za koncepcją „zmartwychwstania w śmierci” – której krytykiem był Joseph Ratzinger, przyszły papież.

W moim przekonaniu, ale wydaje się, że także w oczach Piotrowskiego, najważniejsze spory dotyczą dwóch kwestii. Po pierwsze: czy ewangeliczne opisy pustego grobu Jezusa to literacka fikcja, czy też historyczny fakt? Czy – innymi słowy – wiara w zmartwychwstanie z konieczności zakłada ulotnienie się ciała Jezusa z grobu? Druga z zasadniczych kwestii dotyczy oceny historyczno-krytycznej metody lektury Pisma Świętego, która – podkreślmy – od czasów oświecenia bardzo mocno wstrząsa tradycyjnymi wyobrażeniami. Metoda ta – zdaniem nie tylko Piotrowskiego należąca do największych osiągnięć nowożytnej teologii – obecnie jest coraz częściej poddawana ostrej krytyce. Zasłużył się na tym →

„Wesoły Cmentarz” w Săpânța, Rumunia



→ polu szczególnie Ratzinger, który obawiał się trudności, jakie rodzą jej ustalenia, bazujące na odzieraniu Pisma Świętego z nadprzyrodzoneści.

Wobec oświeceniowej krytyki spór o zmartwychwstanie był nieunikniony. Trzeba jednak pamiętać, że spierano się o nie nawet w Kościele czasów apostołskich. Już wtedy pojawiały się wątpliwości i pytania w tej kwestii, o czym pisze w swoich listach Paweł z Tarsu.

Wątpliwości wiary

Apostoł Narodów pisał w 1 Liście do Koryntian: „jeśli nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie został wzbudzony; a jeśli Chrystus nie został wzbudzony, tedy i kazanie nasze daremne, daremna też wasza wiara” (15, 12-14). Wszystko wskazuje na to, że w Koryncie w sprawie zmartwychwstania prowadzono gorące dyskusje.

Wątpliwości Koryntian mogły mieć naturę podobną do wątpliwości Greków na areopagu w Atenach, gdy Paweł głosił tam Chrystusa (Dz 17). Kiedy zaczął mówić o zmartwychwstaniu, „jedni naśmiewali się, drudzy zaś mówili: O tym będziemy cię słuchali innym razem”. Ludzkie ciało, podatne na choroby, cierpieliwe, starzejące się i śmiertelne, w greckiej mentalności zasadniczo było czymś złym, rodzajem więzienia dla nieśmiertelnej duszy, która wyczekiwała śmierci, by uwolnić się z jego więzów i wrócić do doskonałego świata duchowego. W tej perspektywie głoszone przez apostoła zmartwychwstanie było horrendalnym nieporozumieniem, bo domaganiem się powrotu duszy do więzienia.

Apostoł w liście do Koryntian robił wyrzuty adresatom, ale nie krył, że sprawa nie jest wcale łatwa, co wyłożył w zakończeniu hymnu o miłości (rozdział 13), gdzie da się usłyszeć apoteozę teologii apofatycznej, uczącej pokory i skromności w dziedzinie zgłębiania tajemnic wiary: „Teraz bowiem widzimy jakby przez zwierciadło i niby w zagadce, ale wówczas twarzą w twarz. Teraz poznanie moje jest częściowe”. Wypada przypomnieć, że w starożytności ludzie przeglądali się nie w lustrach, ale w zwierciadłach wykonywanych zwykle z polerowanego brązu – odbicia w nich były zniekształcone i niewyraźne. Apostoł nie pozostawił złudzeń: takie „zwierciadlane” jest – i jedynie takie może być – poznanie wiary.

Studium ks. Piotrowskiego to najbardziej jak dotąd wyczerpująca prezentacja

sporu o zmartwychwstanie Jezusa. Autor w iście detektywistyczny, problemowy, krytyczny i twórczy sposób „przepytuje” aż 103 badaczy i teologów różnych wyznań i języków (niestety, samych mężczyzn!), lokując ich skrajnie różne stanowiska w szerokim kontekście biblijnym, metodologicznym, historyczno-teologicznym i dogmatycznym. Zaczyna od Hermanna Samuela Reimarus (zm. 1768), a kończy na Josephie Ratzingerze/Benedyckie XVI. Dokładniej rzecz ujmując, w książce znajdziemy stanowiska 104 autorów, bo przecież sam Piotrowski nie kryje własnego, do którego zaraz wróć. Wcześniej trzeba jednak jeszcze raz zająć do epistolarnej twórczości Pawła, bo daje ona do myślenia.

Ciało i krew

Apostoł, mierząc się z wątpliwościami, korygował własne poglądy. Rezurekcyjny traktat wyłożony w Liście do Koryntian nie jest ani końcem, ani początkiem jego refleksji w tej materii. Początek zaś kryje się już w najwcześniejszym znanym nam piśmie Nowego Testamentu – w 1 Liście do Tesaloniczan. „Pierwszy koryncki” rozdział 15 to drugi etap refleksji apostoła, trzeci daje o sobie znać w 2 Liście do Koryntian, a czwarty – w Liście do Kolosan, o którym u Piotrowskiego głucho.

1 List do Tesaloniczan powstał na przełomie roku 50 i 51. Paweł pomocy w zrozumieniu zmartwychwstania szukał w Księdze Daniela, gdzie czytamy: u końca dni „wielu z tych, którzy śpią w prochu ziemi, obudzi się, jedni do żywota wiecznego, a drudzy na hańbę i wieczne potępienie” (12, 2). Apostoł był przekonany, że czasy ostateczne zaczną się jeszcze za jego życia, wraz z paruzją Chrystusa, czyli powrotem Zmartwychwstałego na ziemię. Apostoł radził adresatom, by nie martwili się o przyszły los tych, którzy już zmarli, dosłownie „zasnęli”, czyli – zgodnie z antropologią biblijną – istnieją w szeolu bez życia i świadomości. Wraz z powrotem Chrystusa zostaną „przebudzeni” i „podniesieni” (wskrzeszeni) w postaci tożsamej z postacią ziemską, „potem my, którzy pozostaniemy przy życiu, razem z nimi porwani będziemy w obłokach w powietrze, na spotkanie Pana” (por. 1 Tes 4, 13-18).

Taka eschatologia rozdziła wątpliwości i pytania Koryntian. Przypuszczam, że ich pytania mogły być podobne do naszych, współczesnych: w jakim wieku

będzie to nasze wskrzeszone, a powstałe z grobu ciało? Czy będzie oczyszczone z wszelkich defektów, wrodzonych i zaciągniętych za życia? W 1 Liście do Koryntian, napisanym ok. 55 r., Paweł zrewidował swoją wcześniejszą eschatologię. Owszem, i teraz mówił o śmierci jako „śnie”, o bliskiej paruzji oraz, oczywiście, o obudzeniu-wskrzeszeniu, ale tym razem nie nauczał, że dokona się to na ziemi i w postaci ziemskiego ciała. Wskrzeszone ciała będą – inaczej niż te z tego padółu – „chwalebne”, „duchowe”, „niebieskie” (por. 15, 42-53). To, co ziemskie – dowiadujemy się – nie ma wstępu do świata niebieskiego: „ciało i krew nie mogą odziedziczyć Królestwa Bożego”.

Mistyczna eschatologia

Do tematu zmartwychwstania Paweł wrócił dwa lata później (ok. 57 r.) – w 2 Liście do Koryntian. Widać nie rozwinął wszystkich wątpliwości, a szukając na nie antidotum, kolejny raz dokonał korekty swojej eschatologii. W liście tym nie ma już mowy o paruzji, a ciało nabrało zabarwienia bardziej greckiego (ciało + dusza = człowiek) niż biblijno-hebrajskiego (gdzie i ciało, i dusza = człowiek). Po śmierci zmarli nie „śpią” w szeolu, ale są w Bogu, u boku odnalezionego – w chwili śmierci – Chrystusa. Zmarli przywdziewa ciało niebieskie, oczekujące nas w niebie (5, 1-10).

List do Kolosan powstał w 61 r., a może nawet po śmierci apostoła w roku 67. Znaczący byłby to, że mamy w nim do czynienia z poglądami Pawła spisanyymi ręką jego ucznia. Tu eschatologia apostoła uległa kolejnej metamorfozie – w wizję o cechach mistycznych. Wskrzeszenie traktował on nie dosłownie, ale analogicznie: momentem naszego wskrzeszenia jest już chrzest. Apostoł nie mówi więcej o zmartwychwstaniu jako przemianie po śmierci cielesnej. Rozstrzygające dla naszej przyszłości, włącznie z życiem po śmierci, jest obecne, ziemskie bycie „w Chrystusie”: „Wraz z nim zostaliście pogrzebani w chrzcie, w którym też zostaliście wspólnie wzbudzeni przez wiarę w moc Boga, który go wzbudził z martwych” (2, 9-13).

Mistyczna eschatologia Pawła świadczy o jego poważnych trudnościach z przekonującym pojmowaniem zmartwychwstania – takim, które nie rozdziłoby kolejnych problemów. Apostoł zdaje się sugerować, że w tej materii nie ma ucieczki od wątpliwości i pytań, bo

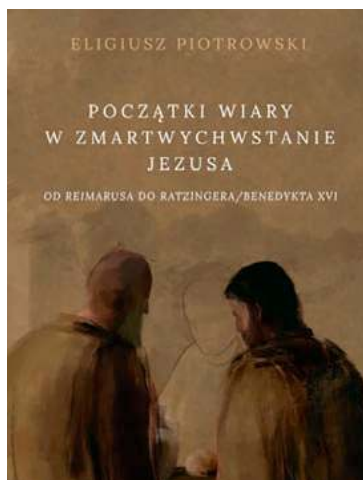
również w tym przypadku działa zasada apofatyczna. Te sprawy dziś zna tylko Bóg, a my na swojej skórze dowiemy się wszystkiego wraz z własną śmiercią.

W studium o początkach wiary w zmartwychwstanie nie znalazło się miejsce dla poglądów ks. Mariusza Rosika, autora komentarza do 1. Listu do Koryntian, ale warto przywołać tu znamienny jego fragment. Zgłębiając, czym dla Pawła jest ciało chwałebne czy niebieskie, biblista ten dorzuca zaskakującą myśl: „Niektórzy teologowie twierdzą, że skoro Chrystus zmartwychwstał w ciele chwałebnym (podobnie jak wierzący w Niego spodziewają się zmartwychwstania w ciele chwałebnym), to nie jest konieczna wiara w fizyczne zmartwychwstanie Chrystusa. Innymi słowy, gdyby grób Jezusa nie był pusty, lecz odkryto by w nim szczątki doczesne Jezusa, w niczym nie przeczyłoby to wierze w zmartwychwstanie. (...) Uczeń ci twierdzą, że ciało zmartwychwstałego Chrystusa nie jest ani jakościowo, ani ilościowo uwarunkowane przez ziemskie i historyczne ciało Jezusa”.

Do grona tych uczonych należy ks. Piotrowski, który stawia i inne, równie zaskakujące tezy, a wśród nich choćby takie: Jezus „nie mógł zakładać, że Jego śmierć (...) jest (...) jedynie epizodem, unieważnionym przekonaniem (czy wręcz wiedzą) o rychłym, niezwykłym i wręcz spektakularnym jej pokonaniu [zmartwychwstanie]. Gdyby tak było, wówczas Golgota straciłaby swoją grozę i tragizm, a tym samym swoje teologiczne i społeczne znaczenie. Przecież coś nie może być tragiczne i nietragiczne zarazem. Późniejsze interpretacje doprowadziły do absurdu konieczności pogodzenia tego, czego pogodzić się nie da, czyniąc z afirmacji aporii probierz ortodoksji”. Skupmy się jednak na sprawie „pustego”, a może jednak „pełnego” grobu Jezusa.

Pełny grób?

Jak można utrzymywać, że doczesne szczątki Rabbiego z Nazaretu pozostały w grobie, skoro wszystkie Ewangelie twierdzą inaczej? Dla odpowiedzi na to pytanie zasadniczą kwestią okazuje się przede wszystkim sposób lektury Pisma Świętego. Piotrowski, podobnie jak większość zaprezentowanych przez niego uczonych, korzysta z egzegezy historyczno-krytycznej, która już kilkadziesiąt lat temu została (nie bez oporów) zaakceptowana w dokumentach Magisterium



Eligiusz Piotrowski
POCZĄTKI WIARY W ZMARTWYCHWSTANIE JEZUSA. OD REIMARUSA DO RATZINGERA/BENEDYKTA XVI

Pracownia Mitopoetyki
i Filozofii Literatury,
Uniwersytet Zielonogórski 2022

Kościoła. Problem w tym, że wciąż jest ona mało znana, a właściwie nieznana szerszym rzeszom (nie tylko) wierzących.

W metodzie tej kluczową rolę odgrywa ustalenie gatunków literackich poszczególnych opowiadań czy fragmentów Biblii. Chodzi o to, by np. przypowieści nie traktować jako formuł dogmatycznych, bajek jako relacji historycznych, hymnów jako kronik, a legend – jako sprawozdań z przebiegu wydarzeń itd. Autorzy biblijni stosowali rozliczne gatunki literackie, w tym charakterystyczne dla swojego środowiska kulturowego. Jeśli chodzi o starożytną Palestynę, to przykładem może być tzw. midrasz, czyli szczególny rodzaj swobodnego komentarza rabinów do wybranych fragmentów Pisma Świętego, z wykorzystaniem – co w naszym kontekście bardzo ważne – paraboli, legend, opowieści, postaci i wydarzeń fikcyjnych itp.

Dzisiaj wielu katolickich biblistów uważa, że techniką midraszową zostały napisane np. Ewangelie dzieciństwa, czyli dwa pierwsze rozdziały Ewangelii Mateusza i Łukasza. A skoro tak, może to oznaczać, że nie wszystko, o czym w nich mowa, musi mieć wartość historyczną, chociaż wszystko ma znaczenie teologiczne. Np. do faktów historycznych można nie zaliczać takich narracyjnych elementów w Mateuszowej Ewangelii dzieciństwa jak sen Józefa, w którym anioł zapowiedział rodziny Jezusa, spotkanie Heroda z mędrcami ze Wschodu, ucieczka Świętej Rodziny do Egiptu czy

jej powrót stamtąd. Midraszowość obu Ewangelii dzieciństwa pozwala także na wyjaśnienie i unieszkodliwienie historycznych „błędów” ewangelistów (np. Łukaszowa informacja o spisie ludności, który w rzeczywistości się nie odbył) czy problemu sprzeczności między nimi (np. u Mateusza dom rodzinny Jezusa znajduje się w Betlejem, a u Łukasza w Nazarecie).

Jeśli ziemski początek Jezusa został odmalowany z pomocą midraszowych farb i pędzli, to dlaczego nie przyjąć, że coś podobnego spotkało w Ewangelii także nowy początek Jezusa, ten już bez końca? Nie mam pewności, czy ks. Piotrowski akurat zgodziłby się z takim stawianiem sprawy, ale można by w ten sposób osiągnąć cel, do którego i on dąży w swojej książce. Po pierwsze – przekonująco rozwiązać problem z beznadziejnie niemożliwą do przeprowadzenia harmonizacją sprzecznych ze sobą ewangelijnych opowiadań o pustym grobie. Tym samym rozbroić ostatecznie problem tych sprzeczności. Ponadto uwolnić Kościół od wstydliwego wrażenia, że niektórych chrześcijan – którzy byli świadkami pustego grobu i na własne oczy widzieli Zmartwychwstałego, dotykali Go i z Nim uctwowali (chrystofanie) – nie obowiązuje zasada *sola fide*, czyli konieczność wiary do zbawienia. Niestety, takie spojrzenie na nowy początek Jezusa nie rozwiązuje i nie unieważnia pytania o to, czy można – i jak można – wyobrazić sobie wskrzeszenie przy „pełnym grobie” Jezusa, ale i przy „pełnych grobach” nas, ludzi.

Bez anatem

Być może Paweł z Tarsu nie znał akurat problemów, które cztery Ewangelie rodzą w odniesieniu do zmartwychwstania, wydaje mi się jednak, że „koryncka” zasada apofatyczna razem z prawdą o ewolucji jego eschatologii i mistyczną wizją wskrzeszenia mogą okazać się pomocne w radzeniu sobie z tymi (i innymi) problemami. Niewątpliwie są sprawy wiary, które przekraczają ludzkie możliwości poznawcze, co wcale nie znaczy, że trzeba przed nimi kapitulować. Przeciwnie, można i trzeba je zgłębiać, a nawet spierać się o nie, zostawiając miejsce na różne rozwiązania i stanowiska, bez rzucania anatem. Kluczowa okazuje się Pawłowa wiara, biblijny wspólny mianownik, że chrzest jest tożsamy ze wskrzeszeniem, byciem już dziś „w Chrystusie” na zawsze.

© JÓZEF MAJEWSKI

Klasztor na chwilę

MARCIN CHODUŃ

Podróżowanie, poznawanie innych krajów i kultur, zdobywanie doświadczenia – i czas do zastanowienia się nad życiem. Taką propozycję mają benedyktyni.

WYJAZD NA ROK JAKO WOLONTARIUSZ do odległych krajów, z zapewnionym na miejscu wiktem i opierunkiem – kto po maturze lub skończeniu studiów nie marzyłby o takiej przygodzie?

Simon ma 21 lata i pochodzi z niemieckiego miasta Bochum-Wattenscheid. Gdy znajomi w 2018 r. pytali: „Czego szukasz w klasztorze?”, niełatwo mu było odpowiedzieć. Od dawna wiedział, że po skończeniu szkoły chce pojechać za granicę – planował już półroczny pobyt w Chinach. Ale myśli o tym, że musiałby w tym czasie zrezygnować z mszy i gry na organach, sprawiała, iż czuł się nieswojo. W Chinach byłby w zasadzie sam, a przecież zawsze chciał być częścią społeczności. Ostatecznie zdecydował się na krótszą podróż do Chin, by móc pełny rok spędzić w Einsiedeln w Szwajcarii oraz w Rzymie.

Joseph – 26-latek z diecezji Regensburg w Górnym Palatynacie – we wrześniu 2022 r. skończył studia z inżynierii przemysłowej z tytułem magistra i chciał zrobić przerwę przed wejściem w życie zawodowe. Postanowił wyjechać na pół roku do przeoratu Tabga nad jeziorem Genezaret w Izraelu, by razem z tamtejszymi mnichami mieszkać i pracować.

Ilias ma 29 lat. Studia skończył w kwietniu 2019 r. i przez ponad trzy lata pracował, po czym postanowił wziąć wolne, aby dzięki klasztornemu odosobnieniu w austriackim Kremsmünster i Tabdze pogłębić relację z Bogiem.

Wybór drogi

Wszyscy trzej wzięli udział w projekcie „Czas klasztorny” („Klosterzeit”) benedyktynów z Einsiedeln. Jak tłumaczy inicjator i koordynator przedsięwzięcia, o. Thomas Fässler, mnisi z jego klasztoru zauważyli, że wielu młodych ludzi szuka po ukończeniu nauki możliwości sensownego zagospodarowania czasu.

– Sporo z nich wciąż zastanawia się, co zrobić ze swoim życiem – mówi. – Często biorą wolne, aby poznać nową kulturę i język, odkryć nowe sposoby życia, pogłębić wiarę czy też po prostu być przydatnym dla innych.

Mnisi skierowali do młodych mężczyzn w wieku od 18 do 30 lat program „Czas klasztorny”: mają w okresie od sześciu do dwunastu miesięcy mieszkać, pracować i modlić się razem z benedyktyńskimi mnichami.

Projekt funkcjonuje od 2018 r. O. Fässler: – Jedni poświęcają miesiące spędzone w naszych wspólnotach na zastanowienie się, jaką drogą pójść dalej w swoim życiu, inni wykorzystują ten czas na sprawdzenie, czy życie w klasztorze jest czymś odpowiednim dla nich.

A skąd ograniczenie wiekowe? – Wciąż jesteśmy pytani, dlaczego również 40- czy 50-latkowie nie mogą uczestniczyć w tym projekcie. Odpowiadamy, że oni są w zupełnie innym miejscu w życiu. Nie stoją przed wyborem drogi życiowej. Zwykle zapuścili już gdzieś korzenie, mają obowiązki.

Potrzebna otwartość

Program „Czas klasztorny” rozpoczyna się cztery razy w roku: w lutym, maju, sierpniu i w listopadzie. Najpierw jest tydzień wprowadzający w Einsiedeln. Przez sześć dni w godzinach porannych uczestnicy zdobywają wiedzę na temat życia monastycznego: słuchają o organizacji klasztoru, o chorale gregoriańskim, o historii monastycyzmu, o sakramentach, modlitwie, liturgii godzin. – Chodzi o to, aby nie byli w pierwszych tygodniach pobytu w klasztorze całkowicie zagubieni – tłumaczy o. Fässler.

Do tej pory w programie wzięło udział 14 mężczyzn, choć co roku spływa do klasztoru Einsiedeln 30-40 wniosków. Dlaczego tak niewielu mężczyzn zakwa-

likowało się do uczestnictwa? – Jeszcze przed tygodniem wprowadzającym rozpoczyna się proces selekcji, który jest dość restrykcyjny – tłumaczy zakonnik. – Najpierw przeprowadzamy kilka wstępnych rozmów. Wnioskodawcy muszą również złożyć listy polecające (od nauczycieli, prezesów klubów, pracodawców itp.). Stosunkowo niewielka liczba dotychczasowych uczestników projektu wynika z faktu, że sporo kandydatów skończyło już 30 lat; zdarzyły się też osoby z problemami psychicznymi. A w stosunku do sporej liczby osób mieliśmy wrażenie, że już najwyższy czas, aby zrobiły w swoim życiu jakiś zdecydowany krok, a nie po raz kolejny brały sobie wolne od codziennego życia.

Jak podkreśla benedyktyn, nie trzeba być katolikiem, żeby móc uczestniczyć w projekcie. – Mielśmy zgłoszenia od protestantów i osób nieochrzczonych. Ważna jest jednak gotowość do włączenia się w modlitwy w taki sam sposób, jak robią to katolicy.

O. Fässler: – Warunkiem uczestnictwa nie jest także żadna wcześniejsza wiedza religijna. Kluczowa jest gotowość do zaangażowania się w życie monastyczne.

Uczestnicy projektu mogą spędzić swój „klasztorny czas” w dwunastu benedyktyńskich opactwach na czterech kontynentach: począwszy od klasztorów europejskich (w Austrii, Francji, Anglii, Hiszpanii i Włoszech), przez ośrodki benedyktyńskie w Izraelu, Argentynie czy USA, na Korei Południowej skończywszy (jako pierwszy pojedzie w to miejsce Oliver w listopadzie 2023 r.). Minimalna długość pobytu w jednym miejscu to trzy miesiące. Można być po kolei w trzech klasztorach.

– Życie w danym klasztorze kształtuje na pewno miejscowa kultura i mentalność, ale zasadniczo struktura jest wszędzie taka sama – tłumaczy o. Fässler. – Oczywiście uczestnicy projektu nie są związani ślubami i mają większą swobodę, także w sposobie spędzania wolnego czasu: np. wszystkie weekendy mają wolne. Poza tym jednak dzielą z nami benedyktyńską codzienność w rytmie modlitwy, lektury i pracy. We wszystkich klasztorach obowiązuje pewne minimum: uczestniczenie w co najmniej jednej modlitwie i mszy. W Einsiedeln uczestnicy projektu biorą udział we wszystkich modlitwach oprócz czuwania o 5.30. W żadnym z klasztorów nie ma obowiązku czytania Biblii – leży to w gestii uczestników.

Zajęcia wolontariuszy różnią się w zależności od rodzaju działalności poszczególnych klasztorów, także od ich osobistych talentów, zainteresowań i zdolności. – Na przykład pobyt w klasztorze w Rzymie, w sercu Kościoła katolickiego, na pewno będzie się różnił od czasu spędzonego w Jerozolimie, gdzie do obowiązków wolontariuszy należy m.in. opieka nad pielgrzymami, czy też w opactwie Waegwan w Korei Południowej, gdzie może się zdarzyć praca na polu ryżowym – mówi o. Thomas.

Mniśi to tylko ludzie

Wrażenia z pobytu w klasztorze uczestnicy programu utrwalają w formie blogów.

Simon w Einsiedeln zajmował się różnymi pracami – tym, co akurat było do zrobienia. Np. w ramach przygotowań do nowego roku szkolnego w przyklasztornym gimnazjum od poniedziałku do czwartku demontował i wywoził stare biurka. W Rzymie w klasztorze Sant' Anselmo jednym z jego głównych zadań było zmywanie naczyń. Był ponadto odpowiedzialny za pocztę, czasem pomagał w kościele lub zakrystii. Angażował się także w pomoc dla bezdomnych. Szybko zorientował się, że w Sant' Anselmo było znacznie mniej pracy niż w Einsiedeln – przez kilka pierwszych tygodni musiał się przyzwyczaić do nowo odkrytej wolności. Udało mu się zwiedzić Rzym, a także odbyć wycieczkę nad morze.

Joseph spędził sześć miesięcy w Ziemi Świętej, w przeoracie Tabga nad jeziorem Genezaret, gdzie Chrystus miał dokonać cudownego rozmnożenia chleba i ryb. Ze swojej klasztornej celi widział kościół otoczony drzewami oliwnymi. Zachwylił go krajobraz porośnięty mnóstwem drzewek cytrynowych oraz drzew mango z dojrzałymi owocami.

Ponieważ akurat po jego przyjeździe do klasztoru zakończył się okres świąt Bożego Narodzenia, od razu w pierwszym dniu Joseph zajął się wynoszeniem z refektarza świątecznych dekoracji. Podczas zimowych miesięcy często padał deszcz, przez co było – o dziwo – nawet dość chłodno. Okazuje się, że w tym okresie nawet w Ziemi Świętej niektóre drzewa tracą liście, dlatego Joseph zajmował się ich usuwaniem w przyklasztornym ogrodzie.

Ilias najpierw przebywał w austriackim opactwie w Kremsmünster; następnie trafił do klasztoru Tabga. W Ziemi



SIMON, 21 lat. Przebywał w klasztorze w Einsiedeln w 2020 r.



ILIAS, 29 lat. Spędził w klasztorach Kremsmünster i Tabga po trzy miesiące od końca listopada 2019 r.



JOSEPH, 26 lat. Przebywa w Ziemi Świętej od listopada 2022 r.

Świętej do jego głównych zadań należało odkurzanie książek i regałów w bibliotece oraz pielienie ogrodu. Tworzył także oprogramowania do haftu – w klasztorze są produkowane różne wyroby hafciarskie dla sklepu klasztorowego. Odpowiednie oprogramowanie miało tę pracę ułatwić.

W Kremsmünster natomiast Ilias po ranki spędzał głównie w kuchni, gdzie obierał owoce i sprzątał. Przygotowywał też klasztorne ogrody do zimy („w listopadzie w ciągłej mgłę”). Wraz z jednym z mnichów uporządkował też zbiory sztuki, oznakował butelki z winem, a także pomagał w pracach związanych z ustawieniem adwentowego kiemaszu.

Odkrył, że nawet we wspólnocie klasztornej nie zawsze wszystko przebiega tak, jak można sobie wyobrażać. „Nawet mnisi są tylko ludźmi” – napisał tajemniczo. Jak wspomina o. Fässler, nie chciał mówić o szczegółach.

Brak nudy

Na zakończenie „klasztornego czasu” każdy z uczestników wraca na pięć dni do Einsiedeln, aby podzielić się swoimi wrażeniami.

O. Fässler: – Wiemy już, że po obu stronach jest potrzebna pewna elastyczność. Musimy wprowadzać poprawki, jeśli coś nie do końca wychodzi tak, jak sobie wyobrażaliśmy.

Zakonnik przyznaje: w jednym z klasztorów wystąpiły problemy i „czas klasztorny” jednego z uczestników został zakończony wcześniej za obopólną zgodą. Do tej pory, podkreśla jednak, przeważały zdecydowanie pozytywne doświadczenia. – Wielu uczestników było zaskoczonych intensywnością życia klasztorowego. Zakładali, że w klasztorze nic się nie dzieje, że codzienność jest bardzo monotonna, a nawet że mnisi to ludzie nudni. Ich doświadczenia pokazały, że tak nie jest. Doceniają też przejrzystą strukturę i ciszę klasztorowego życia: to elementy, które chcieliby zachować dla własnej codzienności.

Kilku dotychczasowych uczestników projektu „Czas klasztorny” wybrało w swoim życiu duchową drogę. Dwóch mężczyzn poszło na studia teologiczne, dwóch innych wstąpiło do klasztoru benedyktyńskiego. Kolejny wybiera się do innego zakonu.

Czy do projektu zgłaszali się Polacy?

– Do tej pory nie – mówi o. Thomas. – Dotychczas reklamowaliśmy się tylko w krajach niemieckojęzycznych. Jednym z warunków uczestnictwa w projekcie jest dobra znajomość niemieckiego oraz, w przypadku wyjazdu do klasztoru spoza obszaru niemieckojęzycznego, angielskiego. Jeśli zgłoszą się młodzi Polacy, którzy spełnią te warunki, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przyjechali. Zapraszamy. ©



GREGORIO BORGIA / AP / EAST NEWS

Papież Franciszek podczas spotkania z młodymi przedsiębiorcami na rzecz bardziej humanistycznej gospodarki. Asyż, 24 września 2022 r.

Sprawiedliwszy dom

DOROTA BIDZIŃSKA

Franciszek zainspirował globalny ruch młodych ludzi, którzy chcą budować nowe myślenie ekonomiczne.

Gdy usłyszał o ekonomii Franciszka, postanowił się zgłosić. Mateusz jest rolnikiem w trzecim pokoleniu. W latach 70. jego dziadkowie przenieśli się z południowo-wschodniej Polski na Żuławy Wiślane. Na 14 hektarach uprawiali buraki cukrowe i zboża, hodowali krowy mleczne i owce. Gdy nadeszła transformacja, a Polska weszła do UE, zmieniał się charakter i rozmiar gospodarstwa. Dziś to 700 hektarów przeznaczonych na łąki – sprzedaż siana okazała się biznesem najbardziej opłacalnym.

W rodzinnym gospodarstwie Mateusza nie bez znaczenia są też kwestie środowiskowe. Dzięki rezygnacji z uprawy orkowej i przejściu na rolnictwo regeneratywne udaje się zmniejszyć emisję gazów

cieplarnianych i magazynować większą ilość dwutlenku węgla w glebie, a przez to pozytywnie odpowiadać na wyzwania związane ze zmianami klimatycznymi. W 2020 r. Mateusz razem z bratem Pawłem założyli spółkę European Carbon Farmers, która ma za zadanie wspierać rolników w działaniach na rzecz łagodzenia zmian klimatycznych i wywierać wpływ na politykę na szczeblu europejskim, umożliwiającą handel ujemnymi emisjami. Dzięki temu przejście na rolnictwo regeneratywne będzie nie tylko wyborem słusznym, ale też opłacalnym finansowo – dla rolnika i dla społeczeństwa.

– Kiedy wybieraliśmy obszary pracy, czyli tzw. wioski tematyczne, w ramach których będziemy pracować w Ekonomii

Franciszka, zastanawiałem się nad wyborem tej zatytułowanej „CO₂ a nierówność” – opowiada Mateusz. – Ostatecznie jednak dołączyłem do zespołu „Rolnictwo i sprawiedliwość”.

Wirtualne wioski

W 2019 r. Franciszek zaprosił młodych z całego świata do współtworzenia „paktu dla nowej ekonomii”. Wydarzenie to miało przełożyć na praktykę papieską myśl społeczną zawartą w encyklikach „Laudato si” i „Fratelli tutti”. Zaproszono osoby do 35. roku życia, zaangażowane w biznes, rolnictwo, przemysł, a także akademików i aktywistów społecznych. W marcu 2020 r. mieli spotkać się w Asyżu i obradować nad najważniejszymi współczesnymi problemami ekonomicznymi. Zgłosiło się ponad 2 tys. uczestników ze 115 krajów, w tym około 30 Polaków.

– Trochę przekornie powiem, że odpowiadałem na zaproszenie nie tyle papieża, co prof. Luigina Bruniego, który jest nie tylko świetnym ekonomistą, ale też *spiritus movens* całego tego przedsięwzięcia – mówi Marcin Kawko, doktorant SGH i ekonomista Obserwatorium

Caritas. – Moje relacje z Kościołem były do tej pory raczej sinusoidalne, raz jest mi z nim po drodze, a innym razem niekoniecznie. Przeważało zainteresowanie zagadnieniem od strony naukowej. Już w trakcie studiów w SGH prof. Tomasz Dołęgowski zwrócił moją uwagę na nauczanie społeczne Kościoła i w tym obszarze zacząłem szukać myśli opartej na tradycji, ale też mądrej i ożywczej, prowadzącej do działania. Te poszukiwania zaprowadziły mnie w stronę ekonomii obywatelskiej. To ruch włoskiej szkoły ekonomicznej, któremu obecnie przewodzi właśnie prof. Bruni. Uznałem, że skoro to on jest organizatorem, może być ciekawie.

Pandemia pokrzyżowała plany organizatorów i wiosenne spotkanie w Asyżu odwołano, ale inicjatywa przeniosła się do przestrzeni wirtualnej. Międzynarodowe grupy, skupione wokół takich tematów jak: zarządzanie i dar, finanse i człowieczeństwo, praca i troska, rolnictwo i sprawiedliwość, energia i ubóstwo, biznes i pokój, kobiety w gospodarce, CO₂ a nierówności, powołanie i zysk, biznes w transformacji, życie i styl życia oraz polityki publiczne i szczęście – obradowały przed ekranami.

– Ta forma okazała się sporym wyzwaniem – mówi Marcin, który dołączył do wioski „Powołanie i zysk”. – Spotykaliśmy się na wideorozmowach co ponie-działek i dzieliliśmy się wrażeniami, pomysłami. Pomocna okazała się obecność osób starszych, z większym doświadczeniem zawodowym, nieformalnych opiekunów. W naszym przypadku była to m.in. s. prof. Helen Alford, ekonomistka, dziekan nauk społecznych na Uniwersytecie Angelicum i członkini Papieskiej Akademii Nauk Społecznych. Pomogła nam w sprecyzowaniu obszaru i kierunku naszych działań. W międzyczasie wykładowały się dwie konkretne inicjatywy.

Jedną z nich był The Profit Podquest, w który mocno zaangażował się Marcin. Działają w ramach sześciuosobowego zespołu: Alessandra Fasol z Włoch, Henrique Sengès z Brazylii, Ingrid Ocampo z Kostaryki, Vincent Chee z Malezji, Eveling Sanchez z Wenezueli i on – z Polski. Wspólnie realizują podcast, w którym rozmawiają o działalności gospodarczej wykraczającej poza wąsko rozumiany zysk. W jednym z odcinków Hickey Louughlin, który w przeszłości zajmował się konsultingiem finansowym dla międzynarodowych firm, opowiada, jak po

rozmowie ze swoim biskupem zdecydował się założyć Blueprint for Better Business – organizację, która doradza światowym gigantom, jak budować swój biznes wokół ważnych dla ludzi wartości. W innym s. Helen Alford dzieli się swoją drogą: dawna studentka inżynierii nowych technologii wstąpiła do zakonu dominikanek. Zaczęła studiować ekonomię, szukając w niej personalistycznego wymiaru. „Wszystko, co robimy, jest odwrócone do góry nogami – mówi. – Stawiamy w centrum technologię, a dopiero potem gromadzimy ludzi wokół niej”.

– Ekonomia Franciszka to nie jednorazowe wydarzenie, ale złożony proces – tłumaczy Marcin. – Gdybym miał zdefiniować, co kryje się pod tym pojęciem, wskazałbym na trzy wymiary. Pierwszy to spójna wizja świata, systemu gospodarczego i jego przeznaczenia, ze wskazaniem punktu centralnego: człowieka i relacji, w których on się znajduje. Drugi to oddolna inicjatywa poszukująca narzędzi do realizacji tej wizji. A trzeci to formujący się ruch społeczny, zrzeszający uczestników z całego świata.

Stąd szereg akcji i inicjatyw o mniejszym lub większym zasięgu zebranych pod wspólnym sztandarem Ekonomii Franciszka.

Eksperymentalna farma

Ibadan w Nigerii i Manaus w Brazylii – wybór lokalizacji był od razu oczywisty. To tu powstały dwa modelowe gospodarstwa w ramach projektu The Farm of Francesco wypracowanego przez uczestników wioski „Rolnictwo i sprawiedliwość”. Młodzież zdobywa tam doświadczenie z zakresu rolnictwa regeneratywnego, uczy się przedsiębiorczości i modeli biznesowych, a zdobyte kompetencje może w przyszłości wykorzystać w swoich rodzinnych wioskach.

W grupie uczestników znaleźli się m.in. Rita z Nigerii i Ariel – Brazylijczyk. Ich perspektywa przysłużyła się do wyboru miejsc i utworzenia gospodarstw. Ariel zainwestował własne środki finansowe, nigeryjska farma to inwestycja innego uczestnika projektu, Giacomina – Włocha, który jest rolnikiem w Niemczech i po rozmowach z Ritą zdecydował się na taki krok.

– Impulsem były słowa Rity, która zwierzyła nam się, że 70 procent swoich dochodów przeznaczają na zakup jedzenia – opowiada Mateusz. – Wtedy Giacomo

wpadł na pomysł, że będzie jej o wiele łatwiej, jeśli nie tylko będzie mogła jeść to, co sama wyhoduje, ale też sprzedawać naddatki na lokalnym rynku. Tak powstało gospodarstwo, w którym plantacja bananów połączona jest z uprawą różnych warzyw. Dzięki prostym systemom nawodnienia można było je zbierać nawet w porze suchej.

Toksyczna niesprawiedliwość

We wrześniu 2022 r. udało się to, na co uczestnicy Ekonomii Franciszka czekali od dawna – po długim czasie pracy zdalnej w zespołach i dwóch globalnych konferencjach online zorganizowanych w listopadzie 2020 i październiku 2021 r. spotkali się na żywo w Asyżu.

– Obawiałem się, że to wszystko będzie takie hurraoptymistyczne: niewiele spotkań wnoszących coś na poziomie wiedzy, wymiany myśli, za to dużo śpiewania piosenek, tańczenia i obejmowania się – wspomina Marcin. – No i rzeczywiście tak było. Ale, co ciekawe, wcale mi to nie przeszkadzało. Podobała mi się ta otwartość i relacyjność realizowana w praktyce, bez wielkich słów. Przecież także o to nam chodzi w Ekonomii Franciszka. Duże wrażenie zrobili na mnie zwłaszcza ludzie z Ameryki Łacińskiej. Ich uśmiechnięte twarze i szeroko otwarte ramiona dodawały energii i zachęcały do działania bardziej niż jakiegokolwiek przemowy.

– Najbardziej zapadły mi w pamięć rozmowy z dwoma Afrykańczykami, którzy dosiedli się do nas przy kolacji – opowiada Adam Zych, przedsiębiorca i prezes Fundacji Projekt PL. Choć ze względu na wiek i zawodowe obowiązki nie włączył się aktywnie w projekt, to od początku przygląda się Ekonomii Franciszka z dużym zainteresowaniem. Udało mu się także pojechać do Asyżu. – Jeden z nich był dyrektorem banku francuskiego z Wybrzeża Kości Słoniowej, drugi, Ugandyjczyk, pracował w Unii Afrykańskiej. Opowiadali o problemach globalnych z perspektywy własnego życia. To było doświadczenie prawdziwie otwierające oczy. Na przykład ten chłopak z Ugandy mówił, że w czasach jego dzieciństwa każdy był w stanie wyżywić się, uprawiając niewielkie pole, a głód właściwie nie istniał. Tymczasem dziś ogromne połacie kraju z powodu suszy nie nadają się pod uprawę. A więc głód to nie wynik zaniedbań rozwojowych. Po prostu ludzie nie mają

→ żadnej kontroli nad swoim losem, bo są ofiarami zmian klimatycznych. Pracownik banku natomiast uświadomił mi, że w byłych koloniach francuskich walutą wciąż jest frank, o którego stabilność dba Francuski Bank Narodowy. To dało mi do myślenia. O wartości waluty decydują nie centralne banki krajowe, ale podmiot francuski, co na pewno ma wpływ na ograniczenie niezależności i suwerenności tych państw. Dla mnie to przykład, miękkiego i pośredniego, ale jednak neokolonializmu.

„Starając się ratować planetę, nie możemy zaniedbać cierpiącego mężczyzny i kobiety – zwrócił się do uczestników spotkania Franciszek. – Zanieczyszczenia, które zabijają, to nie tylko dwutlenek węgla: naszą planetę zanieczyszczają zabójczo także nierówności. Nie możemy pozwolić, aby nowe klęski ekologiczne usunęły z opinii publicznej dawne i stale obecne klęski niesprawiedliwości społecznej, a także niesprawiedliwości politycznej”.

Kapitalizm po polsku

– Ruch Ekonomii Franciszka skupia się na trzech bardzo ważnych we współczesnym świecie zagadnieniach – uważa Adam Zych. – Pierwszy to problem ubóstwa i rosnących nierówności, który z perspektywy globalnej wciąż pozostaje palącą kwestią. Drugi to zmiany klimatyczne i zagrożenia środowiskowe. A trzeci, z mojej perspektywy najbardziej interesujący, to zmiana paradygmatu kapitalizmu, zgodnie z którym rozwój opiera się wyłącznie na wzroście zysków. To prawda, że nie tylko środowisko skupione wokół Franciszka zwraca na to uwagę, bo nawet wśród ekonomistów, laureatów Nagrody Nobla, pojawia się problem granicy wzrostu gospodarczego

Ekonomia Franciszka
zajmuje się problemem
nierówności w świecie,
zagrozeniami środowiska oraz

zmianą paradygmatu kapitalizmu.

lub częściowej regulacji rynku. Jednak w polskich realiach te tematy pozostają niszowe.

Kryzys ekologiczny i ubóstwo z perspektywy naszego kraju nie są aż tak bardzo widoczne, a neoliberalna gospodarka, którą zachłysłiliśmy się po 1989 r., dla wielu wciąż wydaje się jedyną słuszną opcją. Ten stan rzeczy stał się dla Adama Zycha impulsem do założenia Fundacji Projekt PL, której działania – jak przyznaje – są w pewien sposób tożsame z problematyką poruszaną w ramach Ekonomii Franciszka.

– Zajmujemy się głównie próbą odpowiedzi na pytanie, jak powinien wyglądać kapitalizm skoncentrowany na człowieku. Bo to, że jesteśmy skazani na system kapitalistyczny, zaczyna być powoli dla wszystkich jasne. Bez wątplenia wymaga on jednak poprawy na wielu płaszczyznach. Dlatego potrzebujemy dyskusji na ten temat. Nasza fundacja jest think tankiem, zadajemy sobie pytania: czy da się zbudować system gospodarczy, którego aksjomatem nie będzie nieograniaczony wzrost? Jak budować model, w któ-

rym siłą napędową są realne potrzeby człowieka, a nie pragnienia sztucznie napędzane przez reklamę? Jak kształtować gospodarkę odpowiadającą na rosnące wyzwania związane z opieką nad dziećmi i osobami starszymi? Raz do roku organizujemy konferencję „Polski model kapitalizmu”. Zapraszamy na nią ekonomistów, którzy mają troszkę inne spojrzenie, ciekawy punkt widzenia, na przykład w zeszłym roku, w grudniu, był z nami Branko Milanović, ekonomista zajmujący się nierównościami, i prof. Marcin Piątkowski.

– Największym wyzwaniem jest dla mnie brak zrozumienia w najbliższym otoczeniu – mówi Mateusz. – Nieraz w dyskusjach słyszałem: nie obchodzi mnie, co się dzieje gdzieś tam daleko. Po co mam pomagać ludziom na drugim końcu świata? Mamy wystarczająco dużo własnych problemów.

Marcin zwraca uwagę, że jednym z największych sukcesów Ekonomii Franciszka jest to, że daje alternatywę, ale też konstruktywną opowieść o świecie. Taką, która przyczynia się do budowania wspólnoty. Znamienne jest, że do udziału w wydarzeniu zaproszeni zostali nie tylko katolicy, ale też wyznawcy innych religii i ateści.

– Owszem, mamy poważne problemy, ale w konkretny sposób możemy je rozwiązywać – zauważa Marcin. – Wezwanie do zaangażowania dotyczy każdego z nas, nie tylko tych, którzy zajmują się ekonomią jako akademicy. Przecież wszyscy, chcąc nie chcąc, jesteśmy zanurzeni w ekonomii. I albo możesz być przedmiotem ekonomii, którym inni będą rozgrywać, jak chcą, albo możesz stawiać się podmiotem. Nawet jeśli to będzie działanie na najniższym szczeblu, to wciąż jest to moralnie jedyny właściwy wybór.

© DOROTA BIDZIŃSKA

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

● **WARSZAWA**, czwartek 16 lutego,
spotkanie z Anną Łabuszewską „Zrozumieć
niezrozumiałe. Po roku wojny” / stacjonarne /



● **WROCŁAW**, piątek 17 lutego,
dyskusja wokół tekstów ks. Michała Hellera
„Wojna zimna i wojna gorąca”
oraz „Kryzys i nadzieja” / stacjonarne /

● **SŁUPSK**, piątek 17 lutego,
spotkanie z dr. Piotrem Walewskim,
„Tajemnice Biblii” / stacjonarne /



ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji
na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

WOJCIECH

Bonowicz: Nieużytek



DESZCZ SPŁUKAŁ ŚNIEG, A PO ODSŁONIĘ-
tym śmietniku spacerują gawrony.
W rozprutych workach zawsze znajdują
się resztki jedzenia: skórki chleba,
obierki, kasza, która przypaliła się na
dnie garnka. Przeszukiwanie nie trwa

długo; już po chwili z grupki ptaków zostają tylko dwa naj-
cierpliwsze. Reszta odlatuje w stronę bloków, licząc, że na-
wet tam, gdzie postawiono tabliczki „Nie karmić”, ktoś nie
posłucha nakazu.

Śmietniko wyrosło pod oknami, na działce, która wy-
kupiona została pod nowy budynek. Jego budowę na szczę-
ście udało się zablokować. Piszę: „na szczęście”, bo blok,
zgodnie z panującą modą, miał dostarczać widoku z okien
wyłącznie na inne okna, a jego budowa mogła zagrozić fun-
damentom tego, w którym mieszkamy. Zamiast bloku ma
w tym miejscu powstać park, ale na razie działka zarasta,
a nocami ktoś wyrzuca tu śmieci, bywa, że nawet stare
drzwi czy meble. Wśród rozspanych resztek chętnie bu-
szują psy, dlatego właściciele, mijając to miejsce, na ogół
skracają im smycz.

Te dwa cierpliwe gawrony... Ciągłe tam są, już od kil-
kudziesięciu minut. Nie widać, żeby poszukiwania były
udane, a jednak nie rezygnują. Może nie mają sił, by pole-
cieć dalej? Czy zwierzęta odczuwają coś na podobieństwo
nadziei? Czy jedynie przytłoczyły energii i wyczerpanie?
Deszcz jest coraz grubszy, a wiatr przybiera na sile. Można
by poszukać schronienia wśród drzew po drugiej stronie
chodnika, ale gawrony zastygają, jakby chciały przeczekać
to natarcie. Co więcej, w ślad za nimi pojawiła się grupka
wron. Prą do przodu i jeszcze raz przegrzebują to, co wielo-
krotnie przeszukane. W końcu deszcz i wiatr stają się tak
dokuczliwe, że ptaki się wycofują.

Lubię patrzeć na tę pustkę za oknem. Pustkę czy raczej
– nieużytek. Mały fragment odpoczywającej ziemi. Nie
wiem, jak będzie wyglądał park. Czy pozwoli ziemi oddy-
chać, a krzewom rosnać nieco swobodniej? Czy drzewa,
pozostałość dawnego sadu, zostaną wycięte? A może park
wcale nie powstanie. Podobno właściciel działki jeszcze się
nie poddał... Na razie ziemia może cieszyć się beztróską.
Przygarnia nawet śmieci, otula je pędami, ukrywa w za-
głębieniach.

Kiedyś były tu pola i pojedyncze zabudowania. Kiedy
sprowadziliśmy się w to miejsce, prawie pół wieku temu,
niektóre płoty jeszcze stały, a jabłonie rodziły. Spędzali-
śmy na tych łąkach całe letnie dni, choć tak naprawdę nie
pamiętam, co robiliśmy, może poza grą w noże, która nie
wymagała niczego, prócz kawałka czystego gruntu. Syci-
liśmy oczy tym, co było. Czasem na łąkach pojawiały się
krowy. Mieszkaliśmy w mieście i na wsi, w transformacji.
W pamięci i jednocześnie w czymś, co nie miało jeszcze
ustalonej formy, było dopiero zapowiedzią. Z jedną linią
autobusową dla wszystkich.

Teraz widok pustki przynosi ulgę. Uczę się odpoczywać
jak porzucona ziemia. Jak gawron, który nie wie, kiedy
przestanie padać. Podpisałem z tym widokiem umowę
niezlecenie, umowę na niedziałanie. Żeby tylko nic się nie
wydarzyło.

Czy umiecie się zatrzymać? Czy umiecie patrzeć? Czy
można się tego nauczyć? Czy ja to umiem? Wszystko, co
najważniejsze, zaczyna się od patrzenia. Także zamknięte
oczy patrzą. Także te, które widzą niewyraźnie lub wcale.
Chodzi o zatrzymanie się. Tylko świat obserwowany, nasłu-
chiwany istnieje naprawdę. Chodzi o bezinteresowność tak-
iego spojrzenia, nasłuchiwanie, które z jednej strony przy-
muje wszystko w siebie, a z drugiej – równocześnie, w tym
samym momencie – uwalnia, pozostawia nieużytym, „nie
moim”. Chodzi o słowa, które nie wdzierają się w świat, lecz
z nim współlistnieją, cierpliwie szukają doń drogi.

Temperatura spada i za deszczem znów zjawia się śnieg.
Wiatr układa go w niemal poziome szlaczki. Obraz robi się
zimny i miękki. Razem z kotem na parapecie wpatrujemy
się w to, co jeszcze nic nie znaczy. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Podkast
Tygodnika Powszechnego
tworzymy dzięki wsparciu
już ponad **120**
Patronów i Patronek!

Dziękujemy!



wspieraj!



ŁOTEWSKIE MIESIĄCE

Ocena XX-wiecznej historii zależy tu zwykle nie od poglądów politycznych, lecz od języka, którym ktoś się posługuje. Czy kraj z trudną przeszłością może się pojednać?

TOMASZ OTOCKI

CHOĆ OD UPADKU ZWIĄZKU SOWIECKIEGO i odzyskania przez Łotwę niepodległości minęły już 33 lata i dorosły nowe pokolenia, społeczeństwo – gdy idzie o pamięć historyczną – wciąż jest rozbite na dwie grupy: tych, którzy bardziej pamiętają okupację sowiecką, oraz tych, dla których najważniejszym doświadczeniem pozostaje to, co się tutaj stało w latach 1941-44, nawet jeśli ich rodziny przyjechały nad Dźwinę dopiero po II wojnie światowej.

Młode pokolenie Łotyszy – takich jak Lolita Tomsona, dyrektorka Memoriału Žanisa Lipkego – próbuje jednak pogodzić pamięć o zbrodniach dwóch totalitaryzmów. I upamiętnia Holokaust, w którym zginęło 70 tys. łotewskich Żydów.

Ojciec Noc

27 stycznia, Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu, jest obchodzony także tutaj. To data wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau w okupowanej Polsce. Jednak zgromadzonych na łotewskich obchodach w mroźny poranek dyplomatów, polityków, dziennikarzy interesuje bardziej to, co w czasie II wojny światowej stało się w lasku Bīķernieki, położonym obecnie w granicach stołecznej Rygi.

W 2001 r. zbudowano w lasku specjalne upamiętnienie w postaci kilku tysięcy granitowych kamieni, symbolizujących macawy. Memoriał Žanisa Lipkego – taką nazwę nosi jedna z trzech

stołecznych instytucji zajmujących się historią Żydów (w mieście działa także Muzeum Getta Ryskiego i Holokaustu, jak również Muzeum „Żydzi na Łotwie” – pod tym względem Ryga ma o wiele więcej do zaoferowania niż Wilno) – przypomina na swojej stronie facebookowej, że w czasie II wojny światowej zginęło w tym miejscu 35 tys. Żydów z Łotwy, a także zwiezionych Żydów z Niemiec, Austrii i Czechosłowacji.

Opodal lasku Bīķernieki mieszkał Jānis Briedis, pomocnik sprawiedliwego wśród narodów świata Łotysza Žanisa Lipkego (jak informuje statystyka na stronie Yad Vashem, mieszkańcom Łotwy przyznano ogółem 138 takich wyróżnień). Był on świadkiem rozstrzeliwań rozpoczętych latem 1941 r. Briedis powiedział później w rozmowie z Dawidem Zilbermanem (tłumaczem książki Fridy Mihelsone „Przeżyłam Rumbulę”), że był świadomy kary śmierci, która za ratowanie Żydów groziła mieszkańcom państw bałtyckich, jednak nie mógł w takiej sytuacji pozostać bezczynny.

Oblicza się, że Lipke, który w 2012 r. został patronem Memoriału położonego na Zadźwiniu, uratował łącznie kilkudziesięciu Żydów. W 2018 r. poświęcono mu film pod tytułem „Ojciec Noc”, pokazywany także na polskich festiwalach.

Inne daty

Gdy o pamięci mowa, data 27 stycznia nie jest jednak na Łotwie szczególnie popu-

larna – nie tylko dlatego, że połączenie słów „Armia Czerwona” i „wyzwolenie” ciężko przechodzi Łotyszom przez gardło. Po prostu lokalna społeczność żydowska ma swoje daty upamiętnień, dla niej ważniejsze.

Jedną z nich jest 4 lipca – rocznica spalenia w roku 1941 synagogi chóralnej na Moskiewskim Przedmieściu (wraz z żydowskimi uciekinierami z Litwy i Łotwy) po wejściu do Rygi wojsk niemieckich. Co roku tego dnia odbywa się Marsz Żywych, wzorowany na polskiej imprezie o tej samej nazwie. Obowiązkowo biorą w nim udział politycy, działacze społeczni, znane osobistości.

Inne daty to z kolei 30 listopada i 8 grudnia – wspomnienie masakry w Rumbuli, która pochłonęła 25 tys. ludzkich istnień i była największą po kijowskim Babim Jarze jednorazową zbrodnią popełnioną na Żydach przez niemieckie





ANSIS STARKS / NBC / GETTY IMAGES

Pomnik ofiar Holokaustu w miejscu masakry w Rumbuli koło Rygi, Łotwa, kwiecień 2022 r.

Einsatzgruppen – specjalne grupy operacyjne, które w 1941 r. posuwały się za Wehrmachtem, mordując ludność żydowską na terenie wschodniej Rzeczypospolitej, Ukrainy, Białorusi i krajów bałtyckich (łącznie na tym terenie Einsatzgruppen rozstrzelały prawie milion Żydów).

Z tej okazji od kilku lat odbywa się też palenie świec pod położonym w centrum Rygi Pomnikiem Wolności z 1935 r. – miejscem spotkań rzyżan, symbolem niepodległości, którego nie odważyły się tknąć nawet władze sowieckie.

Inspiracja Babim Jarem

– Zainspirowali mnie Ukraińcy, którzy w 2016 r. w wielu miejscach upamiętniali właśnie ofiary Babiego Jaru. Wcześniej wydawało mi się, że Łotysze o tym zapominają. Były uroczystości organizowane przez społeczność żydowską w Rumbuli,

ale po zmroku w Rydze nie działo się nic – mówi „Tygodnikowi” Lolita Tomsone, wspomniana już dyrektorka Memoriału Żanisa Lipkego i absolwentka Uniwersytetu Hebrajskiego.

W 2016 r., z okazji 75-lecia niemieckiej „akcji”, ona i jej przyjaciele wystosowali list do społeczeństwa łotewskiego, w którym pytali: „Jak można zamordować tyle osób, ile dziś mieszka w miasteczku Valmiera, a potem o tym zapomnieć? To nie jest tylko tragedia łotewskich Żydów, to także tragedia Łotyszy”.

To nawiązanie do faktu, że po 1945 r. na sowieckiej Łotwie wspomniano o zagładzie „ludzi sowieckich”, nie wymieniając z nazwy Żydów. A po roku 1990 walka o upamiętnienie Szoah także nie była łatwa. Naród, który ledwo co odzyskał niepodległość, liżał rany po pięciu dekadach okupacji sowieckiej. Koncentrował się głównie na przeżyciach etnicz-

nych Łotyszy, nawet jeśli nie wyrażano tego wprost.

Krok po kroku

– Jedno jest pewne: historia Holokaustu jest obecnie jednym z najbardziej widocznych elementów polityki pamięci na Łotwie – rozwiewa moje wątpliwości prof. Swietłana Bogojawleńskaja, łotewska historyczka z Uniwersytetu w Mo-guncji.

Jak to się stało w kraju, którego głównym doświadczeniem wieku XX nie jest niemiecki nazizm, a sowiecki totalitaryzm z jego represjami od 1940 r.? W kraju, którego część mieszkańców zaczęła zabijać Żydów tuż po wejściu wojska niemieckiego w 1941 r.? W kraju, gdzie dla wielu autorytetem pozostaje wciąż Herberts Cukurs, przedwojenny lotnik, bohater młodej republiki, później biorący udział w mordowaniu Żydów? ➔

→ Swietłana Bogojawieńskaja tłumaczy to bardzo spokojnie: – Po pierwsze, stało się to pod presją społeczności żydowskiej oraz dzięki działalności Muzeum „Żydzi na Łotwie” i jego założyciela, historyka Marģersa Vestermanisa. Ocalałego z Holokaustu, otwartego na dialog i nigdy nieskupiającego się wyłącznie na winie lokalnych kolaborantów, ale przede wszystkim podkreślającego bohaterstwo ratujących Żydów.

Bogojawieńskaja uważa, że istotna była także rola specjalnej komisji historyków do zbadania zbrodni okupacji sowieckiej i niemieckiej, którą powołał w 1998 r. ówczesny prezydent Guntis Ulmanis (na Łotwie, podobnie jak w pozostałych krajach bałtyckich, stawia się znak równości między dwiema okupacjami i dwoma totalitaryzmami).

– Krótko mówiąc, w momencie, gdy Łotwa zaczęła zajmować się „białymi plamami” i wcześniej zakazanymi tematami w swojej historii XX wieku, nie można było ominąć historii Żydów i Holokaustu – podkreśla Bogojawieńskaja.

Doświadczenie okupacji połączy?

Edgars Engīzers pochodzi z Krimuldy. Młody łotewski historyk pracował także w tutejszym Sejmie jako asystent posła. Zajmuje się m.in. kręceniem filmów poświęconych historii XX stulecia. 27 stycznia na swoim zdjęciu profilowym na Facebooku Engīzers umieszcza – podobnie jak wielu liberalnych Łotyszów – nakładkę „We remember”.

Edgarsa po prawdzie bardziej zajmuje to, co wydarzyło się pomiędzy Łotyszami a Rosjanami. Pytam go o pamięć historyczną na Łotwie, czy możliwe jest zbliznienie się ran, czy możliwa jest swego rodzaju „konwergencja pamięci”: Łotysze będą więcej pamiętać o zbrodniach niemieckich, Rosjanie zaś o sowieckich.

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Gdy w 2019 r. spotkałem się w Zamku Ryskim z doradcą prezydenta Egilsa Levitsa ds. pamięci historycznej Jurģisem Klotiņšem (obecnie jest posłem na Sejm z listy narodowców, którzy rokrocznie organizują kontrowersyjny marsz Legionu Łotewskiego 16 marca, jeszcze o nim będzie mowa), powiedział mi: „W historii XX wieku na Łotwie mamy takie momenty, które mogą połączyć Łotyszów i osoby rosyjskojęzyczne. Cierpienie w czasach sowieckich dotknęło wszystkich: Łotyszów, Rosjan, Polaków, Białorusinów”.

Młodzi Łotysze próbują
godzić pamięć o zbrodniach
dwóch totalitaryzmów.

I upamiętniają

**Holokaust, który pochłoniął
70 tys. łotewskich Żydów.**

To chyba jednak myślenie życzeniowe prezydenckiego urzędnika, który zresztą kilka zdań później przyznał, że „konwergencja dwóch systemów pamięci będzie wymagała czasu, nie od razu będzie tak, że Rosjanie przestaną świętować 9 maja”. W zeszłym roku wielu polityków prawie w to uwierzyło po tym, jak rozprawiono się z sowieckim Pomnikiem Zwycięstwa w Rydze oraz podobnymi upamiętnieniami w innych miejscach.

Tymczasem stosunek do sowieckiej przeszłości wśród osób rosyjskojęzycznych jest o wiele bardziej problematyczny niż do wojny na Ukrainie. O ile wojna ta jest mniej lub bardziej potępiana, to większość Rosjan wciąż uważa rok 1945 za „wyzwolenie”, a nie za „początek nowej okupacji”, jak chcieliby Łotysze. Bronią także pomników sowieckich, choć częściej w zaciszu domowym niż podczas zamieszek (powtórki z talibskiej „brązowej nocy” z 2007 r. – gdy w stolicy Estonii wybuchły protesty rosyjskojęzycznych – na Łotwie nie było).

Rozbite społeczeństwo

Edgars Engīzers sprawę ujmuje w ten sposób: – Powiedziałbym, że łotewskie „radzenie sobie z przeszłością” wciąż trwa, ponieważ sowieckie dziedzictwo również w dzisiejszych czasach bardzo porusza społeczeństwo. Nie uważam tego za zakończony proces.

– Istnieje rozłam ideologiczny, który jest spowodowany historycznie, ale liczba kremlofilów na Łotwie spada tak znacząco, że chyba nie można ich nawet nazywać liczącymi się marginaliami – dodaje Engīzers w rozmowie z „Tygodnikiem”. Brzmi to optymistycznie i nie do końca przekonująco.

Skoromówimy o Rosjanach, warto zapamiętać ich. Gdy rozmawiałem niedawno z Nikołajem Kabanowem, byłym dziennikarzem i posłem Socjaldemokratycz-

nej Partii Zgoda, na którą głosowali niegdyś Rosjanie, o ryskich barykadach z roku 1991 (w styczniu Łotysze obchodzili kolejną rocznicę tego wydarzenia, które utorowało drogę do niepodległości od Związku Sowieckiego), powiedział wprost: – To nie jest temat, który interesuje łotewskich Rosjan. Większość „rosyjskojęzycznych” jest wobec niego obojętna lub ma jawnie negatywny stosunek.

Dwa rodzaje krytyki

Tutaj pojawia się pytanie, co państwo łotewskie dało po roku 1990 swoim obywatelom rosyjskiego pochodzenia i czy mogło dać cokolwiek, aby sytuacja była inna.

Igor Watolin, były nauczyciel historii, jest działaczem ruchu Eurorussians, który dąży do pojednania Rosjan i Łotyszów. Watolin nie chce się teraz nad tym zastanawiać. – Mamy podzielone społeczeństwo, a jednym z najistotniejszych pęknięć jest odmienny stosunek do autorytarnej i totalitarnej przeszłości: przedwojennego dyktatora Kārlisa Ulmanisa, III Rzeszy, Związku Sowieckiego. O ile reżim Hitlera wszyscy potępiają, to dyktatura Ulmanisa i okres sowiecki wciąż są „skomplikowanymi kartami historii” – mówi Watolin.

Przy czym istnieje podział nie tylko na Łotyszów i Rosjan, ale także na tych Łotyszów, którzy głosują na partie europejskie, liberalne, oraz na tych, którzy marzą o powrocie do przedwojennej autorytarnej przeszłości.

Watolin: – Mamy na Łotwie co najmniej dwa rodzaje krytyki sowieckości: liberalno-demokratyczny i narodowo-romantyczny. Łotewscy etniczni narodowi romantycy [tak, dość eufemistycznie, Watolin nazywa ludzi o poglądach w gruncie rzeczy nacjonalistycznych] są obecni w prawie każdym rządzie od czasów odrodzenia państwa i ich kruczata przeciwko dziedzictwu sowieckiemu obejmuje również język i kulturę rosyjską na Łotwie.

Wydaje się, że na razie z tej sytuacji nie ma wyjścia, dopóki trwa wojna na Ukrainie, a część Łotyszów życzyłaby sobie nawet zerwania stosunków dyplomatycznych z Federacją Rosyjską. Do czego zresztą jest blisko – w minionych dniach Łotwa poprosiła rosyjskiego ambasadora, by opuścił Rygę; podobnie uczyniła Estonia. Litwa zrobiła to już w kwietniu 2022 r., po tym, jak na jaw

wyszły rosyjskie zbrodnie w podkijowskiej Buczy.

Trudny miesiąc marzec

Istnieją obawy, że nadchodzący marzec na Łotwie będzie należeć do „narodowych romantyków”, jak ich poetycko określa Watolin. 16 marca odbędzie się – organizowany co roku przez Dźwińskie Jastrzębie – marsz Legionu Łotewskiego, kolaboracyjnej formacji założonej w 1943 r. przez hitlerowców, w której służyło nawet do 100 tys. obywateli okupowanej Łotwy; Legion walczył na froncie wschodnim.

– Zobaczysz, pójdą tam nawet nasi ministrowie – przekonywał mnie latem zeszłego roku mój rosyjskojęzyczny znajomy, który woli pozostać anonimowy. Wydaje się to jednak przesadą. Nacjonaliści są w rządzie w mniejszości, zresztą w 2014 r. ich minister został wyrzucony z centroprawicowego gabinetu Laimdoty Straujumy właśnie z powodu udziału w marcowym marszu.

Część łotewskich elit zastanawia się od lat, jak przyćmić to marcowe wydarzenie, nieprzynoszące Łotwie chwały. Mówi się, że obchody powinny odbywać się nie w centrum Rygi, a na cmentarzu legionistów w Lestene. Albo podaje się inną datę, 17 marca, którą warto upamiętnić. To wtedy, w 1943 r., powstała Centralna Rada Łotewska, antysowiecka, ale także antynazistowska, opowiadająca się za powrotem demokratycznej Łotwy. Na jej czele stał Konstantīns Čakste, łotewski prawnik i wykładowca, syn pierwszego prezydenta Łotwy.

Aresztowany w kwietniu 1944 r. przez Gestapo i osadzony w obozie Stutthof koło Gdańska, w lutym 1945 r. Čakste zginął podczas „marszu śmierci” w okolicy Lęborka, gdy Niemcy pędzili na zachód więźniów tego obozu. W marcu tego roku na Pomorze przyjedzie prawdopodobnie prezydent Egils Levits, by oddać część tej postaci.

Rosyjska propaganda z okazji marszu legionu zapewne jak zawsze zagrmi, ale mało kogo na Łotwie to teraz interesuje.

Łotewska osobliwość

Gdy w 2017 r. odwiedziłem Muzeum Ryskiego Getta i Holokaustu, przywitał mnie rabin Menahems Barkahans, przewodniczący jego zarządu. Nastawiony antykomunistycznie, dzielił się



TOMAS KALNINS / EPA / PAP

Powyżej: marsz „Pozbądźmy się sowieckiego dziedzictwa”, Ryga, maj 2022 r.
Poniżej: składanie kwiatów pod nieistniejącym już pomnikiem Armii Czerwonej, Ryga, sierpień 2022 r.



VICTOR LISITSYN / RUSSIAN LOOK / FORUM

pozytywnymi doświadczeniami z łotewskimi narodowcami. Pytałem go o marcowy marsz legionistów SS. – Znam narodowców, którzy chodzą na ten marsz, a później idą na Marsz Żywych upamiętniający Holokaust na Łotwie. To się nie wyklucza – próbował mnie przekonać. Na ścianie wisiało zdjęcie z ówczesną przewodniczącą Sejmu Łotwy, Inārą Mūrniece z Sojuszu Narodowego.

Pomyślałem sobie, że to łotewska osobliwość. Później przyszedł temat restytucji mienia żydowskiego na Łotwie. Narodowcy jako jedyna partia w Sejmie się

sprzeciwili. Ustawę przegłosowano, choć w społeczeństwie budziła kontrowersje.

Narodowcy są wciąż w koalicji, na co oburza się Igor Watolin. I chyba tak na razie zostanie, skoro kraj nie dorobił się jeszcze silnej partii lewicowej, która nawiązałaby do tradycji Łotewskiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej, odpowiedniczki polskiej PPS i ugrupowania narodowych wieszczów: Rainisa i Aspaziji.

A przy okazji: tradycja lewicy antykomunistycznej jest na Łotwie również zupełnie zapomniana. Tylko że to już osobny temat.

© TOMASZ OTOCKI

Tryzub w cieniu turula

TADEUSZ IWAŃSKI Z UŻHORODU (ZACHODNIA UKRAINA)

Rosyjska inwazja skonsolidowała Ukraińców i przyspieszyła tworzenie się narodu politycznego. Widać to także na wielokulturowym Zakarpaciu – na dobre i na złe.

SYRENY ALARMOWE ZWIASTUJĄCE możliwy atak rakietowy zawyły o godzinie 13.42, jednak nikt nie zwrócił na to uwagi – nie przerwał spaceru ani nie zszedł do piwnicy. Także przed kościołkiem na wzgórzu zamkowym syrena nie przepłoszyła zebranych tu grup: pary młodej z kilkunastoma weselnikami, młodego małżeństwa z niemowlęciem, starszych mężczyzn odzianych na czarno i naszej piątki z Polski i Ukrainy (pisarz, dziennikarz, politolog, kulturolog i działaczka NGO). Wszyscy czekali na grekokatolickiego księdza, by otworzył świątynię i opowiedział o XI-wiecznej rotundzie – zapewne pozostałości po zamkowej kaplicy – oraz pokazał późniejsze freski w stylu Giotto.

Zdawałoby się, że ponad tysiąc kilometrów od linii frontu życie toczy się bez zmian. Jednak to iluzja. Choć ludzie przywykli do syren, także tutaj wojna wywróciła do góry nogami i politykę, i relacje międzyludzkie.

Zakarpacie jako zaplecze

Obwód zakarpacki, wciśnięty między Rumunię, Węgry, Słowację i Polskę, a od reszty Ukrainy oddzielony pasem Karpat, jest jedynym – prócz czarnowieckiego, czyli ukraińskiej części Bukowiny – fragmentem państwa dotąd niemal niezagrożonym rosyjskimi atakami. Od początku inwazji jedna jedyna rakiet spadła na granicy z obwodem iwanofrankiowskim, nie powodując zresztą wielkich szkód. Kluczowa infrastruktura transportowa – węzeł kolejowy Czop i lotnisko – leżą zbyt blisko granicy z państwami NATO, by Rosjanie ryzykowali uderzenie.

W Mukaczewie i Użhorodzie, głównych miastach regionu, za dnia życie toczy się jakby bez zmian, choć widać policjantów z długą bronią, inwalidów w mundurach w okolicy szpitala i korki

aut z rejestracjami ze wszystkich regionów kraju. Za to po zachodzie słońca zapadają prawie egipskie ciemności: aby oszczędzać prąd, tak jak w reszcie kraju oświetlenie uliczne jest wyłączone. Mrok rozświetlają świeczki i ledy w witrynach sklepów, barach i restauracjach.

Region pełni funkcję punktu tranzytowego. Gęstą siecią połączeń kolejowych i drogowych na Słowację i Węgry wysyłane są ukraińskie towary, pozwalające podtrzymać pracę biznesu i napędzić państwową kasę wpływami z podatków. Po zablokowaniu przez Rosję portów czarnomorskich, a potem udostępnieniu ich jedynie dla produktów żywnościowych, Zakarpacie – obok graniczącej z Polską Lwowszczyzny – stało się najważniejszą bramą Ukrainy na świat. W drugą stronę idą transporty pomocy humanitarnej i militarnej.

Trzy fale

Zakarpacie stało się też miejscem relokacji biznesu oraz hubem dla uchodźców wewnętrznych. Tylko tych zarejestrowanych jest ok. 400 tysięcy, co oznacza zwiększenie liczby ludności o jedną trzecią. Natomiast tranzytem przeszło ich wtedy znacznie więcej.

– Najpierw przyjechali bogacze, by wkrótce ruszyć dalej, do Europy. Potem ludzie zamożni, którzy zostali, wynajmując najlepsze apartamenty i mieszka w pensjonatach. Ci wymietli półki sklepowe z co lepszych towarów. Najstraszniejsza była trzecia fala: biedni uchodźcy, niektórzy tylko w pidżamach. Przez pierwsze tygodnie pracowaliśmy 24/7, odbierając na dworcu pociągi pełne ludzi, w tym matki z dziećmi. Często trzeba było zapewnić wszystko: jedzenie, odzież, środki higieny – wspomina Natalia Zotowa z urzędu miejskiego w Mukaczewie, który koordynował pracę wolontariuszy.



Zotowa i jej urząd pomagali też – dzięki wsparciu miast partnerskich z Europy, a także agencji turystycznych mających swoje kontakty – w wyprawianiu tysięcy za granicę. Chęci pomocy towarzyszyła jednak konfuzja: oni wyjeżdżają, a nasi zakarpaccy chłopcy jadą w drugą stronę, na front. Niektórzy mieszkańcy postanowili także łapać okazję: skorzystali z gościnności za granicą, by wyjechać do pracy, a swoje mieszkania wynajęli uchodźcom, za niemałe pieniądze.

Dwie strony medalu

Rosyjska inwazja skonsolidowała Ukraińców i przyspieszyła tworzenie się narodu politycznego. Buduje go antyrosyjskość i przynależność do zachodniego kręgu kulturowego i politycznego. Wołodymyr Zełenski – podobnie, jak wcześniej (zbyt wcześniej?) jego poprzednik Petro Poroszenko – stawia na ukraińskość, patriotyzm, armię, język i religię.

Mniejszości narodowe, w tym ok. 100 tys. zakarpackich Węgrów, zostały po-



Mieszkańcy przygotowują świece okopowe dla żołnierzy na froncie.
Bozdoskyi Park, Užhorod, listopad 2022 r.

stawione przed dylematem: czy podążać za większością, czy jeszcze bardziej zamknąć się w sobie. – Ta wojna to dla nich punkt zwrotny, muszą się określić. Większa część, mieszkająca we wsiach, pozostanie przy swoim węgierskocentrycznym punkcie widzenia, nasza chata z kraja, i w efekcie wyjedzie za granicę lub zniknie z przyczyn metrykalnych. Inna, mniejsza, która poparła Ukrainę, utożsamia się z państwem i stopniowo będzie się ukrainizować. To kwestia jednego pokolenia – diagnozuje Andrij Lubka, pisarz, a dziś także wolontariusz, który, tak jak Serhij Żadan na wschodzie, na zachodzie kraju pomaga armii, zbierając pieniądze i kupując dla niej auta (ponad sto od września 2022 r.).

Wyjazdy lokalnych Węgrów, czy też szerzej: mężczyzn posiadających węgierskie paszporty (a to na Zakarpaciu zjawisko powszechne), już następują. – Czterech na pięciu moich kolegów wyjechało – mówi kierowca Taras, który wiezie mnie z Budapesztu do Užhorodu.

Sam ma od kilku lat węgierski paszport. Nie chce ryzykować przekroczenia granicy węgiersko-ukraińskiej, w okolicy Zahonyi zmienia go koleżanka, która nie jest objęta zakazem wyjazdu przewidzianym stanem wojennym.

Są też inne przykłady. W ukraińskich formacjach zbrojnych, w tym na najgorętszych odcinkach, służy kilkuset zakarpaccy Węgrów. Latem furorę w mediach społecznościowych robił „profesor z okopów” Fedir Sandor, wykładowca uniwersytetu w Užhorodzie, który wstąpił do armii w lutym, pierwszego dnia inwazji, a z linii frontu prowadzi zajęcia online.

I choć panuje opinia, że miejscowi Węgrzy mniej chętnie pomagają armii i uchodźcom, warto zwrócić uwagę na wyjątki. Jeden z najbardziej efektywnych hubów dla młodzieży uchodźczej, stworzony w Batowie przy węgierskiej granicy, założyła Adrienne Dawid – drobna dziewczyna o węgierskich korzeniach, której płynne mówienie po-

ukraińsku przychodzi z widocznym trudem.

W osobnych światach

Od początku niepodległej Ukrainy, a wcześniej w czasach sowieckich, świat węgierski kiepsko się przenikał z ukraińskim – i tak jest nadal. Węgrzy oglądają węgierską telewizję lub czytają węgierskojęzyczne media zakarpaccie, finansowane z Budapesztu, a tworzone tu przez „mały Fidesz”, czyli Towarzystwo Kultury Węgierskiej Zakarpacia (organizację społeczną i partię polityczną w jednym, mającą monopol na reprezentowanie węgierskiej społeczności i będącą przekąźnikiem linii Budapesztu). Od 24 lutego w tych mediach więcej jest „apeli o pokój” niż o walkę z najeźdźcą, co zasadniczo różni je od ukraińskiej większości.

Zarazem zakarpaccy Ukraińcy są do węgierskich sąsiadów przyzwyczajeni – na Zakarpaciu, gdzie żyją też Słowacy, Rumuni i Romowie, poziom tolerancji i odporności na prowokacje jest wysoki. Stanowisko premiera Viktora Orbána wobec wojny – powszechnie na Ukrainie krytykowane – nie przełożyło się na gorsze traktowanie Węgrów. Pojedyncze przypadki agresji (słownej, nie fizycznej) zdarzają się za to ze strony uciekinierów z innych części Ukrainy.

Historia pewnego rozczarowania

O tym, jak wysoki mur oddziela elity zakarpaccy Ukraińców i Węgrów, świadczy historia opisana przez Lubkę. Będąc na festiwalu literackim w Polsce wiosną 2021 r., został zapytany, czy podróżował do Poznania razem z innym pisarzem z Zakarpacia – Zoltánem Mihályem Nagym.

Lubka nie wiedział, co odpowiedzieć – nie tylko z nim nie podróżował, wręcz nic nie wiedział o tym węgierskim literacie z Mużijewa (Nagymuzsaly), laureacie najważniejszych nagród po drugiej stronie granicy. A Nagy zaproszony został z powodu polskiego przekładu (nagrodzonego Angelusem) swojej najbardziej znanej powieści „Szatański pomiot”, opowiadającej o tragedii Zakarpacia w czasach sowieckiej okupacji pod koniec II wojny światowej.

Oczarowany odkryciem, Lubka doprowadził do podpisania umowy na ukraiński przekład książki. Prawa kupił – współtworzony przez niego i innych

→ entuzjastów wielokulturowego Zakarpacia – Instytut Strategii Środkowoeuropejskiej z Użhorodu, tłumaczyć miał Bandy Sholtes (węgiersko-, ukraińsko- i rosyjskojęzyczny lokalny poeta i prozaik), a książka miała mieć premierę na największych targach w Kijowskim Arsenale wiosną 2022 r.

Plany pokrzyżowała inwazja. Instytut zerwał umowę po tym, jak w licznych komentarzach w sieciach społecznościowych Nagy – w niewybrednych słowach – oskarżał Ukraińców o nacjonalizm, obwiniał o sprowokowanie agresji Putina i usprawiedliwiał ją łamaniem przez Kijów praw mniejszości narodowych Węgrów i Rosjan.

Lokalna polityka, światowe skutki

Jedną z reakcji na rosyjską inwazję stała się na Ukrainie gruntowna deimperializacja przestrzeni publicznej. Wyraża się przede wszystkim w usuwaniu rosyjskich nazw ulic, placów i pomników oraz ich ukraiinizacji/uzachodnieniu.

Zakarpacie nie jest wyjątkiem. Choć region ten nie był wcześniej – po pierwszej agresji w 2014 r. – w tym względzie tak gorliwy jak Galicja, po 24 lutego sprawy poszły szybko. Użhorod stał się jednym z pierwszych miast, gdzie pojawiła się społeczna inicjatywa derusyfikacji nazw miejskich.

Jednak zabiegi ukraiinizacyjne w tym regionie, który prawie tysiąc lat był częścią Węgier (pod różnymi formami państwowości), dotknęły nie tylko dziedzictwo rosyjskie/sowieckie. W październiku 2022 r. decyzją rady miejskiej Mukaczewa zdemontowano rzeźbę turula – mitycznego ptaka-przewodnika, który miał prowadzić dawnych Węgrów do Europy, górującego nad miastem ze wzgórza zamkowego. Na jego miejscu zainstalowano tryzub.

Wywołało to oburzenie Budapesztu. „To ukraińska ziemia, ukraiński zamek i w związku z tym mają na nim widnieć państwowe symbole Ukrainy. Wszystkie inne symbole, w tym turul, znajdują swoje miejsce w muzeum, jako ekspozycja” – tłumaczył decyzję mer Andrij Bałoha. Wtórował mu Wiktor Bałoha (ojciec Andrija), wieloletni deputowany Rady Najwyższej: „Turul to symbol imperialnych ambicji i pretensji Węgrów do części Zakarpacia. (...) Węgierskie władze są głównym adwokatem Putina w Europie, wy-

Węgry nie tylko
nie pomagają Ukrainie
– jak inne kraje
Europy Środkowej
– ale wręcz przeszkadzają.

**Stosunki ukraińsko-
węgierskie są dziś tak złe
jak nigdy wcześniej.**

bierając stronę zła oblały egzamin na dobrosąsiedztwo i przyjaźń”.

Legendowanie patriotyzmu

Prócz pobudek patriotycznych, mających stać u źródeł zamiany turula na tryzub – i szeroko rozpowszechnianych przez obu Bałohów w mediach społecznościowych i tradycyjnych – istnieje inna wersja, o której mówi się tylko lokalnie.

Bałohowie to zakarpacki klan, niegdyś bardzo wpływowy – majątek zbił na przemyśle, a zarobione środki inwestował w legalny biznes. Wiktor, głowa rodziny, był m.in. ministrem ds. sytuacji nadzwyczajnych i szefem administracji prezydenta Wiktora Juszczenki (2006-2009). Bracia Iwan i Pawło, a także spokrewniony Wasyl Petiowka, byli deputowanymi do parlamentu przez kilka kadencji. Siedzibą rodu jest Mukaczewo, gdzie rządzi Andrij, i gdzie „rodzinna” partia Jedyne Centrum przez lata miała samodzielną większość w radzie miejskiej.

Ale po wyborach prezydenckich i parlamentarnych w 2019 r. oraz samorządowych rok później Bałohowie politycznie osłabli. Ustawili się w kontrze do prezydenta Zełenskiego i jego partii Sługa Narodu i – aby utrzymać tu władzę – nawiązali współpracę z innymi ugrupowaniami, w tym prorosyjskimi. Po 24 lutego 2022 r. związki te okazały się toksyczne i stały się ciężarem. Współpraca została zerwana, a metodą na wybielenie się i „zalegendowanie” patriotyzmu stały się, prócz hurrapatriotycznej i antyrosyjskiej retoryki, także gesty antywęgierskie – tym bardziej zrozumiałe, im bardziej prorosyjski stawał się stosunek Orbána do wojny.

Likwidacja turula jest jednym z nich. A także zemstą na lokalnych Węgrach, którzy nie chcieli zastąpić prorosyjskiej partii w układance w mukaczewskiej radzie miejskiej. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że to Wiktor Bałoha – jako wszechwładny w 2008 r. szef prezydenckiej administracji i „król Zakarpacia” – lobbował za zainstalowaniem mitycznego ptaka na zamku, gdyż wówczas taki gest odpowiadał momentowi dziejowemu, czyli zbliżeniu Kijowa i Budapesztu.

Po derusyfikacji nie wykluczamy demadziaryzacji Zakarpacia – mówił mi w Mukaczewie spin doktor Bałohów. Wygląda na to, że ród Bałohów gotów jest wywołać międzynarodowe skandale, byle tylko pokazać Kijowowi: mamy potencjał szkodenia i wciąż trzeba się z nami liczyć i dogadywać.

Degradacja

Według badań prowadzonych przez Instytut Strategii Środkowoeuropejskiej jeszcze przed inwazją ponad 40 proc. Ukraińców uważało, że Węgry szykują się do aneksji Zakarpacia. Dmytro Tuzański, politolog i prezes Instytutu, uważa, że od inwazji relacje dwustronne degradują się jeszcze bardziej niż po uchwaleniu przez Ukrainę ustawy oświatowej w 2017 r. (ograniczyła edukację mniejszości w ich języku), która dała start otwarciu konfliktowi między Kijowem a Budapesztem.

Powodem jest Rosja i polityka Orbána wobec Rosji. Ona determinuje zresztą nie tylko relacje ukraińsko-węgierskie, ale pochowała też sojusz Budapesztu z Warszawą, wywołała izolację Węgier w NATO i Unii oraz napędza węgierski antyamerykanizm. Aby wyjść z tego zakłętą kręgu, nie wystarczą wysiłki Kijowa, Budapesztu czy nawet obu stolic razem.

Państwo węgierskie nie tylko nie pomaga Ukrainie – finansowo czy militarnie, jak wszystkie inne państwa Europy Środkowej – ale wręcz przeszkadza, najpierw blokując w Unii pakiet 18 mld euro pomocy makrofinansowej, a ostatnio 500 mln na zakup przez Unię uzbrojenia. Stosunki ukraińsko-węgierskie są tak złe jak nigdy wcześniej.

Regionalne gierki polityczne i licytowanie się na kiepsko pojmowany patriotyzm tylko dolewają oliwy do ognia i mogą napsuć jeszcze wiele krwi.

© TADEUSZ IWAŃSKI



JOE GIDDENS / PA / EAST NEWS

Przebiśniegi w Walsingham Abbey, hrabstwo Norfolk, Anglia, luty 2020 r.

Gorączka przebiśniegów

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Pojawiają się zwykle pod koniec stycznia jako pierwsze kwiaty w nowym roku. Dla Brytyjczyków są jednak więcej niż tylko zwiastunem wiosny. To pasja, emocje, a czasem też duże pieniądze.

BRUCKHILLS CROFT OTWIERA SIĘ DLA odwiedzających w ostatnim tygodniu stycznia. Wtedy można przyjechać do tego sympatycznego obejścia – słowo *croft* oznacza w Szkocji małe gospodarstwo – i zobaczyć kolekcję przebiśniegów. Nie byle jaką, bo ze statusem „narodowej kolekcji” (National Plant Collection). Status przyznaje organizacja Plant Heritage, zajmująca się ochroną i dokumentowaniem różnorodności roślin ogrodowych w Wielkiej Brytanii.

Helen Rushton, która zajmuje się przebiśnięgami już 30 lat, zdobyła to wyróżnienie przed dwoma laty.

– W tym roku przebiśnięgi są trochę spóźnione. Było zimno – uprzedza mnie, kiedy się do niej wybieram. Rzeczywiście,

ledwie tydzień wcześniej Aberdeenshire, region w północno-wschodniej Szkocji, pokrył się śniegiem oraz, co gorsza, lodem. Choć teraz łagodne wzgórza i szerokie pola przybrały znów odcienie brązu i zieleni.

Droga do croftu jest wąska i obfituje w ostre zakręty. „Druga w lewo, tam, gdzie nie ma płotu... Przy wysokich iglastych drzewach w prawo... Potem prosto wzdłuż ogrodzenia” – wyczytuję się we wskazówki, które przysłała mi Helen.

Na samym końcu drogi jest stary kamienny dom z XVII stulecia i duży ogród. Do tego łąka i staw. Za płotem kłóca się o coś gęsi. Przybiega ciekawska owca. Przede wszystkim jednak są one: 536 odmian przebiśnięgów.

Ich droga na Wyspy

Po polsku: śnieżyczka przebiśnięg. Po łacinie: *Galanthus nivalis*. Nazwa pochodzi jednak z greki i oznacza „mleczny kwiat” – *gála* to mleko, a *ánthos* to kwiat. Z kolei *nivalis* to po łacinie „śnieżny”. A zatem najpopularniejszy gatunek przebiśnięgów opisany jest bardzo trafnie – i poetycko – jako „mleczny kwiat śnieżny”. Trafna jest też polska nazwa, bo rzeczywiście kwiaty przebijają czasem warstwę śniegu.

Przebiśnięgi rosną dziko w Turcji, Grecji, a także w Europie Środkowej. Chyba jednak nigdzie indziej nie obudziły takiej pasji i nie powstało tyle ich odmian, co na Wyspach Brytyjskich – choć przecież nie są to tutaj rośliny rodzime.

Pierwsze zapiski na ich temat odnotowano w 1597 r., ale trafić do Wielkiej Brytanii miały wcześniej, podobno już za sprawą normandzkich mnichów. Lub nawet jeszcze wcześniej – według niektórych mieli przywieźć je ze sobą już Rzymianie.

Przebiśnięgi mają uosabiać niewinność i czystość, stąd wykorzystywano je podczas uroczystości Matki Boskiej Gromnicznej 2 lutego (w Kościele angikańskim jest to Święto Oczyszczenia Marii Panny). Były to więc kwiaty maryjne ➔

→ i stąd ludowa nazwa „Mary's Tapers”, czyli „Świczki Marii Panny”.

Czasem jednak kojarzyły się też zło-wieszczo. W wieku XIX uważano, że nie należy ich przynosić do domu, bo mogą wnieść ze sobą chorobę, a nawet śmierć – co można próbować wyjaśnić tym, że ich cebulki rzeczywiście są trujące, a ich sok może wywoływać wysypkę.

Przywozili je też ze sobą brytyjscy żołnierze wracający z pól bitewnych wojny krymskiej w połowie wieku XIX – i stąd określenie „trupie kwiat”. Masowo sadzono je na przykościelnych cmentarzach i w klasztornych ogrodach – nadal można zobaczyć, jak kwitną tam na biało.

Galantofile i poeci

Prawdziwa galantomania – czy też może galantofilia, bo galantofil to dumne określenie miłośnika i znawcy tych roślin – rozpoczęła się na Wyspach Brytyjskich pod koniec XIX stulecia, w epoce wiktoriańskiej.

„Łowcy roślin” szukali rzadkich odmian (jedna z najważniejszych, czyli *Galanthus elwesii*, pochodzi z Turcji), ogrodnicy i botanicy eksperymentowali, zamężni obywatele chwalili się ciekawymi nabytkami w swoich ogrodach, a poeci – jak Alfred Tennyson, najsłynniejszy wiktoriański wieszcz romantyczny, zmarły w 1892 r. – opiewali piękno tych niepozornych kwiatów.

Tę niesłabnącą do dziś brytyjską pasję można porównać do szeroko opisywanej „tulipanowej gorączki” w Holandii w latach 30. XVII w., gdy egzotyczne wtedy cebulki tulipanów, sprowadzonych z Turcji, stały się towarem luksusowym, a zwłaszcza sposobem na finansowe inwestycje i szybkie pomnożenie majątku.

W XVII-wiecznych Niderlandach rekordową cenę osiągnął tulipan *Semper Augustus*. Zapłacono za niego ponad pięć tysięcy guldenów – za tyle można byłoby kupić wtedy dom w Amsterdamie. Obecnie, w wieku XXI, w Wielkiej Brytanii kolekcjonerzy także są skłonni wiele zapłacić za cebulki nowych odmian przebiśniegów – jednak to, na szczęście, zupełnie inne proporcje. Ostatni rekord wyniósł ponad 1,8 tys. funtów.

Złote Runo

Deszcz zaczyna padać coraz mocniej, kiedy witam się z Helen przy wejściu do jej ogrodu.



Helen Rushton z Bruckhills Croft, Szkocja, styczeń 2023 r.



Przebiśniegi Złote Runo w szklarni Helen Rushton, styczeń 2023 r.

Chronimy się w małej szklarni, gdzie na stołach stoją dziesiątki małych pojemników z poszczególnymi odmianami przebiśniegów i starannie opisanymi tabliczkami. Obecnie istnieje na świecie 20 gatunków przebiśniegów i około dwóch i pół tysiąca odmian, a wciąż powstają nowe. Helen ma ich, jak wspomniano, ponad pięćset.

Niektóre z tych, które pielęgnuje, już rozkwitły, a inne dopiero przebijają się przez warstwę ziemi. Jest i on – w pełnym rozkwicie – przebiśnieg Złote Runo, który przed kilku laty pobił rekord na aukcji. Za jego cebulkę w 2015 r. zapłacono

1390 funtów! Jest niezwykle, bo na każdym ze śnieżnobiałych płatków ma złoci- stożółtą plamkę.

Tak jak w Holandii w czasach „tulipanowej gorączki” najczęściej płacono za rośliny odbiegające od normy, za niezwykle mutacje, tak i teraz brytyjscy galantofile spędzają długie lata, mając nadzieję na wyhodowanie lub odnalezienie gdzieś w naturze odmiany niezwyklej, takiej, której nikt jeszcze nie widział.

Złote Runo jest dziełem Joego Sharmana, nazywanego też Królem Przebiśniegów. Wyhodowanie tej odmiany – powstałej w wyniku wielu prób i krzyżówek – zajęło mu dziesięć lat, kolejnych osiem zaś wprowadzenie jej do sprzedaży. W ubiegłym roku Joe pobił swój własny rekord: na internetowej aukcji sprzedał cebulkę nowej odmiany, nazwanej Złoci- ste Łzy, za kwotę 1850 funtów. Plus pięć funtów za przesyłkę.

Nawet biel ma odcienie

Przyglądam się przebiśniegom z gospodarstwa Helen i zaczynam rozumieć, jak fascynujące może stać się ich kolekcjonowanie.

Na pierwszy rzut oka to po prostu niewielkie białe kwiaty. Jednak gdy przyjrzeć się im z bliska, widać różnice między odmianami: jedne są większe, o bardziej zaokrąglonych płatkach, inne wydłużone i smukłe. Nawet biel ma swoje odcienie, a do tego dochodzą przeróżne plamki i znaczenia na płatkach. Niektóre zakwitają wcześniej, inne później.

No i ich nazwy: Polar Bear (Niedźwiedź Polarny), Orange Star (Pomarańczowa Gwiazda), Anglesey Aurora (Zorza Polarna z Anglesey).

Helen może opowiadać o każdej z odmian: – Nazwano ją Polar Bear, bo ta odmiana ma duże i bardzo białe kwiaty. Orange Star ma pyłek w jaskrawym kolorze. Natomiast Aurora zmienia kolor: gdy zakwita, ma delikatny pomarańczowy odcień, ale potem przechodzi w biel.

– A to bardzo zabawny przebiśnieg, bo liść przykwiatowy jest biało-zielony, a sam kwiat czasem jest zwrócony do góry, a nie w dół. Stąd nazwa Miss Behaving – uśmiecha się Helen.

Nazwa jest grą słów, bo po angielsku ktoś niegrzeczny, źle zachowujący się, to *misbehaving*. Czyżby więc Miss Behaving to „Grzeczna Panna”?

Czasem galantofile odwiedzający Bruckhills Croft przyjeżdżają, bo chcą zo-

baczyć tylko jedną albo dwie konkretne odmiany – od razu pytają właśnie o te wybrane.

Są też w Wielkiej Brytanii miejsca, gdzie zgromadzono jeszcze więcej odmian, niż ma ich Helen – najwięcej w jednym z ogrodów w Cumbrii, gdzie jest ich aż dwa tysiące.

– Dobrze, że przebiśniegi są takie niewielkie. Można mieć wspaniałą kolekcję bez konieczności posiadania wielkiego ogrodu – śmieje się właścicielka Bruckhills Croft.

Jak to się zaczęło

– Moja przygoda z przebiśniegami jest ściśle związana z tym miejscem. Kiedy się tu wprowadziliśmy w 1991 r., w ogrodzie znalazłam przebiśniegi. Potem okazało się, że nie są takie same, że to dwie różne odmiany przebiśniegu pospolitego – opowiada Helen. – To było jeszcze w czasach, gdy nie można było szybko sprawdzić czegoś w internecie. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o moim znalezisku, zaczęłam czytać ogrodnicze czasopisma i książki. I tak się zaczęło. A potem sprowadziłam kolejne odmiany.

Trzydzieści lat później Helen posiada już kolekcję oficjalnie zatwierdzoną przez Plant Heritage. To prestiż, ale też odpowiedzialność. W kolekcjach chodzi przede wszystkim o zachowanie poszczególnych odmian i utrzymanie ich czystej linii.

– Przykładowo, podczas budowy miasteczka olimpijskiego w Soczi w Rosji zniszczono kolonię przebiśniegów. Okazało się, że było to jedyne miejsce, gdzie ta odmiana rosła w warunkach naturalnych. Jednak dzięki temu, że była w prywatnych kolekcjach, przetrwała – mówi Helen.

W swoim ogrodzie ma po dwa zestawy każdej z odmian; to na wypadek, gdyby którejś coś się stało. – To takie nasze ubezpieczenie – śmieje się.

Szukając nowej odmiany

Historia przebiśniegów to historia całego czasu otwarta, w której można odnaleźć coś nowego.

Wspomniany Joe Sharman zajmował się ogrodnictwem już jako dziecko, zachęcała go do tego babcia, a pierwsze rośliny zaczął sprzedawać jako osiemnastolatek. Być może jednak nie zostałby Królem Przebiśniegów, gdyby nie jego mama.

To ona w 1985 r. pokazała mu nietypową kępę przebiśniegów rosnących na wzgórzu Wandlebury w Cambridgeshire, gdzie mieszkali. Zamiast zielonych plamek na białych płatkach, były plamki żółte. Kępa okazała się kolonią nieznannej odmiany, którą Sharman oficjalnie nazwał Złoto Wendy i w 1987 r. opisał w branżowym czasopiśmie. Od tego się zaczęła jego sława, bo bez żółtego elementu, jakie ma Złoto Wendy, Sharman nie mógłby lata później stworzyć Złotego Runa.

O czymś takim – o znalezieniu w naturalnym środowisku nieznannej odmiany przebiśniegów – marzy każdy miłośnik tych kwiatów. Miejscami ich poszukiwań są lasy, wzgórza i wąwozy, ale też stare przykościelne cmentarze, gdzie kiedyś je sadzono, czy zapomniane ogrody przy zrujnowanych domach.

Symbol i obietnica

W poszukiwaniach nie ustaje także znany ogrodnik Charles Quest-Ritson – i dokładnie wie, czego szuka. A także, co stracił. 40 lat temu podczas spaceru w Wiltshire znalazł niezwykle przebiśniegi. Ich szypułki były rozszczepione, zamiast jednego miały dwa kwiaty. Za pozwoleniem farmera, na którego ziemi rosły, młody wówczas ogrodnik wykopał je i zabrał do domu. Z braku doświadczenia popełnił jednak błąd – przesadził je do donicy, a gdy wrócił śnieg i mróz, kwiaty nie przetrwały. Choć gdyby posadzono je do gruntu, zapewne nie miałyby z tym problemu.

Po kilkudziesięciu latach od tej porażki Quest-Ritson wrócił na tamtą farmę i znów szukał swoich przebiśniegowych mutantów, systematycznie, metr po metr. „Nie znalazłem. Pewnie nigdy nie znajdę. Spróbuję jednak znowu – pisał w czasopiśmie „Countrylife”. – Ogródnictwo to, jak mówiła moja babcia, tryumf nadziei nad doświadczeniem”.

Może dlatego przebiśniegi wzbudzają taką fascynację – nie tylko są symbolem woli życia, obietnicą wiosny, gdy na polach jeszcze leży śnieg, ale także uosobieniem ludzkich marzeń. Marzeń, że poszukiwania zakończą się sukcesem, że uda się stworzyć kwiat doskonały, że dotknie się tajemnicy natury.

Bo chyba za każdą z odmian, które można podziwiać u Helen i w wielu innych miejscach w Wielkiej Brytanii, stoi

jakaś ludzka historia. Na przykład rzadką odmianę z żółtymi elementami nazwano „Elizabeth Harrison”, bo to w jej ogrodzie w szkockim Perthshire odkryto ją w 2002 r. Ogródnik Ian Christie rozmnożył ją potem z jednej cebulki (dziesięć lat później sprzedał za 725 funtów). Dzięki nazwie ogród Elizabeth będzie zapamiętany.

Doskonały

Styczeń to otwarcie przebiśniegowego sezonu – w całej Wielkiej Brytanii rozpoczynają się wycieczki, festiwale, gale. Przyjeżdżają też goście z zagranicy, by odwiedzić ogród za ogrodem. A choć w Szkocji ogrodnik ma, z powodu warunków pogodowych, więcej wyzwań niż na południu kraju, również tu można zobaczyć polacie niczym dywany, usłane setkami kwiatów. Nawet tak daleko na północy, jak w zamku Dunrobin w Sutherland.

Jedna z najbardziej znanych kolekcji jest w ogrodach Cambo, w szkockim hrabstwie Fife. Od końca stycznia do połowy marca trwa tam Festiwal Przebiśniegów, organizowane są wykłady znawców przebiśniegów i spacer z ekspertami, w tym wieczorny spacer podczas lutowej pełni księżyca. Można też kupić przebiśniegi – w cenie na każdą kieszeń. Sto cebulek popularnego *Galanthus nivalis* kosztuje tylko 50 funtów. Te z kolekcji są już droższe.

Także u Helen sezon zapowiada się gorąco, mimo że farma leży z dala od głównych tras turystycznych. Ogród otwarty jest w ramach projektu „Scotland’s Gardens Scheme”, w którym małe i duże prywatne ogrody otwierają się dla odwiedzających, a zyski przekazywane są na cele charytatywne.

– Zapisaną mam już całą wycieczkę autobusową – cieszy się Helen. – Chyba największą przyjemność podczas takich wizyt sprawia mi, gdy mogę komuś doradzić, dobrać odpowiednią odmianę przebiśniegów do czyjegoś ogrodu. Żeby tylko pogoda już się poprawiła. Tyle pracy mam w ogrodzie...

Na razie większość kwiatów jeszcze nie rozkwitła. Potrzebują może tygodnia, dwóch. Wtedy cały stok schodzący ku stawowi będzie biały. Na razie wśród mokrych zbżowiałych traw pojawił się przebiśnieg Anglesey Abbey – idealnie biały, o smukłym opływowym kształcie. Na jego płatkach zawisły krople deszczu. Jest doskonały. ©© PATRYCJA BUKALSKA



*Anna German z rodzicami i babcią po kądźeli. Fotografia wykonana prawdopodobnie w atelier fotograficznym Chudajbergena Diewanowa.
Urgencz, 1936 r.*

WALENTYNKA Z URGENCZA

Artystka zwana Białym Aniołem urodziła się w walentynki roku 1936.

Będzie to historia o rodzicach Anny German,
którzy miłości szukali pod bolszewickim niebem.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

NIE SĄ TO ANALOGIE DOKŁADNE, ALE i sama miłość nie dba o symetrię i raz zaklina, że „Słowik to, a nie skowronek”, aby po chwili ostrzegać „Głos to skowronka grzmi tak przeraźliwie”. A zatem i mosty między losami Anny German i jej rodziców a walentynkami nie będą oczywiste.

Przy czym same walentynki dla większości to święto miłości i nie każdy wie, że patron karteczek z serduszkami jest też opiekunem epileptyków i osób ze schorzeniami psychicznymi. A Luperkalia, które poprzedzały walentynki, również mają niejednoznaczną podstawę, o czym przyjdzie nam jeszcze powiedzieć, porównując to antyczne święto z pierwszymi dekadami sowieckiego państwa.

I była miłość u Sowietów

Niemniej oświeclać chcemy, a nie zaciemniać, przejdźmy więc od razu do rzeczy.

Anna German, wielka pieśniarka, Polka z przypadku, a później już z wyboru, urodziła się w roku 1936 właśnie 14 lutego i dla swoich rodziców stała się najprawdziwszą walentynką.

Było to w Urgenczu, w Uzbeckiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej, tuż przy granicy z republiką turkmeńską. Miasto leży w dolinie rzeki Amu-darii i panujący tam klimat nie jest najzdrowszy. Latem jest gorąco i wyjątkowo sucho, zimą może i niezbyt mroźnie, ale silne wiatry sprawiają, że odczuwalna temperatura jest dużo niższa. Rzadko pada, ale jeśli już, to właśnie zimą.

Gdy w tamte walentynki rodziła się córka Army Martens i Eugeniusza Germana, o szyby parterowego pawilonu położniczego bębnił deszcz. Budynek ten, jako jeden z nielicznych ze starej zabudowy, pozostał do dziś. Matka Anny po latach zapisała we wspomnieniach, w „Człowieczym losie”, że dziewczynka była „dużym, dorodnym i zdrowym dzieckiem” i w białej chusteczce na głowie „wyglądała jak mała kołchoźnica”.

Obu – matce i córce – ten kołchoz za kilka lat nie będzie już z niczym dobrym się kojarzył, ale na razie wszystko zdawało się układać. Po kilku dniach od porodu po córkę i żonę, która formalnie nie była jego żoną (o czym za chwilę), przyjechał Eugeniusz. Na ulicach błoto było po kolana i usadził je na uzbecką arbę o dwóch wielkich kołach i zawiózł do nowego domu. I choć nie ma już w Urgenczu ani tego starego, ani nowego

i wszędzie wzniesiono osiedla, miłośnicy twórczości German niezmiennie próbują odnaleźć „to” miejsce, gdzie przez kilkanaście miesięcy był jej dom.

Nie była to wybitna lokalizacja. Ze wspomnień wiemy, że zamiast podłogi klepisko, ściany z glinianych pustaków, ale przestrzeń w środku „większa, z normalnymi oknami”, cokolwiek to znaczy. Ledwie po kilku dniach „urlopu macierzyńskiego” Irma musiała wracać do pracy – uczyła niemieckiego w tamtejszej szkole im. Nadieżdy Krupskiej, a Eugeniusz był księgowym w dużej piekarni. Nianią, gosposią i zwornikiem całej rodziny stała się więc babcia Anny, która codziennie nosiła dziewczynkę do szkoły, aby matka mogła ją karmić. Zdawać by się mogło – trudne warunki dla rodziny. Mimo to w biografii czytamy: „byliśmy wtedy szczęśliwi”, „darzeni wielką miłością”.

Walenty o wielu twarzach

Wróćmy do św. Walentego. Ze względu na wielość legend i samych Walentych w 1969 r. usunięto go z kalendarza liturgicznego, mimo to w większości hagiografii osadzany jest w czasach Klaudiusza II Gockiego, władającego Rzymem pod koniec III wieku. Byłby więc duchownym, może nawet biskupem. Wtedy, za rządów Klaudiusza II, choć łagodnego dla wyznawców Chrystusa, chrześcijaństwo pozostawało nielegalne. Może zatem Walenty nie obnosił się ze swoim kapłaństwem i jego oficjalną rolą było leczenie żołnierzy. Ci zaś cierpieli nie tylko od ran, ale i tęsknoty, bo z rozkazu cesarza do około 40. roku życia nie mogli się żenić. Temu sprzeciwił się Walenty i łączył żołnierzy z ich wybrankami.

Stąd można by już przerzucić mosty do historii rodziców Anny German, bo i oni zostali połączeni wbrew obowiązującemu prawu. Oboje byli potomkami protestanckich kolonistów i bolszewicy widzieli w nich po prostu „Niemców”. Eugeniusz doświadczył tego jeszcze w 1929 r., gdy jego rodzina została zatrzymana we wsi Ol'hyne, leżącej między Krzywym Rogiem a Melitopolem. Są dwie osady o takiej nazwie, jedna na prawym, druga na lewym brzegu Dniepru; obie zakładali protestanci i trudno ustalić, o którą chodzi.

Hörmannowie, jak można przypuszczać, pisani jeszcze jako Chormannowie, podczas tzw. sprawy niemieckiej zostali

uznani za wrogów i ojca rodziny, Friedricha, zesłano pod Archangielsk, gdzie niebawem zmarł. Nie ma pewności, co działo się wtedy z dwudziestoletnim Eugeniuszem. Najprawdopodobniej tułał się po południowo-zachodnich rejonach ZSRR i szukał pracy. Wiemy, że ostatecznie dotarł do Zagłębia Donieckiego. Tu już jako German objął posadę księgowego w kopalni.

Spoglądamy na jego zdjęcie – rysy amanta i ciemna, falująca czupryna. Musiał się podobać i niebawem się ożenił, dodajmy, nie z Irma, ale również z kobietą o niesłowniańskim imieniu, niejaką Almą, i na świat przyszedł ich syn. W jakim stopniu doświadczyli Hołodomoru, nie wiemy, choć źródła potwierdzają, że robotnicze osiedla Donbasu najmniej ucierpiały w całej Ukrainie. On zaś pełnił ważną funkcję i mógł korzystać ze specjalnej aprowizacji.

Za to padł ofiarą innej patologii, jak Rosja długa i szeroka, ahistorycznej. Kierownik kopalni, pewnie człowiek z bolszewickiego nadania, a przy tym alkoholik, wpędził zakład w olbrzymie długi, a winę zrzucił na dwudziestoparoletniego księgowego. Ten mógłby się wybronić, ale podczas rozprawy wyszłaby na jaw jego prawdziwa tożsamość.

Postanowił więc uciekać. Porzucił żonę i dziecko i dotarł do Uzbekistanu, gdzie zatrzymał się w położonym 30 km na południowy zachód od Fergany Chimyon. Było to osiedle górników naftowych, a za razem kurort balneologiczny. Szedł, jak mawiają na wschodzie, rok 1934 i do tej miejscowości przyjechała również Irma. I tak, dwa tysiące kilometrów od rodzinnych domów, poznali się. Widać błogosławił im św. Walenty, bo w oczach ludzi byli mężem i żoną.

Miłość i śmierć w Urgenczu

Tak też powiedziała znajoma Army – „O waszego męża pytali” – kiedy Germanem zaczęło się interesować NKWD. Był grudzień 1934 r. i dla Stalina zabójstwo wysoko postawionego bolszewika, Kirowa, stało się pretekstem do usunięcia kolejnych oponentów.

W całym Związku Sowieckim zalecono szukanie osób potencjalnie wrogich i w pierwszej kolejności zatrzymywano tych, którzy mieli powiązania z zagranicą. Cóż z tego, że sprzed półtora wieku, jak w przypadku protestanckich osadników, których do Rosji sprowadziła jeszcze

→ caryca Katarzyna II. Ale w przypadku Eugeniusza mogło nie skończyć się na zesłaniu i z Irmą postanowili szukać nowego schronienia.

Wybór padł na Urgencz, bo – podobnie jak w Donbasie – łatwiej było tam o anonimowość. Ta jeszcze do niedawna senna i orientalna, niczym z arabskiej baśni, osada doświadczała sowieckiej industrializacji. Głównie kopano kanały melioracyjne, które potem stały się przekleństwem uzbeckiej ziemi. Zatrudnianych robotników należało gdzieś zakwaterować i wyżywić, to zaś rodziło problemy, m.in. autochtoni odmawiali pracy przy hodowli świń, więc każde dodatkowe ręce były na wagę złota.

Początkowo wydawało się, że tym razem się uda, że Urgencz, gdzie znaleźli pracę, dom i urodziła się ich córeczka, będzie przyjaznym miejscem. Z tego czasu pochodzi zdjęcie przedstawiające kilkumiesięczną Annę, rodziców i babcię po kądzieli; najprawdopodobniej wykonane w atelier prekursora uzbeckiej fotografii, Chudajbergena Diewanowa. Ale obawy musiały się gdzieś tlić, bo matka Anny zapisała, że codziennie patrzyła, jak przez miasto maszerowali w drewnianych chodakach mennonici, gnani na przymusowe prace. Przybyli oni do pobliskiej Chiwy jeszcze za chanatu, gdy w latach 70. XIX w. car obejmował protektorat nad tymi ziemiami.

I w rzeczy samej w kilkanaście miesięcy od urodzin córki los się odmienił. Latem 1937 r. dziewczynka zachorowała na tyfus. Skądinąd wiadomo, że za Eugeniuszem ktoś zaczął chodzić – trwała już najokrutniejsza fala Wielkiego Terroru – i cała rodzina, Irma z córeczką i mężem oraz matką Anną i bratem Wilmarem, postanowiła przenieść się do leżącego tysiąc kilometrów na wschód Taszkentu.

Tam udało się odratować Annę, a i samo miasto wydało się mekką kultury w porównaniu z poprzednią miejscowością. Poza tym Irma była znów w ciąży i postanowiono zostać. Trzeba było jeszcze dopełnić formalności, do Urgencza w tej sprawie wrócili Eugeniusz z Wilmarem.

Tam już na nich czekali. Brata Armę skazano na łagier, Eugeniusza – na śmierć. Ale inaczej niż podają czasami historycy, nie zginął w Taszkencie.



ARCH. IWANA ILICZEWA-WOŁKOWSKIEGO

Polka z wyboru

ANNA GERMAN-TUCHOLSKA (1936-82), polska pieśniarka i kompozytorka. U nas najbardziej znana z utworu „Tańczące Eurydyki” i albumu „Człowieczy los”. Debiutowała w 1960 r., a rozgłos i sławę przyniosły jej występy w Sopocie (1963 r.) i Opolu (1964 r.).

Obdarzona niezwykłym głosem, a przy tym talentem do języków, zaistniała za granicą. Występowała w Europie Zachodniej, USA i Kanadzie. Jednak największą popularnością cieszyła się i wciąż cieszy w krajach byłego Związku Sowieckiego. Nie tylko Rosjanie, ale i mieszkańcy Uzbekistanu, twierdzą, że jest częścią ich kultury. Jak wspominała piosenkarka Anna Jantar, m.in. to stanowiło o jej fenomenie: „była wszędzie u siebie”. Wykonywała utwory polskich i sowieckich kompozytorów oraz własne, do słów m.in. Krzysztofa Cwynara czy Jerzego Ficowskiego.

Współpraca z Ficowskim zaowocowała utworami, w których odnajdziemy coś z klimatu Środkowej Azji, regionu ważnego w jej biografii. Jej rodzice wywodzili się z niemieckich i holenderskich wspólnot protestanckich, przybyłych do Rosji w XIX w., a w czasach bolszewickich boleśnie doświadczonych.

Po II wojnie światowej Anna z matką przyjechały do Polski, osiedliły się w Nowej Rudzie, a później we Wrocławiu. Polskość artystki poddał próbie przywódca sowiecki Leonid Breżniew, oferując jej obywatelstwo i apanaże. German odmówiła. U szczytu kariery uległa wypadkowi i na trzy lata zeszła ze sceny. Zmagiała się z nowotworem i zmarła w wieku 46 lat.

Przez ostatnie 20 lat w Polsce nieco zapomniana, powróciła za sprawą rosyjskiego serialu biograficznego. Niezależnie od trendów, jest ulubienicą glottodydaktyków, którzy jej utwory wykorzystują do nauczania języka polskiego. © MPG, AG.

Wywieziono go na obrzeża Urgencza i rozstrzelano w wykopanych w polu tunelach, żeby w mieście nie było słychać.

Serduszko z zaświatów

O śmierci Eugeniusza żona i córka dowiedziały się dopiero po roku 1956. Wcześniej przez niemal dwie dekady żyły nadzieją i każdego dnia były się z myślami, że a nuż gdzieś koło Workuty pcha wagonik wyładowany węglem. Oficjalne potwierdzenie egzekucji dotarło w 1960 r. wraz ze „Sprawką” („Oświadczeniem”), podpisaną przez niejakiego generała Prijmaka o pośmiertnej rehabilitacji Germana.

I tu znów przychodzi na myśl św. Walenty. Legendy głoszą, że został osadzony w więzieniu, a powodem – wedle legendy najbardziej rozpowszechnionej – miało być złamanie zakazu udzielania ślubów żołnierzom. Jest też inna wersja, jakoby uleczył z epilepsji syna rzymskiego filozofa Kratona, oczekując w zamian nawrócenia się na chrześcijaństwo (Kraton raczej nie istniał, ale później pojawiał się w ikonografii; m.in. widzimy go na odlanej z brązu rzymskiej chrzcielnicy w kościele św. Bartłomieja w Liege).

Walentego za kraty zawiodło albo przedkładanie praw boskich nad cesarskie, albo czynienie cudów. W więzieniu zakochał się w Julii, ociemniałej córce strażnika, niejakiego Asteriusa. Dziewczyna za jego wstawienictwem odzyskała wzrok. Pogańskim władzom tych osobliwości było nadto – jak pisze brytyjski psychiatra Neel Burton – i Walentego nakazano torturować, ukamienować i ściąć. Egzekucję zaplanowano na 14 lutego roku 271. Skazany tuż przed śmiercią zdążył podrzucić Julii list zakończony słowami: „Od twojego Walentego”; podpis ten stał się później maską, za którą i dziś kryją się nieśmiali zakochani, piszący o sobie w liścikach miłosnych „Twoja Walentynka”.

Tak więc raczej nie czerwone serduszko, ale śmierć i życie, ratunek i kaźń, nawrócenie, a poprzez miłość – ozdrowienie i oświecenie są wśród przesłań tej historii. Narodziny Anny German, jak każdego dziecka, naznaczone byłyby tymi wartościami, a potwierdzenie tego znajdziemy we wspomnieniach matki piosenkarki.

Choć gdyby nie choroba kilkunastomiesięcznej Anny, kto wie, czy Irma nie pojechałaby wraz z mężem do Urgencza, a wówczas także o jej losie decydowałiby enkawudziści, którzy rozstrzelali Eugeniusza.

Nie dość na tym. Czy list, który otrzymała matka i córka po II wojnie światowej, gdy mieszkaly już we Wrocławiu, nie był swoistą walentynką? Rzecz jasna nie w sensie potocznym. Dostrzeżmy w nim echa pierwotnych legend o Walentym. Dla psychoanalityka będzie to akt uwolnienia z emocjonalnych więzów. Przekaz: „Jesteś wolna, bądź szczęśliwa, ciesz się życiem”. Przypomnijmy, że w roku, w którym generał Priymak wysłał „Sprawkę”, Anna German postawiła pierwsze kroki na scenie wrocławskiego Kalamburu, pierwsze kroki w jej późniejszej oszałamiającej karierze.

Krwawy karnawał

Najtrwalszy jednak most łączy historię Anny German i jej przodków z pradziejami walentynek, z ową przemianą w chrześcijańskie święto miłości.

Zachowały się relacje, z których wiemy, że w czasach antycznych, między 13 a 15 lutego, na rzymskim wzgórzu Palatynie odbywał się obrzęd Luperkusa. Ku czci tego wilka i pasterza w jednym młodzi kapłani naznaczali sobie czoła krwią kozła i nadzy z biczem

w rękę biegli w lud. Siekli kobiety, czym mieli zapewniać im płodność; obrywali też mężczyźni, którzy biczowanie poczytywali sobie za gest odpuszczenia win. U Plutarcha wyczytamy, że dołączało do nich „wielu szlachetnych młodzieńców i urzędników”, a „wiele dostojnych kobiet umyślnie zachodziło im drogę”.

Obchody cieszyły się popularnością i próbował je zważyć pod koniec V wieku papież Gelazjusz I. Historycy przekonują, że był to proces żmudny, na nic zdało się wyzywanie mieszkańców Rzymu od „nikczemnego motłochu”. Spróbowano więc substytucji, serwując w zamian m.in. święto ku czci Walentego.

Kwestia przetrwania

Zapewne wtedy Luperkalia nie były już krwawe i przypominały coś na kształt pogańskiego karnawału, niemniej rytualna rola kapłanów nasuwa skojarzenia z enkawudzistami. Takimi jak ulubieniec Stalina, słynny egzekutor Wasilij Błochin, który zabił kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Ale pomniejsi kaci byli w każdym miasteczku, także w Urgenczu. I po bolszewickiej rewolucji właśnie z ich rąk próbowali wymknąć się Martensowie i Hörmannowie alias Germanowie.

Ci pierwsi wywodzili się z fryzyjskich mennonitów, drudzy z niemieckich baptystów. Obie familie trafiły na ziemie dzi-

siejszej Ukrainy na początku XIX w., skuszone nie tylko korzyściami ekonomicznymi, ale też deklaracją wolności do wyznawania swojej religii, za którą prześladowano ich na Zachodzie. Carowie rozumieli, że wraz z nimi importują wyższą cywilizację i mapę Imperium Rosyjskiego obsiana jest punkcikami, gdzie założyły osady. Jeśli się przemieszczali, to zazwyczaj do swoich, w ramach tych wspólnot zawierali małżeństwa czy rozwijali przedsiębiorstwa.

Kiedy więc nastały bolszewickie czasy, a z kremłowskiej jaskini – *per analogiam* – wybiegli czerwoni Luperkowie, protestancy koloniści również szukali schronienia u współbraci w wierze. I wszystkie te Mołoczanski, Wielikokniażeskoje, Redkije Dubrawy, Hoffnungstale, gdzie szukali schronienia Irma i Eugeniusz, od Dzikich Pól, przez Donbas, Kubań, Ałtaj, na centralnej Azji kończąc, zamieszkiwały protestanckie wspólnoty.

Mówiliśmy już, że bez ich wsparcia nie dotarliby do Urgencza. Pokusmy się więc o wnioski bardziej ogólne: w czasach stalinowskiego szaleństwa, mimo że zdziśiatkowane, protestanckie społeczności zachowały swoją tożsamość.

Dobrześ łączył, Walenty – moglibyśmy rzec. Choć z drugiej strony zapytajmy: dla kogo kazałeś im ten skarb chować?

© MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI

Targ w Urgenczu. Widoczne m.in. typowe uzbeckie arby. Fotografia z rodzinnego albumu kupców Wostriaków, 1904 r.



HOBBIT, CZYLI NA FLORES I Z POWROTEM

Gdyby Flo żyła przed milionami lat,
pasowałaby do dotychczasowego scenariusza ewolucji.
Ale żyła kilkadziesiąt tysięcy lat temu.

ŁUKASZ KWIATEK

NISKA JAK NA SWÓJ WIEK. TRZECI AZJATYCKI gatunek *Homo* odsłania różnicowanie ludzkości w plejstocenie”. Redakcja „Nature” powściągliwie zapowiedziała w październiku 2004 r. na okładce artykuł, który miał wywrócić do góry nogami prawie wszystko, co naukowcy myśleli o ewolucji człowieka. Na zdjęciu widniała mieszcząca się na dłoni ludzka czaszka i pasująca do niej zuchwa. Część szczątków osobnika znanego pod trzema imionami: LB1, Flo i Mała Dama z Flores.

Autorzy tamtego artykułu – indonezyjscy i australijscy paleontolodzy, na czele z Peterem Brownem z Uniwersytetu Nowej Anglii w Armidale – kilkanaście miesięcy wcześniej wykopali szczątki Flo w jaskini Liang Bua na wyspie Flores. I osłupieli, bo nigdy wcześniej nie widzieli osoby o takiej budowie ciała.

Flo była dorosłą, trzydziestoletnią kobietą, mierzącą zaledwie 106 cm wzrostu – tyle, co przeciętne pięciolatki. Mogła ważyć 25 kg. U współczesnych ludzi taką wagę osiągają dzieci w wieku 7-8 lat, które mierzą już przeszło 125 cm wzrostu. Flo była więc niska, choć dobrze zbudowana. Najbardziej nietypowe rozmiary miała jej głowa. Czaszka ma pojemność ok. 420 cm³ – przynajmniej trzykrotnie mniej niż czaszki współczesnych ludzi, i dwukrotnie mniej od czaszek *H. erectus*, drugiego gatunku człowieka, o którym w 2004 r. było wiadomo, że występował w Azji. Głowy o podobnych rozmiarach jak Flo mają noworodki naszego gatunku oraz współczesne szympansy. To wielkość charakterystyczna także dla występujących 2-3 mln lat temu australopiteków.

Gdyby Flo również żyła kilka milionów lat temu, znacznie bardziej pasowałyby do dotychczasowego scenariusza, zgodnie z którym droga od małpy do człowieka prowadziła przez stopniowe powiększanie mózgu. To właśnie dzięki rosnącym mózgom w zachowaniu naszych przodków pojawiło się wytwarzanie narzędzi, polowania i rytuały, w głowach symboliczne myśli, a w ustach mowa.

Ale Flo nie była naszym odległym przodkiem, musiała więc jakoś z tej drogi zbiec. Żyła ok. 80 tys. lat temu. Jej nie-

typowe rozmiary ciała, a także inne unikalne cechy anatomiczne, skłoniły odkrywców do stworzenia nowej nazwy gatunkowej: *H. floresiensis*; od początku zaczęto też mówić o „hobbitach”. Przez niemal dwie dekady badań zdołaliśmy się dowiedzieć o nich całkiem sporo, jednak kluczowa kwestia – na jakiej gałęzi ludzkiego drzewa ewolucyjnego należy ich umieścić – pozostaje nierozstrzygnięta.

Mozaika cech

Flores interesowała paleoantropologów już w połowie XX w. Mieszkający tam Theo Verhoeven, holenderski misjonarz, który po latach porzucił stan duchowny i ożenił się z byłą zakonnicą, rozpoczął wówczas systematyczne wykopaliska. Gdy usłyszał, że na wyspie znaleziono kości karłowatych stegodonów – wymarłego już rodzaju słoni – a w ich pobliżu prymitywne kamienne narzędzia, postanowił ustalić, kim byli ich twórcy.

Głównym podejrzanym był *Homo erectus*. Jeszcze w XIX w. rodak Verhoevena, lekarz Eugène Dubois odkrył ten gatunek na pobliskiej Jawie. W poszukiwaniu jego śladów Verhoeven udał się do dużej wapiennej jaskini Liang Bua, która mogła służyć archaicznym ludziom za schronienie. Miejsce wybrał bezbłędnie, ale kopał zbyt płytko. Musiało upłynąć jeszcze pół wieku, by z podłoża tej jaskini, poniżej sześciometrowej warstwy osadów, Peter Brown i jego współpracownicy wydobyli w końcu szczątki Flo.

Odkrywcy początkowo odmawiali Flo człowieczeństwa: zaproponowali nowy rodzaj małpy człowiekowatej: *Sundanthropus hobbitus* (od Sundry – nazwy lądu, który w epoce lodowcowej obejmował zasięgiem część dzisiejszych wysp indonezyjskich, jednak bez Flores). Później w toku dyskusji z recenzentami przyznali, że kości hobbitów mają więcej wspólnego z kośćmi ludzi niż innych małp – ostatecznie stanęło więc na *Homo floresiensis*.

Klasyfikacja gatunkowa nie była oczywista, ponieważ szczątki hobbitów stanowią mozaikę cech archaicznych (obecnych u naszych odległych ewolucyjnych przodków), unikalnych oraz takich, które łączą ten gatunek z naszymi mniej odległymi przodkami, jak *H. erectus*. Była już mowa o rozmiarach czaszki zbliżonych do australopiteków – ale jej grubość przypomina czaszkę *H. erectus*, a kształt wskazuje na to, że małeńki

Archeolog Douglas Hobbs w jaskini Liang Bua, gdzie odkryto szczątki *H. floresiensis*, 27 listopada 2004 r.

→ mózg hobbitów mógł być całkiem nowocześnie zorganizowany.

Proporcje kolejnych zębów trzonowych hobbitów wyglądają jak u *H. sapiens* i *H. erectus*, a inaczej niż u starszych form. Spojenie żuchwy – miejsce, gdzie dwie części tej kości zrastają się w okresie płodowym, przebiegające przez jej środek – przypomina starsze formy *H. erectus* (pochodzących z Dmanisi w Gruzji, sprzed 1,8 mln lat), ale już nie te młodsze z Jawy. Żuchwa jest też wyraźnie wysunięta przed płaszczyznę oczu i nie ma w niej śladu podbródka, co także łączy hobbitów z naszymi odległymi przodkami.

Nadgarstek *H. floresiensis* nie przypomina ludzkiego; jedna z tworzących go kości wydaje się zapożyczona od szympanśów albo orangutanów. Cechy ramion – przesuniętych nieco do przodu, jak u kogoś, kto się garbi – wskazują, że hobbitci nie mogli zbyt daleko odchyłać do tyłu rąk, np. po to, by wziąć zamach i czymś rzucić. Podobną budowę barku obserwujemy w szczątkach naszych odległych przodków.

Ręce *H. floresiensis* były względnie długie, a nogi – krótkie. Mieli oni za to duże i płaskie stopy, zakończone zakrzywionymi palcami. Tak zbudowane nogi trzeba unosić wysoko i głębiej zgiąć kolana. Gdyby *H. floresiensis* mogli nas zobaczyć, musieliby uznać, że mamy strasznie śmieszny sposób chodzenia. Przegralibyśmy z nimi we wspinaniu się na drzewo, ale po płaskim terenie każdy z nas mógłby im łatwo uciec – nie mogli szybko biegać, bo ich stopy nie były równie sprężyste jak nasze.

Niewiele wiemy o ich zachowaniach kulturowych. Nie ma dowodów choćby na pochówki, ale polowania z użyciem narzędzi wydają się bardzo prawdopodobne. W pobliżu szczątków hobbitów znaleziono nietypowe nagromadzenie kości karłowatych stegodonów ze śladami cięć wykonanych kamiennymi ostrzami. Większość z nich to pozostałości najmłodszych zwierząt. *H. floresiensis* mogli więc celowo zasadać się na najbardziej bezbronne stegodony.

Na koniec świata

Peter Brown i współpracownicy postawili w 2004 r. hipotezę, że *H. floresiensis* wywodzi się z kontynentalnej populacji *H. erectus*, która została odizolowana na wyspie i uległa skarłowaceniu – podobnie jak stało się to z mieszkającymi tam

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA



Czaszka Flo ma pojemność
420 cm sześciennej
– przynajmniej trzykrotnie
mniejszą niż czaszki
współczesnych ludzi.
**Tej wielkości głowy mają
ludzkie noworodki
i szympansy.**

stegodonami. Nikt wcześniej nie przypuszczał, że u ludzi taki kierunek ewolucji był możliwy, ale temu wyjaśnieniu nie brakuje elegancji. Karłowacenie wyspowe to proces dobrze udokumentowany w przyrodzie. Występuje on, ponieważ na ograniczonym i izolowanym terenie, takim jak wyspy, konkurencja o zasoby jest wysoka, dlatego większym gatunkom bardziej opłaca się utrzymywać mniejsze rozmiary ciała.

Jednak dzisiaj coraz częściej mówi się, że przodków *H. floresiensis* trzeba szukać głębiej w naszej ewolucyjnej historii – być może u samych początków ludzkiego rodzaju, na co wskazywałoby występowanie cech wspólnych *H. floresiensis* i australopiteków, których z kolei nie ma u *H. erectus*. To ciekawa hipoteza, bo jeśli *H. floresiensis* faktycznie nie są potomkami wyrosniętego *H. erectus* (miał nawet 180 cm wzrostu) ze wschodniej Azji, ale bardziej archaicznych populacji człowieka (z Afryki lub Kaukazu), to ich niewielkie rozmiary ciała wcale nie muszą być aż tak dziwaczne. Może także przodkowie hobbitów byli niscy i mieli małe mózgi – więc do karłowacenia wyspo-

wego nie musiało u nich dojść, albo przynajmniej proces ten przebiegał łagodnie.

Ale jeśli przyjmujemy taki scenariusz, to musimy wyjaśnić, jak istoty o małych ciałach i niewielkich mózgach dotarły na koniec świata, którym wówczas była dla ludzi wyspa Flores.

Geografia stanowi tu bowiem kolejną zagadkę. W epoce lodowcowej poziom morza był przeszło sto metrów niższy niż obecnie – dzięki temu wiele wysp archipelagu malajskiego, w tym Sumatra, Borneo i Jawa, były połączone lądem i stanowiły jeden duży półwysep, wspomnianą Sundę. W drugiej połowie XIX w. zdali sobie z tego sprawę Alfred Russell Wallace, współtwórca teorii ewolucji, oraz Thomas Huxley, jeden z jej najbardziej zagorzałych obrońców. Wyznaczyli oni linie przedzielające te tereny w miejscach, które od milionów lat były oddzielone morzem.

Wyspa Flores znajduje się już za liniami Wallace'a i Huxleya. Zatem *H. erectus* lub jakikolwiek inny gatunek człowieka mógł suchą stopą dotrzeć z Afryki na Jawę (a nawet Bali), ale by przedostać się na Flores, musiał pokonać morze. Kiedy i jak mogło się to stać?

Przypadkowi kolonizatorzy

Najstarsze kości *H. floresiensis* datowane są na 100 tys. lat, a najmłodsze na ok. 50 tys., ale na Flores znaleziono także narzędzia mogące mieć nawet ok. 900 tys. lat. W ostatniej dekadzie poznaliśmy ich prawdopodobnych twórców. Na stanowisku Mata Menge w innym miejscu wyspy odkryto ludzkie skamieniałości datowane na przeszło 700 tys. lat. Gdyby te kości wyglądały jak *H. erectus*, zagadkę można by uznać za rozwiązana, ale człowiek z Mata Menge był nawet nieco mniejszy niż ten z Liang Bua. Ta kolekcja skamieniałości jest jednak uboga – nie da się na jej podstawie rozstrzygnąć, czy hobbit z Mata Menge to przodek *H. floresiensis* ani też czy stanowi on skarłowaciałą wersję *H. erectus*, czy może pochodzi od jakiejś znacznie starszej populacji.

Odkrywczy hobbita z Mata Menge za najbardziej prawdopodobne uznali, że to indonezyjski *H. erectus* skolonizował Flores i uległ skarłowaceniu, co dało początek populacji z Mata Menge, z której wywodzi się hobbit z Liang Bua. Ale nie wszyscy naukowcy są przekonani.

Na przykład paleoantropolożka Debbie Argue w wydanej w zeszłym roku książce

„Little Species, Big Mystery” („Małe gatunki, wielka zagadka”) rozważa scenariusze przypadkowej kolonizacji Flores przez hobbitów. Jeśli ludzie o niewielkich rozmiarach występowali równolegle z *H. erectus* na terenie Sundy, to jakaś fala tsunami mogła ich zmyć z lądu i przenieść kilkanaście kilometrów dalej. Zwłaszcza jeśli hobbitcy żyli na drzewach. Gdyby jakaś olbrzymia fala zmiotła część dżungli, a połamane drzewa stworzyły naturalną tratwę, to zaskoczono, przemoczone i przerażone stadko hobbitów mogłoby przetrwać morską podróż na następną wyspę i tam założyć nową kolonię.

Żeby jednak dostać się na Flores, trzeba by taką podróż odbyć aż trzy razy: najpierw na Lumbok, potem na Sumbawę, w końcu na Flores. Trzy szczęśliwe zbiegi okoliczności wydają się mało prawdopodobne, nawet jeśli hobbitcy mogli mieć na tę podróż setki tysięcy lat. Argue zastanawia się też, czy hobbitcy nie mogliby się dostać na Flores razem ze stegodonami, które te odcinki byłyby w stanie przepłynąć, choć trudno wyobrazić sobie, by robiły to z pasażerami na gapę na grzbietach. A może hobbitcy sami byli świetnymi pływakami, w czym pomagały im duże stopy? Większości badaczy najbardziej nie mieści się w ich dużych głowach scenariusz, zgodnie z którym te niepozorne ludki setki tysięcy lat temu własnoręcznie budowały tratwy i podróżowały po morzach. Takiego dokonania spodziewalibyśmy się raczej po *H. erectus*.

Aż tak się pomylić

Hipoteza skarlówacenia *H. erectus* doczekała się też ostrzejszej polemiki. Niektórzy paleoantropolodzy, na czele z Maciejem Hennebergiem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu w Adelajdzie, odrzucają nawet pogląd, że kości z Liang Bua i Mata Menge wskazują na osobny gatunek człowieka. Ich zdaniem hobbitcy nie istnieli.

Jak więc wytłumaczyć nietypowe cechy anatomiczne tych szczątków? W serii artykułów publikowanych m.in. w „PNAS” Henneberg i współpracownicy przedstawili kilka hipotez, które łączy założenie, że kości hobbitów reprezentują nasz własny gatunek, ale były to osobniki obciążone chorobami lub wadami rozwojowymi. Takimi jak zespół Downa, zespół niedoboru jodu (kretynizm) lub zespół Larona – kolejne rzadkie zaburzenie genetyczne prowadzące do mniejszych roz-



Wizja artystyczna hobbita z olbrzymim szczurem, który występował na Flores.

miarów ciała, w tym małogłowa. W wydanej zaś w 2008 r. książce „The Hobbit Trap” („Pułapka hobbita”) Henneberg sugerował też, że na jednym z zębów trzonowych Flo widać ślady plomby dentystrycznej, co musiałoby świadczyć o tym, że kobieta zmarła w XX w., a nie dziesiątki tysięcy lat temu.

Czy odkrywcy Flo mogliby się aż tak bardzo pomylić? Większość specjalistów odrzuca tezy Henneberga, ponieważ nie udało mu się dotąd pokazać, że któraś z wymienionych wad rozwojowych mogłaby wytłumaczyć występowanie u Flo wszystkich nietypowych cech anatomicznych – nie tylko w obrębie czaszki (mała głowa, brak podbródka itd.), ale i szkieletu. Z drugiej strony, z niektórymi poglądami prof. Henneberga trudno polemizować. W rozmowie z „Tygodnikiem” badacz zwraca uwagę na to, że paleoantropolodzy nie są zbyt ostrożni, gdy idzie o powoływanie do istnienia nowych gatunków człowieka.

– W Liang Bua znaleziono ok. stu fragmentów szkieletu, z czego dwie trzecie należy do LB1, reszta – do kilkunastu innych osobników, reprezentowanych przez jeden lub kilka fragmentów – mówi prof. Henneberg. – Moim zdaniem LB1 to

szkielet patologiczny, więc na jego podstawie nie można wyróżniać nowego gatunku. Pozostałych skamieniałości jest niewiele. Mamy za mało danych, by rozstrzygnąć, czy reprezentują one nowy gatunek, czy też wpisują się w zakres zmienności, która wtedy obowiązywała wśród ludzi – dodaje.

Nawet w przypadku Flo, którą znamy z wielu fragmentów szkieletu, rekonstrukcja rozmiarów ciała nie jest czymś oczywistym, jeśli nie weźmie się pod uwagę dodatkowych założeń.

– Rekonstrukcja wykonana przez Petera Browna, zresztą mojego dobrego koleżę, wedle której LB1 miała 106 cm, oparta była wyłącznie o pomiary długości kości udowej. Ale w zespole Downa kości udowe ulegają skróceniu. Jeśli tak było z LB1, to w rzeczywistości musiała mierzyć ok. 135 cm. Tymczasem do dzisiaj na Flores, w pobliżu Liang Bua, żyją ludzie, którzy mają średnio ok. 150 cm wzrostu – twierdzi prof. Henneberg.

Problem tego, jak bardzo reprezentatywne dla ludzkich populacji są znalezione skamieniałości, jest równie stary jak paleoantropologia. Badacze pierwszych szczątków neandertalczyków byli w połowie XIX w. przekonani, że mają do czynienia z *H. sapiens* chorym na krzywicę. Dopiero po tym, jak Darwin i Wallace ogłosili teorię ewolucji, neandertalczyki uzyskali własną tożsamość. Prosta statystyka odradza nadmierne doszukiwanie się patologii w skamieniałościach – rzadkie zaburzenia w zapisie kopalnym powinny pojawiać się, cóż, rzadko. Ale w poszczególnych przypadkach wątpliwości trudno rozstrzygnąć bez wykopania kolejnych skamieniałości.

W tym kontekście jeszcze więcej wątpliwości może budzić opisanie w 2019 r. *H. luzonensis* – drugiego gatunku hobbitów. W jaskini Callao, położonej na północy wyspy Luzon należącej do Filipin, jeszcze w pierwszej dekadzie XX w. znaleziono fragment jednej z kości śródstopia. Datowano je na 67 tys. lat – a przynależność gatunkowa nie była jasna. Dalsze wykopaliska i analizy zasugerowały, że na Luzon możemy mieć do czynienia z istotami podobnymi do tych z Flores.

Materiał kopalny w tym przypadku jest wyjątkowo ubogi – nie mamy ani czaszki, ani dużych części szkieletu, jak u Flo – jedynie trochę zębów należących do paru osobników i pojedyncze kości stóp, dłoni oraz fragment kości udowej. ➔

→ Podobnie jak w przypadku pierwszego hobbita, szczątki z jaskini Callao wskazują zarówno na podobieństwo do australopiteków, jak i nowoczesnych ludzi, a także na niewielkie rozmiary ciała.

Autorzy odkrycia zdecydowali się ogłosić istnienie nowego gatunku, choć ani o anatomii, ani o sposobie życia tych ludzi wiele powiedzieć nie możemy. Niezależnie od tego, czy ich decyzja była uzasadniona, na odpowiedź czekają podobne pytania jak w przypadku *H. floresiensis*. Jak i kiedy ci ludzie dostali się drogą morską na wyspę Luzon, która także leży za linią Huxleya? I czy mogli tam ulec skarłowaceni? Na razie wiemy jedynie to, że jakiś człowiek musiał przebywać na Luzon ok. 700 tys. lat temu. Tyle lat liczą najstarsze narzędzia znane z tej wyspy.

Ludzkie gałęzie

W ludowych opowieściach z Flores pojawiają się tajemnicze istoty nazywane Ebu Gogo – niskie, włochate i posługujące się językiem opartym na pomrukach. Żywiły się ludzkimi uprząkami, a czasem nawet ludzkim mięsem, ponieważ porywały dzieci. Niektórzy autorzy próbowali łączyć te legendy z odkryciem *H. floresiensis*, sugerując, że mogą być one świadectwem pamięci o współwystępowaniu hobbitów i ludzi współczesnych. Ale trudno w takie pomysły uwierzyć. Pierwsze datowania sugerowały, że hobbitci istnieli na Flores jeszcze 12 tys. lat temu, a więc w czasach, gdy wyspa była już skolonizowana przez *H. sapiens*. Dzisiaj jednak wiemy, że najmłodsze skamieniałości hobbitów w rzeczywistości mają ponad 50 tys. lat – a za-

Gdyby tsunami zmiotło
część dżungli, a połamane
drzewa stworzyły
naturalną tratwę,
**to zaskoczone stadko
hobbitów mogłoby
przetrwać morską podróż**
na następną wyspę.

pis kopalny urywa się przynajmniej kilka tysięcy lat przed przybyciem na Flores *H. sapiens*.

Co te odkrycia – z Liang Bua, Mata Menge i Callao – mówią o naszej ewolucji? Na pewno wstrząsają starą wizją, zgodnie z którą ewolucja człowieka polega na zastępowaniu jednej formy kolejnymi, zawsze bardziej zaawansowanymi kulturowo i posiadającymi większe mózgi. Musimy poważnie brać pod uwagę taki scenariusz, że duży mózg nie zawsze rozwiązuje problemy adaptacyjne ludzi. W szczególnych warunkach opłacalna może być redukcja jego rozmiarów.

Podobnie jak u innych zwierząt, ewolucyjna historia człowieka musiała być zawiła: znamy już wiele współwystępujących i różniących się od siebie populacji człowieka. Niezależnie od tego, czy zaliczymy je wszystkie do osobnych gatunków, czy jakoś je pogrupujemy (paleoantropologom niestety brakuje konsekwencji w posługiwaniu się terminem „gatunek”), otrzymujemy obraz znaczą-

nie większych różnic niż we współczesnych ludzkich populacjach. Wiele z tych grup – denisowianie, neandertalczyki, *H. luzonensis* i *H. floresiensis* – żyło obok naszych przodków jeszcze 70 tys. lat temu. Niewiele wcześniej występował jeszcze *H. erectus* i *H. naledi* – kolejny oryginalny hominid o stosunkowo małym mózgu, z RPA.

Trudno się spodziewać, by hobbitci z Flores i Luzon wyczerpywali listę „nietypowych” ludzi – na odkrycie pewnie czekają jeszcze formy pośrednie, które pokazałyby, jak te grupy łączą się z linią, która prowadzi do neandertalczyków, denisowian i do nas. Do ustalenia nadal pozostaje, jakie pokrewieństwo łączy obie grupy hobbitów. Czy pochodzą oni od wspólnego przodka, który też był niewielkich rozmiarów, czy może na Flores i Luzon niezależnie doszło do skarłowacenia człowieka? A może istniały dwie wielkie ludzkie gałęzie ewolucyjne, z których jedna („nasza”, prowadząca przez *H. erectus* także do denisowian i neandertalczyków) w ciągu 2-3 mln lat stworzyła zaawansowaną kulturę i zwiększyła rozmiary ciała i mózgu, a druga (łącząca hobbitów, *H. naledi*, może nawet australopiteków) w podobnym czasie nie przeszła tak spektakularnych zmian?

Największe nadzieje na odpowiedź pokłada się w rozwoju paleogenetyki i znajdującej się jeszcze w powijakach paleoproteomiki. Pierwsza szuka długich łańcuchów DNA w skamieniałościach, które pozwalałyby określać pokrewieństwo między nimi (jej twórcą jest zeszłoroczny noblista Svante Pääbo). DNA może przetrwać setki tysięcy lat, ale głównie w mroźnym klimacie. W tropikach szybko ulega degradacji, dlatego jak dotąd nie udało się zbadać genów hobbitów, mimo że ich szczątki nie zdążyły jeszcze zmienić się w kamień. Paleoproteomika z kolei analizuje skamieniałości pod kątem występujących w nich białek, które są produktami genów – pozwala więc na bardzo podobne rozstrzygnięcia. A przy tym białka są bardziej wytrzymałe od DNA – mówi się, że mogą przetrwać w skamieniałościach nawet 20 mln lat.

Taki zakres wglądu w przeszłość pozwoliłby prześledzić naszą ewolucję nie tylko od australopiteków, ale aż od ostatniego wspólnego przodka ludzi i innych pozbawionych ogona małp.

© PŁUKASZ KWIATEK

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

Barbary Klimkowskiej

pracownicy działu księgowości SIW Znak w latach 1981-1994

Z wdzięcznością wspominamy Jej pracę
na rzecz wydawnictwa i miesięcznika „Znak”

Rodzinę Zmarłej prosimy o przyjęcie wyrazów współczucia

ZARZĄD ORAZ OBECNI I BYLI PRACOWNICY SIW ZNAK

POŻEGNANIE

JACEK

Podsiadło:

O niebo lepiej



NA POCZĄTKU BYŁA GĄSKA BALBINKA. Przed dziennikiem, o 19.20. Balbince towarzyszył Płyś, oboje mówili skrzeczącym głosem Danuty Mancewicz, z tym że Płyś seplenił odwrotnie, c, z i s wymawiał jak cz, ż i sz. Było kilka dowcipów wykorzystujących ten fakt, rubasznych i ściśle związanych z fizjologią człowieka. Niedługo potem stworzono Jacka i Agatkę, rodzeństwo pacynek mówiące głosem Zofii Raciborskiej.

Na początku na telewizję chodziło się do Adamczyków. Banda dzieciaków przesiadywała tam przed małym ekranem częściej i dłużej, niż mili gospodarze sobie życzyli, toteż stałym punktem programu było wyłączanie korków. Nieśmiały pan Adamczyk nie umiał ot tak wyprosić smarkatych telemanów, kiedy zatem miał ich już dość, wychodził do sieni, wykręcał korki, wracał i dziwił się: „A co to, telewizor nie chodzi? Znowu prąd wyłączyli!”. Kiedy po wielu latach opowiadano, jak długo i strasznie Adamczyk się męczył, zanim umarł, zawsze przebiegało mi przez głowę, że to kara za te korki.

Żeby Adamczyków trochę odciążyć, na mecze i westerny (mówiło się: łestery) chłopiec chadzał do Kasprzyków. Zapamiętałem tam właśnie obejrzany mecz z Grecją z 1971 r. Nasi wygrali 7:0. W błocie, bo nad poznańskim stadionem przeszła burza. Kiedy do sąsiadów z drugiej strony, Baków, prawie jednocześnie wprowadziło się dwóch młodych zięciów, na mecze piłkarskie chłopiec zaczął się wpraszać do nich.

Aparat Baków był to chyba ametyst lub lazuryt, a Adamczyków toscia-lux. Telewizory ówczesne były ludziom podobne. Charakteryzowały się prostą konstrukcją, ale każdy miał coś spartalone w środku. Pod monitorem lub obok niego miały pokrętła jasności, ostrości i głośności, a na ścianie bocznej duży przełącznik kanałów, do 1970 roku w ogóle niepotrzebny. Oczywiście gdzieś z tyłu wpinało się biegnący za okno kabel antycynej anteny.

Ostatni będą pierwszymi. Podsiadłowicie (mówiło się: Podsiadłe) sprawili sobie telewizor od razu kolorowy, pierwszy we wsi. Był to ruski elektron. Strasznie się psuł i szybko został zastąpiony rubinem, który spisywał się o niebo lepiej.

Zaraz po meczach najlepsze w nowym niebie były serie. Najlepsze z najlepszych miały w tytule przygody lub podróże. „Przygody Robin Hooda”, „Przygody Wilhelma Tella”, „Znak Zorro”. Z takich bardziej westernowych to „Bonanza”, „Złamana strzała” i „Podróże Jaimiego McPheetersa”.

Ale ponieważ oglądało się jak leci, chłopiec obejrzał nawet „Dyrektorów”, nudziarstwo z piątej fali socrealizmu. Bohaterką „Dyrektorów” była fabryka Famel czy Fawel, która coś tam produkowała. Akcja polegała na rozmawianiu o kłopotach fabryki. Na przykład dyrektor Wanad rozmawiał przez pół godziny z inżynierem Stokłosem, a potem inżynier Stokłos dwadzieścia minut rozmawiał z towarzyszem Czyżewskim, a wózek akumulatorowy rozwoził w tym czasie po wydzielach zupe, którą robotnicy jedli z blaszanych misek. Na twarzach aktorów malowało się głównie znudzenie wypowiedzianymi przez nich kwestiami i niesmak spowodowany zupe. Całowania się prawie nie było, nie mówiąc już o scenach łóżkowych, których w całym serialu było ze dwie lub trzy, jak któryś dyrektor był chory. Kiedy wreszcie taka bardziej smakowita scena się zdarzyła, mężczyzna pół nocy przemawiał do kobiety, która udawała, że nie śpi, o napiętym planie, egzekutywie, wysokokwalifikowanych tokarzach precyzyjnych oraz o tym, że Wrocław zalega z dostawami, zatem nie jest w stanie gotowości.

Ale „Dyrektorzy” to już środek lat 70., zasadniczo złotych dla telewizji. Dzięki Maciejowi Szczepańskiemu i Mariuszowi Walterowi nawet prelekcje o progach i barierach w gospodarce socjalistycznej i wspomnienia świadków wojny bywały zajmujące. Zadaniem uczestników programu „Progi i bariery” było ciekawie opowiadać o swoim nieciekawym życiu. Mało kto doszedł do końca, bo zadaniem jurorów było gaszenie światełka, kiedy któremu znudziło się słuchanie. Po wyłączeniu połowy światełek delikwentowi zabierano mikrofon. „Świadkowie” specjalizowali się w doprowadzaniu na oczach widzów do spotkań ludzi, którzy się pogubili wskutek niemieckiej agresji. Wzorem zaś wszystkich prowadzących *talent shows* pozostał na wieki wieków Aleksander Bardini. Beata Andrzejewska po debiucie u niego trafiła na scenę i do filmu, tylko jednego, ale jakiego, na jaką scenę! Scenę swatów przy salcesonie i meczu Polska–Cypr w „Czy jest tu panna na wydaniu”.

A chłopiec? Czy do debiutu pisarskiego nie popchnął go program Andrzeja Bobera z cyklu „Mam pomysł”, do którego red. Bober zapraszał domorosłych racjonalizatorów, wynalazców i inne złote rączki? Tak sobie pomyślałem niedawno, zobaczywszy archiwalny kawałek ze Zdzisławem Korbeckim, twórcą minispawarek, miniwyciągarki zasilanej akumulatorem samochodowym i miniskutera tak małego, że nie dało się na nim jeździć, a on pokonał na nim w kucki Alpy. Prezentacja wyciągarki zaczyna się od sekundowego ujęcia kubła z napisem „30 kg” wypełnionego cegłą dziurawką. A debiutem chłopca była mająca miejsce mniej więcej wtedy publikacja w „Świecie Młodych” patentu na urządzenie do wciągania cegieł na piętro budowanego domu. Dowcip polegał na tym, że na końcach liny przewieszonej przez typowy bloczek murarski należało umieścić dwa kubły. Żeby z dołu wciągnąć na drugie piętro 20 kilo cegieł, należało na drugim piętrze włożyć do drugiego kubła 40 kilo cegieł i akt wciągnięcia dokonywał się siłami natury. Z dziećmi PRL-u tak było, że jeszcze im anteny dobrze nie wyrosły, a już nastawione były na absurd. I sekunda im wystarczyła. ©

PALEC W SZKLANCE

Na starej drukarce rodziców produkowała
autorskie egzemplarze książek.
Zorientowała się, że wyglądałyby
poważniej, mając jakąś treść.
Do tego potrzebne były słowa, literki.
Skąd jednak wziąć opowieści?

MONIKA OCHĘDOWSKA

MOŻNA BY ZACZĄĆ LEWISEM CARROLLEM, KTÓRY – ZUPŁNIE JAK ONA – BAWI SIĘ SYMETRIĄ, PARADOKSAMI I ABSURDEM. SZCZEGÓLNIE ŻE JUŻ PO KILKU ŁYKACH AMERICANO MOJA ROZMÓWCZYNI SIĘ WYMYKA. ZOSTAJE NAD STOLIKIEM SAM UŚMIECH, JAK TEN KOTA Z CHESHIRE. ŻYCZLIWIE ŻARTUJE SOBIE Z POMYSŁU PORTRETOWANIA AUTORKI TRZECH MAŁUTKICH KSIĄŻECZEK.

Można by także zacząć od Jonathana Swifta, bo – jak mówi – ściśle zszywanie życia i twórczości to zajęcie pokrewne próbom przyskrzynienia kapitana Guliwera w Krainie Liliputów. Po co dodawać ciału ciężarów.

Trzeba więc zacząć inaczej, bo Weronika Murek nie daje się pochwycić, zaciera za sobą ślady, zasypuje kryjówki, uskakuje w bok.

Różyczka

Zobaczcie sami: zaraz po studiach prawniczych rezygnuje z kariery adwokackiej, by debiutować zbiorem siedmiu opowiadań. Brawura? Może, ale „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina” (2015) przynosi jej nominacje do wszystkich najważniejszych wyróżnień literackich, finały Nagród Nike, Gdyni i Conrada oraz Nagrodę Gombrowicza. Obiecująca prozaiczka („objawienie”, „meteoryt” – piszą recenzenci) zamiast iść za ciosem, wstaje od biurka i coraz częściej zagląda do teatru.

„Miałam poczucie, że pozostając przy tej formie będę w stanie tylko powtarzać ten sam patent” – wyjaśni później. Niedługo będzie pisać dramaty dla najważniejszych scen



ARCHIWUM PRYWATNE

Weronika Murek,
2019 r.

w Polsce. Jej „Feinweinblein” (2016) otrzymuje Gdynską Nagrodę Dramaturgiczną, a zbiór trzech dramatów pod tym samym tytułem (2019) nominację do Paszportów „Polityki”. Mniej więcej od tego czasu co kilka tygodni magazyn „Książki” publikuje pisane przez nią portrety pisarek i pisarzy – Jane Austin, Patricii Highsmith, Ernesta Hemingwaya, Joan Didion. Gdy siadamy w kawiarni przy placu Zbawiciela w Warszawie, trzymam w rękach jej „Dziewczynki. Kilka esejów o stawianiu się” (styczeń 2023).

Nie zdążę upić zbyt wiele mojego americano, które tak czule postawił przede mną sympatyczny wąsacz, a już wpadamy w środek czarno-białego filmu – zupełnie jak do króliczej nory. To dlatego,



że spytałam Weronikę Murek o metodę, jaką wykorzystuje w pracy nad opowieściami. Pamiętacie przedśmiertne słowo Charlesa Fostera Kane’a, tak, tego z „Obywatela...”? Na samym początku bohater filmu Orsona Wellesa wyszeptuje ni mniej, ni więcej, tylko „różyczka”, a historia jego życia, którą potem oglądamy, jest próbą znalezienia odpowiedzi na pytanie, dlaczego właśnie to słowo było jego ostatnim.

W języku angielskim o tym narracyjnym triku mawia się *foreshadowing*. W polskiej „prefiguracji” znika kluczowy dla sprawy rdzeń tego słowa, czyli „cień” (*shadow*), który daje obietnicę odpowiedzi, jednocześnie do końca trzymając ją w ukryciu. Różyczka Wellesa

stała się z biegiem lat klasycznym, choć niełatwym chwytem opowiadaczy, synonimem sytuacji, w której podrzucony przez autora na początku historii trop może ostatecznie wpuścić nas w maliny. Naturą cienia jest nieuchwytność. A kto rzuca cień? Cóż, właśnie odpowiedź na to pytanie najczęściej mówi o nas.

Świeże śledzie

Na długo zanim Weronika Murek debiutowała zbiorem opowiadań „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina”, prowadziła dobrze prosperujące wydawnictwo nieograniczające się do jednej serii ani gatunku. Jako dziewczynka marzyła o bibliotece. Pełna nowości księgarnia wydawała się najfajniejszym miejscem

do życia. Aby nadrobić powolne gromadzenie tomów, na starej drukarce rodziców zaczęła produkować autorskie egzemplarze, na wyciętych z kolorowego papieru okładkach pojawiły się złote ramki. Po pewnym czasie zorientowała się, że dzieła, które drukuje, wyglądałyby poważniej, mając jakąś treść. Do tego potrzebne były słowa, literki. Skąd jednak wziąć opowieści? Można na przykład rozstawić namiot.

Tak właśnie mówi o debiutanckim tomie opowiadań: – Zdaniem krytyki to namiot rozciągnięty na sześciu śledziach. Wszystko tu jest, po pierwsze (odlicza na palcach) dziwne, po drugie oldskulowe, wreszcie: trudne, enigmatyczne, surrealistyczne i absurdalne.



→ Śledzie były tak świeże, że olśniły krytykę i czytelników zmęczonych modną i rządzącą wówczas w literaturze satyrą na Polskę.

Mimo że światy przedstawione „Roślin południowych” przypominają szczelnie zamknięte pudełka, akwaria albo namioty właśnie, potrzebę ruchu, właściwą Murek, widać nie tylko w tytułach („W tył, w dół, w lewo”), ale również nierównej objętości tekstów. Pierwszy jest dużo dłuższy od kolejnych, można wy czuć, jak ich autorka przymierza się do różnych form i prędkości. Mamy zresztą w tych opowieściach do czynienia z nieustannym ruchem napięć, podpowiada Murek, jesteśmy na skrzyżowaniu światów i gatunków, ale też między żywymi i umarłymi.

– Taki ostry montaż i skrzyżowania niekoniecznie bezkolizyjne to coś, co najmocniej charakteryzuje te teksty – dopowiada.

Nie tylko światy przedstawione są tutaj hermetycznie szczelne, czarnymi skrzynkami są także bohaterowie Murek.

– To lalki, marionetki – przyznaje. – Zależało mi, by prowadzić narrację opowiadań w taki sposób, w jaki postrzega świat oko kamery. Co daje ten zabieg? Wywabia postaci z kryjówek, ale nie daje dostępu do ich wnętrza.

Bohaterowie „Roślin południowych” przymierzają się do różnych przestrzeni i form życia. Bohaterka „W tył, w dół, w lewo” nie chce uznać własnej śmierci i zająrzeć do trumny, w której leży jej ciało. Dotyka ją – jak to dziewczynkę – absurd pokrewny temu, jaki staje się udziałem Alicji: wpadła do króliczej nory i nie ma pojęcia, jakimi prawami rządzi się świat, w którym się nieoczekiwanie znalazła. Bohater kolejnego tekstu („Siwy koń w plamy kare”), mężczyzna, który czeka na wieczorny dancing, by na parkiecie wirować z nieznanymi kobietami, zamknięty zostaje w przeszklonej przestrzeni Café Europa, która staje się najważniejszą dla niego sceną (życia? śmierci?).

Mówiąc o potrzebie ruchu u Murek, nie sposób zapomnieć o ruchu wyobraźni. Jej światom nieustannie grozi przesunięcie, wydaje się, że wystarczy moment, by zapadły się pod swoim ciężarem.

– Czas też się zapętle – dodaje – w każdej opowieści wydarza się bardzo dużo, a na końcu okazuje się, że ostatecznie nie zmieniło się nic.

Studiowanie prawa nauczyło Murek czujności wobec słów. Stojący przed sądem ludzie próbują obejść prawdę, powiedzieć coś w taki sposób, by nie powiedzieć niczego.

To ją właśnie interesuje – moment, w którym język nas zdradza, wyprzedza.

Język w pudle

Właściwie już to pierwsze opowiadanie debiutanckiego tomu mogło zapowiadać, że kolejne teksty Murek będą pisane dla teatru – wszystko tutaj dzieje się w śmieszno-strasznych dialogach, gadaniu, wymianie okrzyków i póśłówek. „Rośliny południowe” dojrzewają więc w pełni w „Feinweinblein”. W jednym z wywiadów, komentujących pracę dramaturgiczną, autorka powołuje się zresztą na austriacką noblistkę Elfriede Jelinek: jej postaci także żyją tylko wtedy, kiedy mówią.

Studiowanie prawa wyposażyło ją w ten radar, nauczyło czujności wobec słów, wykształciło konieczną w tym zawodzie precyzję posługiwania się nimi. Analiza aktów prawnych to przede wszystkim opowieść o języku, ale też absurdalna, często groteskowa, choć i poruszająca historia konkretów, opis śladów i dowodów. Akta prawne to także opowieść o przedmiotach, dlatego poetyka konkretności jest tak ważnym elementem poruszającym wyobraźnię twórczą Murek.

Stojący przed sądem ludzie często próbują obejść prawdę, powiedzieć coś w taki sposób, by nie powiedzieć niczego, a ich historie brzmią nierealnie. To ją właśnie interesuje – moment, w którym język nas zdradza, wyprzedza. Markowanie opinii, powtarzanie zasłyszanych sformułowań, powielanie cudzych sądów, używanie fraz wytrychów. Poprzez nieporadność i zapełnienie, które ma opakować i zabezpieczyć prawdę, nasza mowa działa w sposób odwrotny – eksponuje to, o czym mówić nie chcemy, co wypieramy.

„Dar lektury jest darem wyodrębnienia niezwykłych i intensywnych zdań, ich dostrzeganie (...) jest w pewnym sensie ich stwarzaniem” – napisał kiedyś Je-

rzy Pilch i to zdanie bardzo dobrze pasuje do Murek. Bo też najwięcej można o niej powiedzieć na podstawie nie tego, co, ale jak pisze. Bez względu na to, czy mamy do czynienia z opowiadaniem, dramatem czy esejami, da się w jej książkach wyczuć głęboki namysł nad każdym słowem, a wręcz jego barwę i kształtem. Utwierdzam się w tej intuicji, gdy opowiadając o wybranych zdaniach ze swoich książek używa na przykład słowa „oble”. Oble to te, które inspirowane są językiem baśni. Poszukajcie!

Karnawał tożsamości

Gdy na moment milkniemy, a za oknem kawiarni rzeczywistość zagęszcza się w chmurach wirującego śniegu, przypominam sobie różowe od papierosowego dymu lata 80. Unoszone nad stołem pękaty kieliszki wskazują na wąsatego jubilata, usta gości zaś układają się w karpika – słychać niemalże gromkie „sto lat!”. Mała, pulchna blondynka ukradkiem zanurza palec w czyjejsz szklance. Na zdjęciu mam spódniczkę, ale niedługo wzgardzę dziewczynskimi przebraniem utrudniającymi fikołki, grę w badminton i podwórkowe bitwy. Wiele lat nie obchodzi mnie w ogóle definiowanie siebie poprzez płęć, nieświadomie unikam łatwej wizualnie identyfikacji. Pamiętam zaczepki obcych: ty jesteś chłopcem czy dziewczynką?

A wy? Kiedy po raz pierwszy pomyślałyście o sobie jako o dziewczynkach? Opowieści wielu kobiet, których miałam okazję wysłuchać, zanim spotkałam się z Weroniką, brzmią jak cudowne i straszne jednocześnie przygody Alicji z Krainy Czarów. To historie o osobach zbyt małych albo zbyt ogromnych. Nie mających wpływu na przemiany, którym podlegają, ale zmagających się z poczuciem winy za to, że – niekontrolowanie się przeobrażając – prawą nogę wystawiają przez komin, a lewą dłoń zmuszone są stłuc szybko. Oczywiście, nie byłśmy pierwsze i nie miałyśmy najgorzej. Nie zdawałyśmy sobie też sprawy, że dużo starsze dziewczynki, które podziwialiśmy w telewizji, także podlegały szorstkiej tresurze.

W esejach, które powstawały równoległe do prac nad spektaklem pt. „Dziewczynki” w reż. Małgorzaty Wdowik (Teatr Studio), Murek portretuje postaci, czasem istniejące tylko w naszej wyobraźni, które ukształtowały dziewczynkowatość popkultury. Zgłębiały historię Nieznajomej

z Sekwany (nastoletniej topielicy, której twarz z biegiem czasu przybrały manekiny do nauki sztucznego oddychania, tzw. Resusci Anne), czytamy nieocenzone fragmenty dzienników Anne Frank (ojciec dziewczyny wyciął z nich fragmenty dotyczące odkrywania seksualności), spotykamy prawdziwą Dorotkę z Kansas, która trafiła do Krainy Oz (różniącą się znacznie od swojego filmowego wcielenia), a wreszcie – zastanawiamy się nad fenomenem „Lolity” Vladimira Nabokova.

Są w tych tekstach niebinarne wróżki, są przemiany popularnego wśród młodych czytelniczek i czytelników gatunku powieści *coming of age* (o dorastaniu i odkrywaniu siebie), są rzeczy dziewczynom zabronione, dziewczynki niegodne, dziewczynki zawstydzające. Jest wreszcie sama Weronika Murek tuż przed zniknięciem w króliczej norze opowieści – zasłuchana w książki czytane jej w ogrodzie przez starszą kuzynkę. „W jej tonie głosu – i sierpniowym słońcu – było coś kojącego, coś, co mówiło, że świat – mimo wątpliwości, które czasem się pojawiały – jest bezpiecznym miejscem”.

Właśnie, bezpiecznym, bo „Dziewczynki” to nie manifest przeciw różnym przejawom kontrolowania i tresowania dziewcząt, który – jakkolwiek słuszny – nie byłby przecież niczym nowym. Popkultura od dawna konsumuje wszelkie oznaki kontestacji, dobrze na tym zjawisku zarabiając. W każdym z esejów Murek najbardziej interesuje ruch pomiędzy, „stawianie się”, moment stwarzania i przemiany, a dokładniej „marzenie o tożsamości, która może podlegać nieustannej zmianie”, albo inaczej: „złudzenie, że ludzkie życie ma szansę mienić się, musować, być w wiecznej podróży i ciągłym przeistaczaniu”. Interesują ją „migotliwe i płynne tożsamości”, ich „karnawał” wręcz. Przy czym – co ważne – nie ma tu potrzeby odnalezienia wcielenia ostatecznego albo pierwotnego.

Wbrew pozorom to całkiem proste. Z pewnością słyszeliście kiedyś jakąś małą dziewczynkę (w przypadku Murek to jej bratanica Basia) mówiącą „wczoraj byłam kimś, ale dziś już nie jestem, pobawię się w coś innego”. Alicja w Krainie Czarów mówi panu Gąsienicy: „Ja... ja właściwie nie wiem, proszę pana, kim teraz jestem... to znaczy

Dziewczynki Weroniki Murek

■ FRANCES GRIFFITHS



DOMENA PUBLICZNA X3

Dwie kuzynki z Cottingley w Anglii podczas spaceru spotykają wróżki i robią sobie z nimi selfie. Matka

jednej z nich zabiera fotografie na spotkanie spirytystyczne – trwa Wielka Wojna, ludzie szukają w spotkaniach z medium pocieszenia i nadziei. Do kółka spirytystów uczęszcza Arthur Conan Doyle, autor książek o Sherlocku Holmesie. Zaczyna interesować się sprawą, pisze o niej nawet do świątecznego wydania „The Strand Magazine”, zdjęcia dziewczyn z wróżkami zamieszcza jako ilustracje. Wybuchła skandal.

■ JUDY GARLAND



Pisarz L. Frank Baum, twórca „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”, wymyślił sobie następujące zadanie:

nie opowiadać ani o dziewczynce, ani o chłopcu, tylko o kimś, kto jest czystą energią życia. Dorotka z Kansas staje się pierwszą bohaterką dziecięcej literatury *fantasy*, jest wyemancypowana jak na swoje czasy – ma poczucie sprawczości, nie boi się okazywać gniewu. Filmowa wariacja na temat postaci Dorotki (w tej roli Judy Garland) utrwalił wizerunek, który Hollywood z czasem ukształtuje tak, by był jednocześnie marzeniem i towarem – serum dziewczynkowości.

■ ANNE FRANK



Po śmierci córki Otto Frank podejmuje decyzję o zredagowaniu i publikacji jej dzienników. Skraca zapiski

tak, by pasowały do koncepcji wydawcy, Holendra Gerrita Bolkesteina. Usuwa akapity, w których Anne wyraża się krytycznie o matce, cenzuruje też fragmenty dotyczące dziewczęcej seksualności. Wylatuje m.in. wpis, w którym Anne przygląda się swojemu ciału, zastanawiając się, jak może wyglądać seks i poród. ©© MOCH

wiem, kim byłam dziś rano, kiedy wstałam z łóżka, ale od tego czasu już chyba kilka razy musiałam się zmienić”. A potem – pod jego nieustępliwym spojrzeniem – dodaje coś, co wydaje jej się mimo wszystko niezwykłe: „Jestem... jestem dziewczynką”. Może zresztą nieprzypadkowo to właśnie Gąsienica, symbol jednego ze stadiów rozwoju motyli, jest adresatem tego wyznania.

– Chciałam pozostać przy temacie dziewczynek ze względów egoistycznych – puentuje Murek. – Odczarować ten temat dla siebie samej, dać mu wreszcie nieco światła.

Pinezki w sercu

Gdy wydawała swoje książki jako mała dziewczynka, już na pierwszej stronie zawsze ktoś umierał albo zapadał na zdrowiu, przynajmniej ze śmiechem. Trudno wyobrazić sobie mocniejsze rozpoczęcie dobrej *love story* niż mały nożyk wbity z zazdrości w serce kochanka. Jakież to, swoją drogą, wdzięczny dowód zbrodni. Ileż wspinał się do jej ukrycia!

Zawsze znajduje małe rzeczy, drobniaki i to poprzez nie próbuje się czegoś dowiedzieć o swoich bohaterach, domyślić, zobaczyć jak przez dziurkę od klucza. To, co się z takiego obrazu wylania – gdy pracuje na przykład nad portretem kogoś, kogo wszyscy doskonale znamy – nie pasuje do klasycznego, popularnego wizerunku złożonego z obiegowych opinii i schematów.

– Ten wizerunek – mówi Murek – muszę przede wszystkim zburzyć dla samej siebie. Tak powstaje coś w stylu ściany w piwnicy detektywa, którą wszyscy doskonale znamy z seriali kryminalnych. Wbijam pinetki przy różnokolorowych karteczkach, datach i zdjęciach, a potem łączę je czerwonym sznureczkiem, tworząc mapę. Gdy mapa jest kompletna, robię dwa kroki w tył, żeby sprawdzić, jaki kształt przybrała. Przy czym nigdy nie zdradzam rozwiązań, nie wyciągam wniosków. Czytelnikom pozostawiam mozaikę tropów, cień sprawcy. Resztę śladów zacieram, kryjówkę zasypuję.

W tym miejscu opowieści pozwałam Weronice Murek zniknąć na skrzyżowaniu tuż przed jednym z warszawskich teatrów. A sama robię kilka kroków w tył. Co widzicie?

©© MONIKA OCHĘDOWSKA



PIOTR KOSIEWSKI

Magdalena Abakanowicz, *Abakan – Situation Variable II*, 1971 r.,
kolekcja miasta Biel/Bienne, Szwajcaria.

Sploty

PIOTR KOSIEWSKI

Wystawa artystki nieustannie podkreślającej, że „nie jest tkaczką”, jest tego tkania nieoczywistą, wielką afirmacją.

PRACE MAGDALENY ABAKANOWICZ SĄ od lat wystawiane w prestiżowych muzeach, galeriach i przestrzeniach publicznych od Europy, przez Stany Zjednoczone, po Japonię. Jej monumentalna „Embriologię” (1978-1980) przez lata oglądały miliony gości odwiedzających Tate Modern w Londynie. Ale teraz jej obecność w Tate znaczy już coś zupełnie innego.

Nasza tkaczka

„Abakany przyniosły mi sławę światową, ale obciążyły sobą jak grzechem, do którego nie wolno się przyznać. Bowiem uprawianie tkactwa zamyka drzwi do świata sztuki” – mówiła artystka. A przecież prace wykonane w tej technice, pokazane na Biennale w São Paulo w 1965 r. (otrzymała Grand Prix), otworzyły jej drzwi do międzynarodowej kariery. Jednak w kolejnych dekadach coraz mocniej ograniczała swe związki z tkaniną. Grupy figur, ciał uproszczonych, wykonywane z jutowego płótna utwardzanego żywicą, a potem także z innych materiałów, stały się jej nowym znakiem rozpoznawczym.

Słowa artystki o tkaninie jako obciążeniu na długie lata narzuciły też sposób postrzegania jej twórczości. Stała się kłasycką współczesności, jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci w sztuce polskiej, lecz jej prace przestały budzić emocje, powtarzano o nich te same frazesy. Jakby zabrakło odwagi na wyjście poza narzuconą przez nią samą interpretację dorobku.

Obecna wystawa w Tate Modern, zatytułowana „Every Tangle of Thread and Rope” („Każdy splot nici i lin”), to monograficzny, ale nieoczywisty przegląd twórczości artystki. Są tu jej wczesne prace, ale przypomniano też o późnych, głośnych projektach, jak „Negev”, składający się z wielkich kamiennych kręgów ustawionych w 1987 r. w Jerozolimie, czy niezrealizowany, a w czasach katastrofy klimatycznej zaskakująco aktualny pomysł architektury arborealnej: budynków dla paryskiej dzielnicy La Défense z 1991 r., z których każdy miał mieć niegeometryczną, „drzewiastą” formę i obierać zielenią. Jednak cała wystawa skupia się właśnie na jej związkach z tkaniną.

Jerzy Stajuda pisał w 1965 r. (czas wielkich międzynarodowych triumfów artystki) na łamach „Współczesności”: „Sztuka uważana bądź co bądź za »uży-



Przygotowania do wernisażu, Tate Modern, Londyn, Wielka Brytania, 15 listopada 2022 r.

kową«, pasyżującą na malarstwie, nabiera w jej rękach jakości inspirujących. To nie tkaniny, ale raczej eseje na temat plastycznych możliwości tkaniny”. Dalej nazywał jednak Abakanowicz „naszą tkaczką”. I co tu się jej dziwić, że chciała uprawiać „sztukę czystą”?

Z życia

Abakanowicz była świadoma znaczenia warsztatowych umiejętności i fizycznego aspektu tworzenia: procesu łączenia nici, modelowania materiału, splątywania wątków. Podkreślała: „Między mną a materiałem, z którego tworzę, nie ma pośrednictwa narzędzia. Wybieram go rękami. Rękami kształtuję. Ręce przekazują mu moją energię. Tłumacząc zamysł na kształt, zawsze przekazują one coś, co wymyka się konceptualizacji. Ujawnia nieświadomione”.

Na przykładzie wczesnych prac, powstałych w latach 50. i pierwszej połowie

lat 60., można zobaczyć, jaki wpływ miały na nią fascynacje surrealizmem, abstrakcją geometryczną i malarstwem materii. Nie chodziło jednak o odtwarzanie obrazów za pomocą sznurka czy nici, lecz o tworzenie samoistnych dzieł. Bliskich klasycznym gobelinom czy kilimom, ale coraz bardziej skomplikowanych w fakturze, o wyrazistych, grubych splotach.

W kolejnych latach Abakanowicz będzie coraz śmielej odchodzić od rozumienia tkaniny jako płaszczyzny. Wykorzystuje wełnę, sizal, konopie i końskie włosie z jego specyficzną barwą i połyskiem. Wprowadza bardzo mocno element biologiczny, silnie wiążący się ze sferą natury, fizyczności. Wątek życia, narodzin, a potem odchodzenia będzie odąd stałe obecny w jej twórczości, od form zarodkowych, embrionalnych, jak w niezwykłej, obecnej na wystawie kompozycji „Embriologia” (1978-1980), składającej się z kilkudziesięciu różnej wielkości mię-

kich, jajopodobnych brył, przez rysunki na papierze, po niewielkie obłe obiekty wykonane z drutu i wypełnione końskim włosiem.

Co ważne, Tate Modern proponuje, by patrzeć na twórczość Abakanowicz poprzez jej biografię, wpisaną w losy naszej części Europy. Poprzez skomplikowane pochodzenie urodzonej w 1930 r. artystki: jej ojciec, Konstanty Abakanowicz, pochodził z zasłużonego dla Rzeczypospolitej rodu Tatarów, matka, Helena Domaszowska – z polskiej rodziny szlacheckiej. Uchodźstwa – ojciec po rewolucji październikowej opuścił Rosję, rodzina w czasie powstania warszawskiego musiała opuścić Warszawę. Wreszcie traumy wojennych przeżyć – w 1943 r. jako dziewczynka widziała, jak niemiecki żołnierz w ich własnym domu rani matkę. Wszystkie te wydarzenia wyczułają artystkę na przemijalność i kruchość życia.

→ Poszukiwania z lat 60. doprowadzają wreszcie do powstania słynnych abakanów. Tym właśnie obiektom, na tyle odrębnym, że nadano im własną nazwę, poświęcono w Tate Modern największą uwagę. Tworzą las obiektów – tajemniczych, zaskakujących, niekiedy groźnych. Pojawiają się w nich dziury, prześwity, narośle, wyrzyszenia. Wydobyto cielesny, wręcz erotyczny wymiar tych prac.

Abakanowicz podkreślała, że interesują ją uczucia, jakie ujawniają się w konfrontacji z utkanym przedmiotem. Abakany kuszą wręcz, by ich dotykać, poznawać specyfikę materiału, z którego zostały wykonane, ich fakturę, nierówności, szorstkość. I ten rodzaj reakcji z odbiorcą był przewidziany. Przypomina o tym film dokumentalny z 1970 r. „Abakany” (rozpoczęty przez Jarosława Brzozowskiego, a po jego śmierci ukończony przez Kazimierza Muchę). Oglądaliśmy widzów, którzy przeciskają się między pracami artystki czy zanurzają się we wnętrzach jej dzieł.

Co więcej, w latach 70. artystka wychodziła z abakanami w otwartą przestrzeń. Na przykładzie jej prac dobrze widać problemy, jakie niesie ze sobą proces „muzealizacji”. Prace – rzeźby, instalacje – stają się z upływem czasu historycznymi przedmiotami przeznaczonymi jedynie do kontemplacji. W Londynie ogląda się je pod czujnym okiem strażników, pilnujących, by nikt ich nie dotykał.

Dziś jeszcze wyraźniej widać, jak nowatorska była Abakanowicz tworząc abakany. Jej wystawa w Tate Modern pokazuje odejście od hierarchii ustalonej przez ostatnie wieki i docenienie dziedziny dotąd marginalizowanych, jak tkanina właśnie.

© PIOTR KOSIEWSKI

MAGDALENA ABAKANOWICZ.

EVERY TANGLE OF THREAD AND ROPE

Londyn, Tate Modern, wystawa czynna do 21 maja br., kuratorki: Ann Coxon, Mary Jane Jacob, Dina Akhmeedeva.

Następnie wystawa będzie pokazywana w Fondation Toms Pauli przy Musée cantonal des Beaux-Arts w Lozannie, 23 czerwca – 24 września 2023, oraz w Henie Onstad Art Center w Høvikodden, 26 października 2023 – 25 lutego 2024.

TOTEM POLES OF THE NASS / FACEBOOK

Nowe życie totemów

BARTOSZ HLEBOWICZ

Marius Barbeau sądził, że jego zadaniem jest ratowanie dziedzictwa indiańskiego, a sposobem na to miało być przekazanie dzieł ich rzemiosła do muzeów w Kanadzie i w Europie.

W KRÓLEWSKIM MUZEUM w Edynburgu od 1930 r. wystawiony był jeden z najpiękniejszych słupów totemowych z Wybrzeża Północno-Zachodniego (obszar Ameryki Północnej od południowej Alaski po Oregon, od wschodu graniczący z Górami Skalistymi). Delegacja ludu Nisga'a znad rzeki Nass w północnej części Kolumbii Brytyjskiej już w sierpniu 2022 r. udała się do Edynburga w tej sprawie. Kilka miesięcy wcześniej Nisga'a wydali oświadczenie, że kanadyjski etnograf Marius Barbeau ukradł z ich wioski (jej mieszkańcy przebywali wtedy na sezonowym polowaniu i polowie ryb) totem wzniesiony na cześć Ts'aawita, wodza, który zginął około 1860 r. w międzyplemiennych walkach.

W grudniu 2022 r. Chris Breward, dyrektor Narodowych Muzeów Szkocji, oświadczył, że „osiągnięte zostało porozumienie, na mocy którego słup zostanie przeniesiony do ludu, do którego należy, i miejsca, gdzie jego duchowe znaczenie jest najlepiej rozumiane”.

Totem ludu Nisga'a w Narodowym Muzeum Szkocji. Edynburg, luty 2014 r.





NEIL HANNA

Delegacja ludu Nisga'a w Narodowym Muzeum Szkocji. Edynburg, sierpień 2022 r.

Proste? Nie, nic w tej historii nie jest takie, jak się wydaje.

Odzyskać nasze opowieści

Słupy totemowe Indian z Wybrzeża Północno-Zachodniego to monumentalne rzeźby – sięgają nawet 25 metrów – pokryte przedstawieniami heraldycznymi z mitów i legend. Słupy należą do grup krewniaczych (nie „plemion”) i upamiętniają ważne dla rodu czy fratrii wydarzenia. Ustawiano je najczęściej przed domami albo dla oznaczenia grobów. Były czymś w rodzaju manifestacji praw rodziny, poświadczonych przez opowiadane w danym rodzie, symbolicznie wyobrażone narracje. Słupy drążono w pniach żywotników olbrzymich (w polskiej literaturze czasem błędnie tłumaczonych jako „cedry”). Opowieść czytało się z góry na dół, jako że poszczególne sceny i symbole rzeźbione były jedne pod drugimi.

„Usunąć je [z naszej ziemi], to jakby wyrwać rozdział konstytucji Kanady oraz najcenniejszy album ze zdjęciami rodzinnymi i umieścić je w muzeum w innym kraju, żeby cudzoziemcy mieli do nich dostęp codziennie” – powiedziała podczas pierwszej wizyty w Edynburgu członkini delegacji Nisga'a, Nox's Ts'aawit/Amy Parent, która jest też badaczką w Simon Fraser University.

Amy Parent napisała posłowie do książki o ponadnarodowym dziedzictwie Szkocji, która ukazała się w listopadzie („Scotland's Transnational Heritage”, red. Emma Bon, Michael Morris). Przedstawia w nim historię i cele batalii Nisga'a o odzyskanie słupa totemowego z muzeum w Edynburgu: „Wchodzę w historię, która zaczęła się na początku czasu i miała się zakończyć ponad sto lat temu w wyniku kolonialnych wysiłków podjętych przez rząd Kanady i chrześcijańskie instytucje religijne, które usiłowały realizować milczący i jawny program ludobójstwa (...). Repatriacja słupa jest częścią większego projektu badawczego, który zmierza do zgłębienia filozofii i pedagogicznych praktyk tradycji rzeźbiarskiej Nisga'a jako formy produkcji i przekazu wiedzy, która obejmuje repatriację i wyrzeźbienie nowego [słupa]”.

I fragment, który uważam za najważniejszy: kolonialne „spojrzenie” wygenerowało „całą masę szkodliwej i błędnej wiedzy”, dlatego pragnieniem autorki – i w ogóle wszystkich Nisga'a – jest „rzucić wyzwanie zapisowi etnograficznemu, aby odzyskać, wyprostować [re-right] i napisać od nowa nasze opowieści, które wzmocnią nasze fundamentalne prawa człowieka, do godności i do samostanowienia”. Przekaz jest jasny: dzisiaj to Nisga'a chcą sami opowiadać swoją opowieść.

Do Edynburga trafił jeden słup totemowy. Wiele przedmiotów należących do Nisga'a (w tym inne słupy), zebranych przez Barbeau, znalazło się w Królewskim Muzeum Ontario w Toronto. Dzisiaj Nisga'a współpracują z muzeum nad sposobem „sprowadzenia z powrotem artefaktów na ziemię Nisga'a, aby uwolnić ich duchy i pozwolić na wypełnienie ich cyklu życiowego” (jak ujęła to Allison Nyce, inna badaczka pochodząca z Nisga'a).

„Królewskie Muzeum Ontario z kolekcją Mariusa Barbeau to miejsce, w którym naród Nisga'a może odzyskać siłę. Tak niewiele nam pozostało z naszej historii i kultury. Z winy chrześcijaństwa i szkół rezydencjalnych straciliśmy bardzo dużo (...). Musimy włączyć na nowo te artefakty do naszej społeczności” – przekonuje Nyce i przypomina, że kiedy w latach 70. XX w. delegacje rodzin Nisga'a wizytowały muzea w Ottawie i Toronto, ze zdumieniem oglądały imponujące kolekcje przedmiotów należących do ich przodków, często już nie znając ich funkcji.

Muzeum w Toronto zapowiedziało, że w porozumieniu z Nisga'a wykona replikę najwyższego ze słupów w swej kolekcji, słupa Sagaween, i zostanie ona przekazana potomkom rodu, do którego należał. W ostatnich latach muzeum →

*Wesele u Indian Kwakiutl
– panna młoda (w centrum)
pomiędzy dwiema
tancerkami. Pierwszy z lewej
– jej ojciec, pierwszy z prawej
– ojciec pana młodego.
Kolumbia Brytyjska, Kanada,
listopad 1914 r.*



EDWARD SHERIFF CURTIS / LIBRARY OF CONGRESS

→ odesłało także dwa słupy totemowe Indianom Haida.

Atmosfera totemów

Marius Barbeau, urodzony w 1883 r. w Sainte-Marie-de-Beauce w Quebecu, w poważanej rodzinie francuskich Kanadyjczyków, miał zostać księdzem albo notariuszem w rodzinnej miejscowości. Szybko jednak zniechęcił się do tych pomysłów.

Studiował antropologię na Oksfordzie i na Sorbonie. Dwie grupy, którymi zajmował się wiernie przez całą karierę od czasu powrotu do Kanady, byli Indianie i wiejskie społeczności Kanadyjczyków francuskiego pochodzenia.

Odbył w sumie 28 podróży badawczych do osad francuskich w Quebecu, a także do społeczności irokeskich, hurońskich i przede wszystkim różnych grup Tsimshian w północnej części Kolumbii Brytyjskiej. Był badaczem i popularyzatorem „pierwotnej” (zarówno indiańskiej, jak i „ludowej” francusko-kanadyjskiej) sztuki i rękodziela, upatrując w nich zarzewie, surowiec do ulepienia narodowej sztuki kanadyjskiej.

Barbeau był zafascynowany „atmosferą totemów” (jeden z jego naukowych artykułów nosi właśnie taki tytuł) i urzeczony ich pięknem. Tak o nich pisał w 1930 r.: „Ich dekoracyjny styl jest wyjątkowy i przewyższa w swej doskonałości wszystkie inne formy pierwotnej

sztuki. Wyrażają one tubylczą osobowość i sztukę rzemieślniczą w sposób intrygujący i robiący wrażenie”.

Według Barbeau zlecającym wykonanie totemów do upamiętnienia znakomitego zmarłego członka rodu chodziło o zaprezentowanie swojej własnej tożsamości.

Ale zdarzało się też, że Indianie tworzyli je po prostu na sprzedaż białym. Gdy nastało chrześcijaństwo, czasem sami chwytały za siekiery, ścinały je i sprzedawały muzeom w Europie i Ameryce. Niektóre ozdobiły parki w miastach. „Te malownicze dzieła – podkreślał – można jednak w pełni docenić tylko w ich prawdziwym domu, na skraju oceanu, pośród żywotników i choin, w cieniu wyniosłych gór”. Dlaczego więc sam angażował się w ich przenoszenie do muzeów kanadyjskich i europejskich?

Uratować nietknięte

Barbeau i inni antropologowie usiłowali zachować dla potomności ślad „znikających” kultur tubylczych. Fotograf Edward Sheriff Curtis na początku XX w. utrwalił na 40 tysiącach fotografii przedstawicieli 80 plemion w „tradycyjnych” strojach i wykonujących tradycyjne prace – efektem była licząca 20 tomów publikacja „The North American Indian”. Prócz tego Curtis nagrywał wywiady i pieśni indiańskie, co dziś stanowi bezcenne źródło wiedzy nie tylko dla badaczy, ale i dla

współczesnych Indian. Barbeau siedł w jego ślady; gromadził tubylcze artefakty i, jak mniemał, ratował je od zaginięcia.

W 1924 r. narzekał, że „dzisiejsi Indianie już nie są tym, czym byli, ich odwieczne zwyczaje odeszły, ich charakter przepadł”. Uważał, że zadaniem antropologa jest rekonstrukcja „autentycznych tubylczych kultur”, rzekomo nietkniętych wpływem białego człowieka. Sądził, że jego zadaniem jest ratowanie dziedzictwa indiańskiego, a sposobem na to było przenoszenie dzieł tubylczego rzemiosła do muzeów, głównie w Kanadzie, ale też w Europie.

Faktycznie, w muzeach słupy totemowe przetrwały. Barbeau zauważał, że już w jego czasach wiele z nich, pozostawionych w indiańskich wioskach, bułwiało i ginęło naturalną śmiercią. Tyle że, przypominają dziś rdzenni mieszkańcy Wybrzeża Północno-Zachodniego, ich znikanie – „powrót do ziemi” – było czymś naturalnym i pożądanym. Dopełnieniem cyklu – jak ujmuje to Allison Nyce.

Z drugiej strony społeczności tubylcze same zaczynają organizować własne muzea i galerie, w których wystawiają odzyskane przedmioty. A kiedy stan artefaktów nie pozwala na przeniesienie, wymyślone są rozwiązania pośrednie, jak w przypadku słupa totemowego Sagaween.

Kim był Tsawit?

Co wiemy o szkockim totemie od samego Barbeau? Według opisu zawartego w jego dziele „Totem Poles” słup należał do Neestsawla, wodza fratrii Kruków znad rzeki Nass, i upamiętniał wodza Tsawita (miał być następcą Neestsawla), który podobno zginął w walkach z sąsiednią grupą ok. 1860 r. Totem powstał mniej więcej w latach 1863-1865 (tak wynika z relacji głównego informatora Barbeau, Lazarusa Moody’ego, przedstawionego jako wódz rodu Wilka w Gitrhadeen). Barbeau podaje, że właścicielką słupa była żona Moody’ego, Ntsitska. Antropolog opisał słup totemowy Tsawita jako jeden z „najwspanialszych i najstarszych w kraju”.

Zwróćmy uwagę, że Ts’aawit to indiańskie nazwisko Amy Parent, która w posłowie do książki o szkockim dziedzictwie podaje też, że jej prapraprababką była Joanna Moody (nazwisko informatora Barbeau) i że to ona kazała wyrzeźbić rzeźbiony słup totemowy na cześć Ts’aawita.

Nie jestem w stanie zbadać sieci pokrewieństwa Neestsawla-Ts’aawit-Moody ani ustalić historycznych i obecnych praw własności słupa. Ekscytująca byłaby hipoteza o XXI-wiecznej odsłonie dawnej totemowej rywalizacji grup krewniczych. W sumie nic nadzwyczajnego, ale nie w tym rzecz.

Przejęcie

Rozpatrywanie w kategoriach prawdy i fałszu wypowiedzi dotyczących „kradzieży” i powrotu do ojczyzny słupa totemowego Ts’aawita nie pomoże nam zrozumieć tej historii. Bardziej przydatny jest koncept „wydarzenia epitomizującego”, ukuty w 1989 r. przez Raymonda Fogelsona, badacza dziejów i kultury Czirokezów. Fogelson mianem tym określał „opowieści, które kondensują, streszczają i dramatyzują długofalowe procesy historyczne”. Mówił o tych nie-wydarzeniach wprost jako wymysłach, które jednak posiadają „tak nieodparty walor i tak potężną moc wyjaśniającą, że szybko rozprzestrzeniają się w całej grupie i przybierają własną rzeczywistość etnohistoryczną”.

Czy zatem prawdą jest, że Barbeau ukradł totem? Nie wiemy tego na pewno. Dysponujemy tylko zarzutem współczesnych Indian oraz jego informacją, że zakupił go od konkretnej osoby. Jeśli wykopał go w wiosce opuszczonej tymcza-

Czy prawdą jest, że Barbeau ukradł totem Ts’aawita?

Rozpatrywanie tej historii w kategoriach prawdy i fałszu nie pomoże nam w jej zrozumieniu.

sowo, można mówić o kradzieży (jako etnolog powinien wiedzieć, że osady Indian na Wybrzeżu Północno-Zachodnim są sezonowe). Jeśli w opuszczonej od dawna osadzie – jego wina jest już mniej oczywista.

O innym ze słupów, o których tu mowa, tym z Sagaween, Barbeau pisał, że stał „mocno pochylony nad rzeką w opuszczonej wiele lat wcześniej wiosce, której mieszkańcy odeszli lub wymarli”. Według Nyce muzeum i Barbeau nie wiedzieli, że rodzina właścicieli wcale nie wymarła, więc tytuł własności pozostał przy niej. Ale nie oskarża nikogo o kradzież.

Tak czy inaczej, rzekoma kradzież jest właśnie wydarzeniem epitomizującym, ponieważ stanowi opowieść prawdziwą dla tych, którzy ją snują, i wyraża głębszą prawdę na temat procesu historycznego. Trudno odmówić racji Noxa Ts’aawit, czyli Amy Pater, kiedy pisze o utracie tubylczej autonomii i kultury z powodu działań białego człowieka. Antropologowie, mimo dobrych chęci, bywali forpocztami procesu uprzedmiotawiania rdzennych społeczności, nawet jeśli faktycznie zawdzięczamy im ocalenie ogromnego tubylczego dorobku.

Wystarczy wspomnieć Franza Boasa, który znacznie przyczynił się do usankcjonowania antropologii jako gałęzi badań w XX w., i z którym Barbeau utrzymywał kontakt. Boas przedstawiał się Indianom z Wybrzeża Północno-Zachodniego jako wódz z dalekiego kraju, a zyskiwał ich zaufanie wydając uczty, podczas których kupował tanio maski i koce. W ramach „ratowania tego, co się da”, amerykańscy i europejscy antropolodzy dopuszczali się grabienia indiańskich grobów, łącznie z wykopywaniem szkieletów. Boas przyznawał wprawdzie, że „wykradanie kości z grobów nie jest przyjemne, ale ktoś to musi robić”.

Mierzenie czaszek posłużyło mu do naukowego orzeczenia, że popularna wtedy idea czystej rasy jest absurdalna, ponie-

waż „w obrębie tego samego plemienia znaleźć można bardzo różne czaszki”. Ale też na tej działalności zarabiał, sprzedając czaszki Państwowemu Muzeum w Waszyngtonie, Muzeum w Berlinie oraz pokazując je na Wielkiej Wystawie Kolumbijskiej w Chicago w 1893 r. „Tej nocy śniły mi się czaszki i kości – pisał w 1888 r. – Bardzo nie lubię pracować z tymi rzeczami, tzn. nie lubię ich zbierać. Co innego posiadać” (skądinąd Boas bronił tradycyjnej kultury Indian Wybrzeża Północno-Zachodniego m.in. zwalczając wydany przez rząd kanadyjski zakaz ceremonii potlaczcy).

Barbeau, o ile mi wiadomo, czaszek nie wykopywał, ale kupował słupy totemowe i odsprzedawał je muzeom. Sam więc też korzystał. A społeczności tubylcze pozbawiane były ważnych elementów swojej kultury albo – zależy jak na to spojrzeć – oddawały je na przechowanie.

„Zbiory Barbeau nadal będą odgrywały ważną rolę w naszej historii, ale to my, naszymi opowieściami ustnymi, będziemy nadawać mocy jego słowom. Należy pamiętać, że to nasze ustne opowieści zawierały prawdziwą historię; materiał Barbeau uzupełniał prawdę, którą nieprzerwanie posiadali pierwsi właściciele” – puentuje Allison Nyce.

„Odnaleźć nasze prawdziwe ścieżki” – takie słowa usłyszałem kiedyś od mojej informatorki z grupy Nanticoke-Lenni Lenape z południowego New Jersey, kiedy opowiadała o tym, jak jej społeczność próbuje „przypomnieć sobie” indiańskie zwyczaje. Przez lata uważana za „ludność kolorową”, w której wymieszwały się krew „biała”, „czarna” i tubylcza, w ostatnich dekadach postanowiła uwypuklić swoje korzenie indiańskie. Wydaje mi się, że Amy Pater, Allison Nyce, Nisga’a i tubylcze społeczności na całym świecie próbują dziś robić właśnie to: w poszukiwaniu „autentyczności” (tej samej, której ocalenia pragnął Barbeau!) snują własną wersję opowieści, by w ten sposób odzyskać podmiotowość – bo przejmując kontrolę nad własną przeszłością, rewindykują także prawo do decydowania o swojej przyszłości.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

Autor jest dziennikarzem i antropologiem. Opublikował książkę „Odnaleźć nasze prawdziwe ścieżki” o politykach tożsamościowych współczesnych grup indiańskich na Wschodnim Wybrzeżu USA.

Bóle fantomowe

ANITA PIOTROWSKA

Na ekranie rzadko się zdarza, by tak rozdzierająco, a zarazem szczerze i empatycznie, wyrażać emocjonalność. Na dodatek w męskim czy chłopięcym wydaniu.

PEWNIE ZA WCZEŚNIE, BY DOPATRYWAĆ się nurtu czy tendencji, ale u wielu filmowców będących dziś około trzydziestki wyczuwa się nową wrażliwość. Inaczej opowiadają o bliskości i jej utracie, czujniejszym okiem spoglądają na czas dorastania, odważniej mierzą się z problemem depresji. I przede wszystkim poszukują własnego języka dla sfilowania bardziej złożonych uczuć.

„Aftersun” Charlotte Wells i „Blisko” Lukasa Dhonta to przykłady takiego właśnie nadwrażliwego kina. Przy licznych różnicach łączy je coś jeszcze – biorąc pod uwagę wiek i skromny dorobek twórców, mamy do czynienia z tytułami wyjątkowo dojrzałymi pod względem filmowej roboty. Świadczą o tym nie tylko festiwalowe nagrody, lecz i reakcje widzów z różnych pokoleń, którzy znajdują na ekranie coś dotkliwie prawdziwego.

Właściwie mogłyby zamienić się tytułami. Film Wells cały zrobiony jest z bliskości, u Dhonta zaś po słonecznej pogodzie nie zostaje nic prócz bolesnych oparzeń (*aftersun* oznacza łagodzący środek po opalaniu). Oboje zabierają nas do krainy dzieciństwa i wieku niewinności, chwytając w locie ten moment, kiedy wszystko jeszcze wydaje się możliwe i za chwilę nic już nie będzie takie samo. Bohaterka „Aftersun” przywołuje wspomnienia swoich wakacji z lat 90. spędzonych z tatą w tureckim kurorcie; „Bliskość” to współczesna opowieść o gwałtownie przerwanej przyjaźni dwóch chłopców z belgijskiej wsi. W pierwszym filmie, wyświetlanym z perspektywy wielu minionych lat, przez cały czas coś wisi w powietrzu i nawet jeśli

w drugim nic nie zwiastuje raju utraconego, od początku zasysa nas intensywna, nieco zwodnicza zmysłowość obu tych światów. Prekursorką takiego kina była kiedyś Sofia Coppola, twórczyni – *nomen omen* – „Przekleństw niewinności”.

Bo z dziecięcych wywczasów nie zapiśszą się w głowie zabytki i pomniki przyrody. Filtr pamięci przepuści zapach wody w basenie, dotyk słońca, smak topiących się lodów i wszechobecność „Macareny”. Na takich plastikowych rozrywkach, błahostkach, błogich chwilach nudy skupia się Wells. Kadruje swój obraz, podążając za wzrokiem jedenastoletniej Sophie (w tej roli odkrycie – żywiołowa Frankie Corio), uzbrojonej w polaroid lub kamerę wideo. Ale czasem w jej kadr przypadkiem wciska się coś więcej. Z perspektywy dorosłej już bohaterki coraz więcej miejsca zajmuje w nim widmowa postać Caluma (nominowany do Oscara wybitny Paul Mescal), który przedwcześnie został ojcem i lata temu, po rozstaniu z matką Sophie, opuścił rodziną Szkocję. Pierwsze wspólne wakacje z córką na pozór przebiegają zgodnie z planem, mimo iż kurort nie zasługuje na trzy gwiazdki, pokój okazał się niezgodny z ofertą, a taty nie było stać na *all inclusive*. Najważniejsze, że przeżyją razem ten szczególny, więziotwórczy czas, który pozostanie w niej już na zawsze. Tymczasem świat jej taty po cichu rozpada się na kawałki.

Inspirując się luźno własnymi przeżyciami z dzieciństwa, Wells filmuje ów ledwie dostrzegalny rozpad, obecny też wyraźnie we fragmentarycznej narracji i takiejże optyce „Aftersun”. Dlaczego trzy-

dziestoletni mężczyzna na śródziemnomorskich wakacjach nie śpi po nocach i łka w samotności, musimy sami się domyślić. Reżyserka podsuwa rozmaite sugestie, a w przeblyskach pamięci dojrzałej Sophie ożywają pozornie nieistotne obrazy z hotelu i okolic. Dzięki ojcowskiej apatii dziewczynka miała zresztą liczne okazje, żeby spróbować zakazanych owoców i wiele jej przygód balansowało na granicy ryzyka. Dopiero sama będąc rodzicem dostrzega, ile kosztowały Caluma jej najlepsze w życiu wakacje. Choć przecież intuicyjnie czuła, że coś było nie tak.

Także dla trzynastoletniego Léo (Eden Dambrine) z „Bliskości” to będzie ostatnie takie lato. Wraz z początkiem roku szkolnego jego przyjacielska i, być może, przederotyczna relacja z Réimim (Gustav De Waele) zostaje zerwana pod wpływem rówieśniczych naigrywań. Za swój wstyd i wyparcie się ukochanego przyjaciela chłopiec zapłaci cenę najwyższą z możliwych. A Dhont po mistrzowsku przeprowadza swego bohatera, jego bliskich i nas razem z nimi przez różne stadia i odcienie tej rozpacz. Chwilami stężenie emocji, nieskłamanych filmowym i aktorskim schematem, jest tak wysokie, iż nawet zartwardziały cynik będzie niemal fizycznie współodczuwać z bohaterem.

Równocześnie, niczym w „Aftersun”, ujmuje delikatność, z jaką młody reżyser uruchamia proces tej identyfikacji, aczkolwiek w porównaniu z filmem Wells sięga po bardziej tradycyjne środki. U Dhonta prawie wszystko rozgrywa się na naszych oczach, emocje są na wierzchu, cała operacja, choć prawie bez słów, odbywa się na żywo. Musi więc boleć, chociaż w końcu





MATERIAŁY PRASOWE

AFTERSUN

– reż. Charlotte Wells. Prod. Wielka Brytania/USA 2022. Dystryb. M2 Films. W kinach.

BLISKO (Close)

– reż. Lukas Dhont. Prod. Belgia/Holandia/Francja 2022. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 17 lutego.

Charlotte Wells (ur. 1987) to szkocka reżyserka i scenarzystka, której debiut „Aftersun” został uznany za najlepszy film minionego roku przez prestiżowy magazyn filmowy „Sight and Sound”.

Lukas Dhont (ur. 1991) jest belgijskim reżyserem i scenarzystą. Jego pierwszy film, „Dziewczynka” (2018), był kandydatem do Oscara, a „Blisko” otrzymał nominację m.in. do tej nagrody.

przyniesie oczyszczające efekty. W drugiej historii wyobcowanie, zmęczenie, poczucie życiowej (również finansowej) porażki ujawniają się mimochodem i poniewczasie. Zdają się częścią czegoś większego, co nie mogło być uleczone kolejnym piwem, sesją medytacji bądź tai chi. I pozostanie do końca niewysłowione.

Czyli film o ukrytej męskiej depresji? A może o dysfunkcyjnym ojcostwie w potrzasku społecznych ról? Podpowiedzi dostarcza reżyserka za pośrednictwem muzyki, kreatywnie wykorzystując hity dwóch ostatnich dekad XX wieku. Stąd trudno opędzić się od ukrytych znaczeń przy „Losing My Religion” grupy R.E.M., śpiewanym przez Sophie podczas karaoke, czy „Under Pressure” Davida Bowiego i Queen. Stary dobry pop działa w „Aftersun” jak wehikuł czasu i to w dwójnasób. Dla Caluma jest ekspresją kogoś, kim był głęboko w środku, dla jego córki – wspomnieniem odzyskanego na chwilę ojca. Ścieżka dźwiękowa łączy w sobie jego ówczesną melancholię i jej dzisiejszą nostalgię.

Na ekranie rzadko się zdarza, by tak rozdzierająco, a zarazem szczerze i empatycznie, wyrażać emocjonalność, na dodatek w męskim czy chłopięcym wydaniu. Nagie, bezbronne plecy taty, który mimo wszystko zamierzał dobrze się bawić na wczasach z rzadko widywanym dzieckiem, albo ciepły dotyk, który niespodziewanie rodzi się z braku innej bliskości – to tylko pojedyncze obrazy fantomowego bólu, wywołanego deficytami psychicznymi lub konkretną stratą. W obu przypadkach składają się na kameralne kino wielkiego formatu. ©

Lektor:

Kraków 1496



■ Maciej Hen
SEKRETARIO

Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2023,
ss. 462.

KIEDY PRZED OŚMIU LATY MACIEJ HEN WYDAŁ „SOLFATARĘ”, liczącą ponad 900 stron powieść, której akcja toczy się w XVII-wiecznym Neapolu, zapanowała konsternacja. Z ust krytyka naprawdę wybitnego zdarzyło mi się słyszeć: „Co to właściwie jest? Jakiś Dumas?”. Jakby snucie barwnych i wciągających opowieści nie było jednym z zadań literatury, jakby portretowanie przeszłości nie służyło poszerzeniu naszej własnej samowiedzy... I tylko jury Nagrody Gombrowicza uznało, że ta wybitna książka warta jest wyróżnienia.

Maciej Hen (rocznik 1955) zdążył tymczasem wydać następną powieść, współczesną („Deutsch dla średnio zaawansowanych”), i dokumentalną rzecz o Beatlesach w Polsce. Jego debiut opublikowany pod pseudonimem Maciej Nawariak („Według niej”, 2004) przełożono na angielski. Teraz mamy znów przeszłość, i to odległą niż w „Solfatarze” (rok 1496), ale geograficznie bliższą – mianowicie Kraków. I grę z tradycyjnymi gatunkami – bowiem „Sekretario” to powieść epistolarna. Autorką listów jest młoda kobieta, Gredechin Specht, która wyruszyła z Heidelbergu w świat, by zaspokoić swój głód wiedzy (i niezależności). Adresatką – jej przyjaciółką z dzieciństwa, Enneleyn, prowadzącą w rodzinnych stronach ustatkowane życie mężatki i matki.

Dzięki Konradowi Celtisowi („Societas Litteraria Vistulana”) Gredechin trafiła do Krakowa, gdzie studiuje medycynę, a w Krakowie – do domu Kallimacha, czyli Filipa Buonaccorsiego. Opuszczając Heidelberg, Gredechin zmieniła się w chłopca, Georga Starkfausta, i z przybraną tożsamością staje się studentką Akademii, a także coraz bliższą współpracowniczką Kallimacha. Włoski humanista, który musiał uciekać z ojczyzny, zamieszany w spisek przeciw papieżowi, poeta, nauczyciel młodych Jagiellonów (kardynał Fryderyk Jagiellończyk okazał się niepowodzeniem wychowawczym) i dyplomata królewski, jest już odsunięty na boczny tor, chętnie wraca do minionych lat, do rzymskich awantur i ucieczki, do wędrowki przez wyspy greckie i Turcję... A w tle jego biografii mamy wielojęzyczny Kraków i Kazimierz, dokąd wypędzono już krakowskich Żydów – wątek ważny, bo to u nich Gredechin/Georg znajduje wsparcie, zarazę, podczas której bohaterka niesie pomoc chorym, pochod biczowników. Materiał na film z jakąś polską Tildą Swinton.

Kim stanie się Georg po śmierci mistrza? Tego nie wiemy, ale autor podsuwa pewien interesujący trop... Którego nie zdradzę. Sami znajdziecie. ©P

OLGA

Drenda:

Pokusa zdurnienia



PTAKI UCZĄ SIĘ ŚPIEWU OD SIEBIE NAWZAJEM, dlatego powtarzają te same melodie. My, ludzie pióra, nie jesteśmy wcale tacy od nich różni, dlatego zdarza się, że nie tyle papugujemy po sobie, co stajemy się podatni na chwilowe konwenanse i mody, nawet

gdy uważamy się za bardzo samodzielnych – niestety. Sama więcej niż raz zawiniłam i napisałam coś dlatego, że wydawało mi się, iż „tak się robi i mówi”, albo zwyczajnie z głupiej nieostrożności. Potem było mi lyso. Staram się pilnie strzec tych pułapek i bez litości wyciągać wobec siebie konsekwencje, ale nie jest to łatwe – tę upartą wewnętrzną papugomałpkę trzeba pacyfikować bez końca.

Zjawisko to przejawia się różnie, np. kiedy bezwiednie zakładamy, że film aktualnie uchodzący za ważny musi do nas przemówić, stając się i dla nas ważnym. Albo dla odmiany coś przeciwnego: za dużo tego słodzenia, teraz będziemy złośliwi, sarkastyczni jak za dawnych lat prawdziwego dziennikarstwa! Wtedy przy okazji obrywają zupełnie Bogu ducha winni i celujemy z armat do robaczków. Używamy słów wytrychów. Wkręcamy się w dyskusje, nie zauważając, że zadane pytanie było z tezą. Interpretujemy coś zgodnie z kluczem, który obecnie wypada stosować (sprawdzić, czy autor nowej książki nie pochodzi z małego miasta: jeśli tak, na pewno przemawia przez niego kompleks pochodzenia i niepewność awansu; jeśli dużo dyskutuje się o ekologii czy algorytmach, odruchowo dodajemy o tym akapit, nawet pisząc o cieście, itp., itd).

Są to zjawiska, które toczą się często bezwiednie i mimo nas. Na ogół też nie wynika z nich nic groźnego, najwyżej pretensjonalność i chwila ciarek wstydu, lecz wystarczy starać się być coraz lepszym, by odkupić te grzeszki.



Uczymy się
od siebie
jak ptaki
i tak
pogdakujemy.

OLGA DRENDA

Ostatnio jednak zauważam, że czasem pojawia się tendencja odwrotna i ktoś znajduje upodobanie w byciu coraz gorszym: jawnie udaje głupszego, za nic ma wszelkie zasady uczciwej dyskusji (czyli takiej, w której się nie zgadzamy, ale dopuszczamy różne stanowiska), stosuje heurystyki i chwytły poniżej pasa, zakłada cudzą złą wolę, przeinacza. Na swoje potrzeby nazywam to pokusą lub przyjemnością zdurnienia. To już poważniejsza sprawa.

Na ogół przemiana ta dotyka ludzi znanych już wcześniej jako bystrzy i zdolni do własnego namysłu, stąd głosy ich zdziwionych znajomych: „Stary, co ci się stało, co ty wygadujesz?”. Trudno im bowiem, i słusznie, pogodzić się z tym, że człowiek mądry zaczyna prawić rzeczy durne, poniżej własnego poziomu, czy takie, z których jeszcze niedawno sam by się śmiał. Na ogół zjawisko to możemy zaobserwować w popularnej publicystyce internetowej, a mechanizm jest podobny: ze zjawiska błahego czy niezbyt kontrowersyjnego, jak neologizmy, moda czy czyjś *tweet*, należy uczynić wzgórze, na którym warto zginać, po czym zastosować wszystkie możliwe metody nieuczciwej dyskusji, a rzeczowe odpowiedzi pomijać.

Oto pewien inteligentny skadinąd człowiek głowi się publicznie nad tym, czy zlecając wymianę okna ma zwracać się do „pani szklarz” czy też „szklarki”. Odpowiedź „jak wolisz” lub „wystarczy »proszę pani«” nie satysfakcjonuje go i rozpoczyna kłaunadę, pytając zawzięcie, jakie konsekwencje czekają go za zastosowanie „niewłaściwej” formy (żadne, lecz i to ignoruje). Inny człowiek, również niegłupi, ubolewa nad tym, że celebryta założył ekstrawagancki strój. Przekonuje, że to dowód na upadek cywilizacji i że to właśnie dlatego dzieci w szkołach mają depresję, a z demografią jest marnie – zupełnie, jakby wyraził wizerunek nie był od dawna wliczony w zawód gwiazdy i jakby nigdy nie słyszał Prince’a (wiele traci). Z pełną powagą grozi tzw. pochyląm zboczem, czyli przekonaniem, że może być wyłącznie gorzej. Zapewne wie, że to nieprawda, ale co z tego?

Przypomina to utyskiwania Genowefy Pigwy: „Oj, co to się porobiło na tym świecie”. Ale Pigwa była postacią kabaretową, w dodatku oburzającą się na niby, bo w Napierstkowie faktycznie nie siedzieli pod kamieniem. Można szukać pragmatycznego uzasadnienia: „Jeśli chcę być czytany, muszę być widoczny, a w tym celu muszę angażować. Nic tak nie angażuje jak komentarze i dyskusje, więc napiszę coś, co może jest poniżej pasa, ale gwarantuje widoczność”. Wtedy trzeba winić nieuczciwe zasady gry w internecie.

Ale jest coś jeszcze, dlatego piszę o przyjemności zdurnienia, w której do tej niebezpiecznej zabawy przystępujemy świadomie. Przyznał mi się do tego przed laty pewien autor w rozmowie w cztery oczy. „Przecież pan wie, że to nieprawda”, powiedział mi, gdy stawiał w pewnej sprawie ewidentnie fikcyjny zarzut. „Zapewne ma pani rację, ale ja czuję, że jestem na wojnie”, odpowiedział zupełnie na serio. Co za silne emocje muszą wchodzić tu w grę! Zdurnienie, to wyrachowane albo dla czystej frajdy stosowania ciosów poniżej pasa („nareszcie nie muszę być taki kulturalny!”), może się zacząć od przymierzania karykaturalnej maski, ale później można faktycznie uwierzyć, że jest się Sokratesem albo herosem, i z tej ścieżki może nie być odwrotu. ©

PAWEŁ

Bravo: Składniki zmian



TRZYDZIEŚCI CZTERY RODZAJE PRZYPRAW mam w słoikach, torebkach, puzderkach i spiętych recepturką papierkach na pod ręcznej kuchennej półce i w przegródce w spiżarni. Tak naprawdę wala się ich nieco więcej, ale liczyłem tylko te, co do których pamiętam, że zostały użyte choć raz w trakcie ostatniego roku. Takie było wstępne założenie pierwszego badania z ambicjami naukowego rygoru na temat przypraw we współczesnej Polsce. Znany z tych łamów Łukasz Łuczaj oraz Cecylia Marszałek z Uniwersytetu Rzeszowskiego, naczelną historyk staropolskiej kuchni Jarosław Dumanowski z UMK w Toruniu oraz Fabio Parasecoli, nowojorski profesor *food studies*, ustalili drogą ankietową, że przeciętny Polak (a raczej Polka) w trakcie roku używa siedem i sześć dziesiątych rodzajów przypraw. Czy to korzeni, czy to ziół, a także ich mieszanek w postaci świeżej, suszonej, sproszkowanej oraz płynnej.

Raport możecie znaleźć i przeczytać na stronie fachowego czasopisma „Plants”. Komu jednak resztkę wolnego czasu żeżało smażyć faworków, z tym się podzieliłem paroma szczegółami, są bowiem przyprawy czułym markerem zmian i nośnikiem rozmaitych deklaracji. Ziemniak pozostanie ziemniakiem, to jest to nasze polskie „długie trwanie” bez względu na fantazję nazewniczą hodowców nowych odmian. Ale czym go posypać i jak doprawić? O, tu się otwiera pole bardzo szybkich przemian.

Papryka (zbiorowa kategoria, w tym chili, cayenne itd.), pieprz (czarny, biały itd.), kurkuma, oregano, cynamon, majeranek, imbir, bazylija, tymianek, liść laurowy, czosnek, ziele angielskie, goździki, rozmaryn – to początek listy najczęściej stosowanych przypraw. Z mieszanek mamy curry, zioła prowansalskie, garam masala, sos sojowy, zahtar. Dość to eklektyczne i nie bardzo zaskakujące (może poza wysoką pozycją kurkumy – tu nasuwa się podejrzenie, że za wynik odpowiada zdrowotna moda obecna w „kontinuum żywnościowo-leczniczym”). Polak lubi zaostriżyć i odkrywa coraz to nowe źródła kapsaicyny, mamy też klasyki będące długim cieniem sarmackiej kuchni turbo-korzennej, potem liść i ziele, bez którego się niczego nie zakisi. No i wpływy śródziemnomorskie krążące już od czasów króla Stasia. Przy czym oregano, jak czytamy w komentarzu historycznym, to nagły skok, bo było nieobecne w tradycji i wpadło nam do kuchni, od kiedy zaczęliśmy jeść pizzę, we wczesnych latach 90. Zwróćmy jeszcze uwagę, że tak jak dawniej, tak i teraz prawie wszystkie przyprawy to import, tymiankowi nie zagraża np. bardzo podobna macierzanka. Rodzima gwiazda ostatnich paru lat – czosnek niedźwiedzi – pojawia się w rankingu, ale dalej.

Stoi za to bardzo wysoko w tabeli przypraw, których uczestniczy i uczestnicy badania zaczęli używać dopiero w ostatnich 10 latach. I w całej pierwszej dziesiątce „nowości” jako jedyny nie jest świeżym importem z Indii i okolic oraz, w mniejszym stopniu, z Bliskiego Wschodu. Oprócz wspomnianej kurkumy mamy tu kumin, kolendrę, czarnuszkę, imbir, kozieradkę i dalej kaffir czy trawę cytrynową. Wyraźny ślad kształtowania nowych przyzwyczajęń smakowych w „etnicznych” restauracjach.

Która to kategoria w realiach polskich miast oznacza przeważnie daleką Azję.

Rzut oka na odwrotną tabelę – składników porzuconych w ostatniej dekadzie – potwierdza, że wychodzimy wreszcie spod sztucznego uroku wzmacniaczy typu Vegeta lub Kucharek i rosółowych kostek. Uboczną ofiarą tej słusznej tendencji jest niestety lubczyk, który był (obok strasznej ilości soli) dominantą wszechobecnej jeszcze w peerelu „przyprawy do zup” zwanej potocznie maggi. Osoby, które czasem siadają przy moim stole, mają złe skojarzenia i nie chcą, żeby im przypominać tamtą smakową mizериę podkreśloną jednowymiarowo brązową cieczą. Może to była toporna prostota, ale coś mnie w niej urzekło. Autorzy badań wieszczą przeciwną tendencję – że mianowicie będziemy korzystać z coraz liczniejszych składników („ingredientyzacja” kuchni), że się wszystko jeszcze bardziej rozdrobni. A w tym gąszczu – to już moja, nienaukowa obawa – zagubimy rzecz samą, urodę jedzenia i życia. Które, poza paroma wyjątkowymi dniami, smakuje, no cóż, jak posolony ziemniak po prostu.

© P

Gdyby mnie jakiś badacz spytał o najważniejszą przyprawę przyswojoną w ostatniej dekadzie, rzekłbym: wędzona papryka. Aromaty dymne niejednego kopciuszka zamieniają w piecu lub na patelni w piękność. Na przykład **brukselkę**. Nie umiem jej jeść bez papryki. Pod koniec zimy brukselka coraz brzydsza i już się nudzi, opowiem wam, jak potraktować ją w sposób zainspirowany tzw. **smashed potatoes**, czyli ziemniakami gotowanymi w mundurkach, potem lekko rozgniecionymi, które się obficie smaruje mieszanką oliwy z solą oraz ziołami i podpieka, żeby powstała skorupka – spróbujcie się tym pobawić. Rzucamy na osolony wrzątek **garść średniej, oczyszczonej uprzednio brukselki**. Gotujemy ok. 3 min, aż trochę zmięknie. Studzimy, rozgniatamy każdą brukselkę dnem słoika, żeby ją spłaszczyć, ale nie tak, żeby się całkiem rozpadła. Smarujemy dowolną gęstą, słodkawą marynatą. Moja to np. **3 łyżki płynnego miodu, 2 łyżki syropu klonowego, łyżka octu balsamicznego, kopiała łyżeczka wędzonej papryki, łyżeczka skrobi kukurydzianej, dwie łyżki oliwy**. Ale jeśli macie w lodówce jakiś **gotowy sos do grilla** czy temu podobny, możecie go użyć, dodając nieco **oliwy**. Smarujemy dokładnie brukselki z każdej strony, kładziemy na brytfankę wyłożoną papierem, pieczemy w 180 stopniach ok. pół godziny, aż wierzch się dobrze skarmelizuje. Po ostudzeniu ostrożnie podważamy szpatułką.



PAWEŁ BRAVO



ZMYSŁY

STATEK PIRACKI

ADAM KWAŚNY, PISARZ I PODRÓŻNIK:

Duchy na Kubie mieszkają pod jednym dachem z żywymi.
Duszą dobrego człowieka każdy chętnie się zaopiekuje.
Z duszą człowieka podłego nikt nie chce mieć do czynienia.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kuba przypomina PRL-owską Polskę?

ADAM KWAŚNY: W Dubiecku nad Sanem, skąd pochodzi moja mama, spędzałem w dzieciństwie każde wakacje. Raz w tygodniu przyjeżdżali do nas kowboje – na taśmach objazdowego kina. Potem sami musieliśmy się w tych kowboi bawić, aż do następnej niedzieli. Kiedy pierwszy raz pojechałem sam na Kubę, musiałem wysłać do mamy uspokajające SMS-y. W pierwszym napisałem: „Mamo, jestem w Trinidadzie

de Cuba, wyobraź sobie: to takie Dubiecko, tylko 50 lat temu i wszyscy czarni”.

A Hawana?

To wir. W pokojach okna nie miały szyb. Słońce wdzierало się jak wariat. Kominy wentylacyjne niosły dźwięki krzątania sąsiadów, imprez i awantur. Taką kamienicę w Hawanie nazywa się solarem i w niej umieściłem akcję powieści „Piękny mamy dzień w Hawanie”. Solar jest niczym rafa koralowa. Od-



ADAM KWAŚNY X2

Scenografia spektaklu o Hawanie domowego Teatru Zú. Kraków, 2020 r.
Po lewej: ulica w stolicy Kuby, 2008 r.

kładają się kolejne osady życia: stare posadzki z chińskimi wzorami, na ścianach wilgoć odsłania kolejne warstwy farb, a nowi lokatorzy często zastają w pokojach przedmioty należące do dawnych mieszkańców.

Jak w poniemieckich domach na Ziemiach Zachodnich?

W Krakowie jest taka poniemiecka dzielnica pomiędzy dawną ulicą 18 Stycznia, dziś Królewską, a placem Inwalidów, kiedyś Wolności, i ulicą Nowowiejską, za okupanta zwaną Warthestraße. Cały kwartał został zbudowany z początkiem lat 40. dla urzędników Generalnego Gubernatorstwa. Po wyzwoleniu do luksusowych budynków przybyli nowi lokatorzy. Część mojego dzieciństwa upłynęła w takiej kamienicy.

Nasze mieszkanie miało trzy pokoje, a w każdym żyła inna rodzina. Była wspólna łazienka i kuchnia. Repatrianci ze Wschodu, a także pani, która straciła wszystko w powstaniu warszawskim. Na pozostałych piętrach było podobnie. Do pokoju kolegi wchodziło się przez toaletę. Kiedy ktoś w niej siedział, to kolega i jego goście byli uwięzieni. Piętro wyżej mieszkał weteran wojenny z drewnianą nogą. Upijał się co noc, puszczał z gramofonu muzykę na cały regulator i tańczył przytupując, a u nas kołysały się żyrandole.

To pierwowzór weterana z gór Sierra Maestra, partyzanta Fidela Castro opisanego w „Pięknym dniu...”?

Mój weteran to młody chłopak, któremu wdzięczna ojczyzna podarowała drewnianą nogę. Pisząc o Hawanie zrozumiałem, że to wszystko tak naprawdę mogłoby się wydarzyć w Krakowie. Że klimat kubańskiego życia przypomina nieco ten polski z lat 60. i 70. Zaznałem jeszcze życia podwórkowego, wspólnoty dzieciarni, zabaw do późnego wieczora, kiedy piłka uparcie toczyła się na jezdnię, po której jeździło niewiele aut. Czasem przemykał tramwaj i można było kłaść na torach monety, a potem podziwiać, jak pięknie są splaszczone. Tej zabawy nauczył mnie tata. Moje dzieci już tego nie znają.

Ale na Kubie życie nadal wylewa się z domów, rozgrywa na oczach wszystkich i można zaglądać w kulisy codzienności. No i Kubańczycy lubią mówić. Jeszcze do niedawna istniała profesja *cuenteros*, opowiadaczy historii. Zamawiało się takiego profesjonalistę na sobotni wieczór i słuchało. W górach Escambray podobno opowiadają do dziś. Dla mnie to raj, bo jestem fanem ludzkich losów.

Musisz jechać tak daleko, by je odkrywać?

Zawsze pisałem o sprawach, które rozgrywały się gdzieś indziej i w innym czasie. Moja debiutancka książka „Potrawy” była futurystyczną wizją społeczeństwa, które zrozumiało, że tylko dieta doktora Regenboga jest w stanie ocalić je przed zagładą, uczynić ludzi szczęśliwymi i wyzbytymi agresji. Potem przyszedł czas średniowiecznego fiola, którego owocem ➔

→ było kilka spektakli teatralnych: „Katarzy”, „Cantigas de Santa Maria”, oba z Maćkiem Maleńczukiem w głównych rolach, „Minne”, „Don Alfonso”, a po wystawieniu „Totenfressera” rozpętała się w Krakowie awantura, że obrażam uczucia religijne, a konkretnie Jana Pawła II. Niektórym się wydawało, że niedołączy starzec leżący na kuli ziemskiej to nasz papież, a ja, pisząc dramat i potem go wystawiając, ani przez chwilę o nim nie myślałem. Okazuje się, że nawet pisząc o najgłębszym średniowieczu nie mogłem uciec od współczesności.

No a skąd te opowieści?

Zamiłowanie do nich wziąłem od niemieckiej babci Jadwigi wychowanej w oralnej epoce opowiadania historii. Jadwiga tworzyła niewiarygodne fabuły, łączyła prawdziwe historie, lokalne opowieści i własne wymysły. Po latach zorientowałem się, że wplatała w nie fragmenty filmów, które obejrzała przed wojną. Powracały w nich archetypiczne postaci: dziedzic, aptekarz, Żyd, nauczyciel, chłopci, była społeczna niesprawiedliwość, walka klasowa, bunty, intrygi, zakazane miłości. Zmyślała i tę samą historię potrafiła opowiedzieć w kilku wersjach. Jej historie nigdy nie kończyły się tak samo.

W jakich okolicznościach je opowiadała?

Spędzałem z babcią weekendy. Opowiadała właściwie bez wytchnienia. Sądzała mnie na stole i oboje zawodziliśmy: „Męko, moja męko! Męko, moja męko!”. Zadręczałem ją: „Opowiadaj!”. Dla tych opowieści byłem gotów chodzić do kościoła, czego nie znośiłem. Jadwiga była bardzo religijna. Jej przodkowie, katolicy z Bambergu, szybko się spolonizowali również dzięki wspólnocie religii. W piątki nosiła żałobę po Jezusie i zasłaniała lustra, a o poranku i wieczorami śpiewała potwornie smutne pieśni. Trwożyły mnie refreny o śmierci, która jest prawdziwym źródłem szczęścia.

Czyli babci Jadwidze zawdzięczasz umiłowanie opowieści. Jakież inne długi?

Ojcu zawdzięczam książki. To on podsunął mi „Rękopis znaleziony w Saragossie” Potockiego, Marka Aureliusza, Żeromskiego i wszystko, co przetłumaczył Boy. Był specem od Mickiewicza. Dlatego noszę imię po mistrzu Adamie, bo kiedy się urodziłem, tato pisał doktorat o „Dziadach”. Poza tym kochał Rzym i wszystko, co włoskie. Świetnie znał język. W jego gabinecie wisiały mapy Italii. Chodził między nimi i czytał Dantego.

Woryginalne?

Tak. Był asystentem profesora Stanisława Pigonia na polonistyce UJ i pojechał na roczne stypendium do Florencji. Tam skrupulatnie prowadził dziennik. Potem już do końca życia mógł codziennie odczytywać jeden z 365 dni. Odtwarzać go w pamięci. Jest tam np. rozdział „Pierwsza coca-cola” – pił ją we Wiedniu, w drodze do Florencji – albo „Afrodyta o przyproszonych piersiach”. Hm... Choć wrócił do Krakowa, jego dusza została we Włoszech.

Twój ojciec ukochał Włochy, Ty – Kubę? Czemu?

Hawana jest wielkim rozgardiaszem. Pasjami nagrywałem na rejestrator hawańską ulicę: ryk silników, nawoływania, klótnie, łoskot bębnow, klaksony, uparte dzwonki telefonów, wszechobecny reggaeton i okrzyki radosnego seksu. A o po-

ranku budziły mnie koguty. Byłem oszołomiony, choć na Kubie znalazłem się przez przypadek. Nic mnie tam nie ciągnęło, to był obcy świat, a ja wciąż dążyłem średniowieczne tematy. Na wyspę wybierali się moi przyjaciele. Namówili mnie i kiedy w 2004 r. wysiadłem na lotnisku w Hawanie, było już po mnie – to była miłość od pierwszego wejrzenia. Uderzenie gorącego powietrza, światło i piracka dzikość.

Ta piracka dzikość mnie ciekawi.

Świat jest tam intensywniejszy. Powietrze gęste, kolory nasycone, ludzie nieokiełzani. Mój przyjaciel mawia: „Nam, Kubańczykom, szybciej bije serce”. Na Kubę wracam niemal od dwudziestu lat, również jako przewodnik, ale starannie dobieram sobie towarzyszy podróży. Znajomy Kubańczyk Soto powiedział mi pewnego dnia: „Adam, Kuba to statek piracki. Jeśli to zrozumiesz, dasz sobie radę”. Słowa Soto pozwoliły mi uporać się z kolejnymi etapami rozczarowań, przez które musiałem przejść, żeby wyspa nie pozostała jedynie obłokiem wyobrażeń i zachwytów. Dużo się od Kubańczyków nauczyłem, a nawet otworzyłem na mistykę.

Dopiero wtedy?

Mimo że wcześniej czytałem teksty średniowiecznych mistyków i opublikowałem „Trzy dramaty średniowieczne”.

Religijność Kuby temu sprzyja?

Bardzo. Jest głęboka i nieopresyjna. W poprzedniej książce „Wszystkie zajęcia Yoirysa Manuela” cytuję słowa pewnego Kubańczyka, że „najlepszym człowiekiem, którego można spotkać na świecie, jest głęboko religijny kubański komunista”. Tajemnica tkwi w tym, że na Kubę przybyło wiele ludów i wielu bogów, a większość wbrew własnej woli. Musieli się porozumieć. I się dogadali.

Jak na Olimpie?

Potomkowie niewolników zachowali nawet język joruba i posługują się nim podczas obrzędów santerii, dominującej na wyspie religii afrokubańskiej. Profesor Calva z Hawany powiedział mi kiedyś, że Kuba jest bramą do Afryki i zachowała elementy kultury, które tam już zanikły. Katolicy na wyspie stanowią około 3 procent. Ochrzczonych jest więcej, ale i tak wyznają religie afrykańskie, santerię i palo monte. Biali potomkowie Hiszpanów również. Kubańczycy uważają, że wszystkie są prawdziwe. Jesteś katolikiem – wspaniale; buddystą – super; mużulmaninem – to pięknie. Katolicy też często uprawiają santerię – są chrześcijanami, ale nie wierzą w zmartwychwstanie. Bo w santerii i palo życie jest tylko jedno, tutaj na ziemi. Sądzę, że ta świadomość dodaje im sił.

I otwartość na kontakty ze zmarłymi?

Duchy na Kubie nie oczekują zmartwychwstania. Mieszkają pod jednym dachem z żywymi. Duszą dobrego człowieka każdy chętnie się zaopiekuje. Dusza człowieka podłego jest wstrętna i nikt nie chce mieć z nią do czynienia. Karą za niegodziwe życie jest to, że nikt nie zaopiekuje się tobą po śmierci. Bo żywi opiekują się zmarłymi, a zmarli mają w swej opiece żywych. Muertos mieszkają w szklankach z wodą ustawionych na domowych ołtarzykach. Wodę trzeba zmieniać, bo nikt nie lubi taplać się w brudnej wodzie. Czasem do szklanki trzeba

naląć wujciowi kroplę rumu, a cioci dać kwiatuszek, odrobinę perfum. I trzeba dużo ze zmarłymi rozmawiać. Nie ma w tym niczego demonicznego, kiedy podczas rytuałów zmarli wcielają się w osoby żywe, aby spotkać się ze zgromadzoną społecznością.

Podczas transu?

To są specjalne uroczystości u religijnych rodzin. Osoba w transie staje się medium. Dzięki niej można prowadzić z duchem dyskusję, pożartować, pośmiać się, kiedy wujcio czasami pierdoły opowiada, jak za życia. I stało się, że ja, wychowany w duchu różnych niecných Diderotów, doznałem spraw, które z trudem pomieszczają się w głowach filozofów, a na pewno psychiatrów.

Przykład?

Na jednej z krakowskich ulic samochód potracił jedenastoletnią dziewczynkę, usiłowałem ją ratować, ale umarła. Kilka lat później na Kubie nieznanymi mi zupełnie kapłan santeryjski powiedział, że to dziecko opiekuje się mną. Ten człowiek wiedział o niej, widział ją, a potem mój padrino Yoiris Manuel wprowadzając mnie w trans sprawił, że i ja ją zobaczyłem.

Robisz to bez strachu?

To jedna z tych rzeczy, których mnie nauczyli. Pamiętam długie rozmowy z santerą Violetą, moją kubańską babcią – tak o niej myślałem, bo jest mi bardzo bliska. To biegła w obcowaniu z duchami kobieta.

Z Twoich książek wynika jednak, że Kubańczycy chcieliby się stamtąd za wszelką cenę wyrwać.

Może nie za wszelką cenę, ale wielu emigruje. Trzeba pamiętać, że Kuba jest wyspą. Myśmy przynajmniej mogli pojechać do NRD po kawę lub do Czech po bieliznę, nad Bałatonem sprzedawać kryształ. A Kubę odcinają od świata ocean i Morze Karaibskie. Przybysze przylatują samolotami, „spadają z nieba”, wielu wyspiarzom wydaje się, że wszyscy stamtąd są niezwykle bogaci, a świat jest wolny i atrakcyjny. Znam jednak Kubańczyków, którzy wrócili na Kubę po próbie emigracji – świat wcale nie okazał się przyjazny. Nie można też zapominać o blokadzie gospodarczej nałożonej przez Stany na wyspę 60 lat temu. Hamuje rozwój Kubę, również społeczny. Bo przecież swobodne kontakty handlowe i międzyludzkie wspierają wolność. Wyobraź sobie, że kierując w Krakowie Towarzystwem Przyjaciół Kubę, które nie ma żadnych politycznych konotacji, nie mogłem zapłacić wynagrodzenia pani scenograf, która dla nas pracowała przy pewnym projekcie. Bank odmówił przyjęcia pieniędzy, bo nie wspiera terroryzmu, a w nazwie nadawcy przelewu była Kuba. Blokada wyspy działa nawet tutaj.



Adam Kwaśny, w tle wejście do zatoki Santiago de Cuba, 2017 r.

ADAM KWAŚNY

jest pisarzem, podróżnikiem i scenarzystą. Od dziewiętnastu lat wędruje po Kubie. Prezes Towarzystwa Przyjaciół Kubę – La Compañía Cubana organizującego autorskie wyprawy na Kubę. Ostatnio ukazała się powieść „Piękny mamy dzień w Hawanie” (Solecki & La compañía 2022). Współautor książki „Religia, historia i przyszłość w kulturze afrokaraibskiej” (Wydawnictwo UJ 2022).

Co nowego zaobserwowałeś podczas ostatniej wyprawy na Kubę?

Licząc skrupulatnie: czterdziestej czwartej. Po pandemii załamała się turystyka. Szczerze mówiąc nie lubiłem już tamtego disneylandu. Tłumów klikających w smartfony i rozpaczliwie poszukujących miejsc z internetem. To była jazda bez trzymanki i sam myślałem, że to koniec, że jeśli jeszcze tu wrócę, to zaszyję się w górach Escambray... No i przyszła pandemia. Nie było innej możliwości, musiała zatrzymać to szaleństwo. Kubańczykom jest ciężko, ale widziałem też, jak odzyskują wyspę dla siebie. Niedawno

poznałem grupę młodych kapłanów, którzy pilnują, żeby afrykańskich bogów nie pomyłono z katolickimi świętymi. Ogún to Ogún, a nie Święty Piotr, Changó to wcale nie Święta Barbara, bo jest dwumetrowym facetem kochającym kobiety, taniec i rum – jest orichą męskiej seksualności. A Ochún wcale nie jest Matką Boską z Cobre, choć JP2 koronował ją na Królową Kubę. Ochún to Ochún, *to cariña*, kobieca czułość w czystej postaci.

Czas na Kubie płynie wolniej?

Dla mnie szybciej. Jestem tam dwa, trzy razy do roku i widzę, jak zmieniają się moi przyjaciele, jak upływa ich życie, jak ocean kruszy falochron w Baracoa. W powieści „Piękny mamy dzień w Hawanie” ukryłem też kilka ważnych dla mnie osób z Krakowa. Jest tu mój mentor Jerzy Skarżyński, autor genialnych scenografii, m.in. do „Pamiętnika znalezionego w Saragossie”, mistrz Wirgiliusz Ćwiertnia, w którego malarskiej pracowni spędziłem wiele pracowitych godzin, aktorka Lidia Wyrobiec-Bank, która wprowadzała mnie w świat teatru, i Edward Niespodziewany, który uczył mnie pisać, choć długo nie wierzył w moją pisarską przyszłość. Jest też przyjaciel z czasów szkolnych Grześ Fedorowicz, utalentowany malarz, który absurdalnie młodo zmarł na serce w dalekiej Lozannie. Oni wszyscy żyją teraz w Hawanie.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:

O wypoczynku



OSTATNIO MEDIA SKUPIŁY SIĘ NA TAK ZWA-
nej sztucznej inteligencji. To wzmożenie
przyjeliśmy z entuzjazmem, bo jesteśmy
po prostu zwolennikami – powolnego na
razie – procesu zamienienia inteligencji
naturalnej, jakby biologicznej, na inteli-

gencję syntetyczną. Im szybciej ten proces dobiegnie mety,
tym lepiej. Dla nas wszystkich.

Zwolennicy rzewnej naturalności w każdej dziedzinie nie
mogą być zadowoleni z głoszonej tu przez nas opinii, że in-
teligencja naturalna jest już przeżytkiem i ślepą uliczką, nad
czym ćwierć, pół i w pełni inteligentne masy tak naprawdę
się nie zastanawiają. Jest przeżytkiem, bo po prostu zanika,
jako ten nietrenowany organ, który zaniknąć musi w związku
z nieużywaniem. Zanikanie zdolności kojarzenia czegośkol-
wiek z czymkolwiek jest zjawiskiem stosunkowo powolnym,
wynikającym ze starzenia się komórek. Każdy z nas tego do-
świadcza. Gdy jednak patrzymy nie na jednego osobnika z kło-
potami zdrowotnymi, a na ludzkość, musimy – póki to moż-
liwe – zastanowić się nad przyszłością. Przyszłość zaś jawi się
dobrze, dzięki sztucznej inteligencji właśnie.

Sztuczna inteligencja w ostatnich dniach była w naszych
mediach reklamowana wyłącznie jako umożliwiająca pisa-
nie szkolnych wypracowań z polskiego. Miała – jak wszyst-
kie dziś informacje – wzbudzić lęk i niedowierzanie, a doce-
lowo panikę i chaos, zwłaszcza w kręgach pedagogicznych
i rodzicielskich. Czytaliśmy, że zwołano gdzieś zebranie po-
lonistów, których uczono, jak rozpoznać wypracowanie syn-
tetyczne od napisanego przez istotę metabolizującą. Dowie-
dzieliśmy się, że poziom wypracowań oscyluje wokół oceny
dostatecznej, że sztuczna inteligencja pisze drewnianym języ-

kiem, ale za to ma ciut większy zasób słów od żywego ucznia.
Usłyszeliśmy także, że dostępna już powszechnie i za darmo
w internecie funkcja pisania wypracowań bądź streszcza-
nia lektur jest szkodliwa w każdym sensie – społecznie, kul-
turalnie, rozwojowo, psychologicznie i edukacyjnie. Że – tu
i ówdzie to sugerowano – powinno się ją jakoś zablokować,
zakazać jej używania, zamknąć to coś, co ją udostępnia, i tak
dalej, i tak dalej. Można powiedzieć, że był to – jakże dobrze
tu znany, trwający od dawien dawna – Ogólnopolski Festiwal
Głupich Pomysłów (OFGUPO), plus klasyka Syndromu Bez-
radności Wobec Nowoczesności (ESBEWN). To ostatnie nie
jest niczym nowym w historii ludzkości.

Rzecz jasna, nie mogliśmy się poddać histerii, odwracaniu
się od faktów, niekojarzenia czegośkolwiek z czymkolwiek.
Nie możemy także się zgodzić na bezsensowne oskarżanie
naszej zdrowej młodzieży, że teraz oto, zamiast pisać wypra-
cowania na trójkę, zada maszynie napisanie wypracowania
na trójkę, a wygospodarowany w ten sposób czas wolny prze-
znaczony na oglądanie filmików, na robienie filmików bądź że
będzie grać w gry. Że to źle. No więc oczywiście, że tak będzie.
Czeka nas po prostu odejście od tradycyjnie uprawianej edu-
kacji i tradycyjnie uprawianego oceniania w szkole. I im szy-
bciej zostanie to zrozumiane, tym lepiej. Na razie wygląda na
to, że uczniowie będą niebawem siedzieć – dajmy na to, w pi-
wiarni, tamże będą sobie wesoło gwarzyć i stukać się kufłami
– a w tym czasie ich nauczyciele będą mozolnie stawiać trójki
na wypracowaniach napisanych przez maszyny liczące.

Wyobraziliśmy to sobie i uznajemy niniejszym, że oczywi-
ście tak może wyglądać okres przejściowy. Bo zanim zmieni
się ustrój edukacyjny, to minister oświaty i kuratorzy będą się
jednak kurczowo trzymać starych przyzwyczajęń i przekona-
nia, że za słabo napisane wypracowanie z polskiego należy
postawić ocenę co najwyżej dostateczną. Co będzie potem?
Gdy już wszyscy się zorientują i uwierzą, że to nie ma sensu?
To chyba jasne. Wypracowania napisane przez sztuczną in-
teligencję będzie oceniać sztuczna inteligencja. Nauczyciele
odetchną i pójdą do piwiarni. No dobrze, a co potem? Potem
czeka nas świat, w którym tylko sztuczna inteligencja będzie
pisać i czytać, tylko ona będzie się uczyć. A my? Co my bę-
dziemy robić? Będziemy sobie odpoczywać. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Maciej Stuhr

czyta baśnie w „Tygodniku”



„Słuchowisko Daleko i Blisko. Baśnie i Legendy Ukraińskie”

jest płytowym wydaniem bajek, baśni i opowieści ukraińskich, czytanych przez Macieja Stuhra. Zabierz swoich Bliskich w podróż dźwiękową pełną niesamowitych historii.

Płytę otrzymają
wszyscy Prenumeratorzy
wydania drukowanego
„Tygodnika Powszechnego”
**wraz z wydaniem nr 9/23
z 22 lutego** w ramach
współpracy z Fundacją
Fine.ngo i Unicef.

Nie prenumerujesz? Jest jeszcze czas,
by to zmienić. **Zamów dowolną pre-
numeratę naszego pisma** i ciesz się
prezenterem! Wydanie płytowe dostępne
tylko z prenumeratą wydania druko-
wanego „Tygodnika Powszechnego”.

PARTNER WYDANIA: **fine.ngo**

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Chmielowski w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy
Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate



PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago
marketing automation

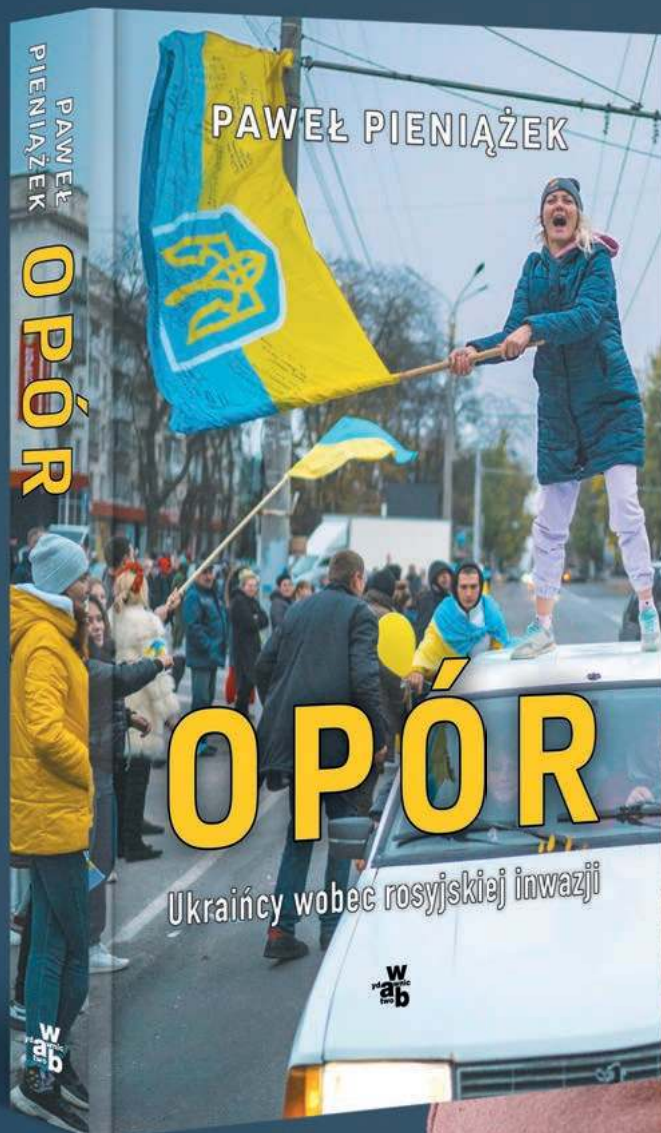


fine.ngo

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

NOWA KSIĄŻKA CENIONEGO DZIENNIKARZA I REPORTERA WOJENNEGO

Paweł Pieniążek relacjonuje, jak wyglądało życie Ukraińców w przededniu wybuchu wojny i jak zmieniło się po 24 lutego 2022 roku.



W KSIĘGARNIACH OD 22 LUTEGO!

Partnerzy wydania:



tytuł dostępny w:

empik

salony / online / aplikacja

empik go

e-book / audiobook

